

Obwolutę i okładkę projektował Kazimierz Hałajkiewicz

Redaktor techniczny Ewa Damrosz

Wydanie III poprawione

PRZEDMOWA

Powieść Stanisława Rembeka pt. Wyrok na Franciszka Kłosa (drukowana w odcinkach na łamach tygodnika „Dziś i Jutro” tuż po wojnie) ukazała się w edycji książkowej 30 lat temu, bo wydano ją (w oficynie E. Kuthana) po raz pierwszy w roku 1947.

Warto ją dzisiaj ponownie przypomnieć, gdyż stanowi wśród licznych w naszej literaturze pozycji o wojnie, o walce z hitleryzmem — pozycję znaczącą, na swój sposób odrębną, a zwłaszcza nowym generacjom czytelniczym chyba zupełnie nie znaną, boć jej poprawione wznowienie (już w edycji „paxowskiej”) ukazało się przed przeszło dwudziestoma laty, w roku 1956. Będzie to jednocześnie pożyteczne dla wielu czytelników przypomnienie wybitnego, acz niezbyt często obdarzającego nas swymi książkami, pisarza.

Stanisław Rembek (ur. 6.VII.1901), dziś liczący już 76 lat, debiutował 55 lat temu (w roku 1922) na łamach „Robotnika”, pierwszą zaś książkę pt. Nagan wydał prawie przed półwieczem (w roku 1928), a druga (W polu), wydana na rok przed wybuchem II wojny światowej, przyniosła mu nagrodę literacką Kalisza. Trzecia, napisana w okresie międzywojennym (powieść historyczna o Józefie Wybickim z okresu konfederacji barskiej pt. Szabla i przemoc) nie doczekała się kształtu książkowego, choć była znana z druku w odcinkach na łamach jednej z gazet. Warto żywić nadzieję, że i ona pojawi się u nas w edycji książkowej, bo zasługuje na to i może liczyć na wdzięczne przyjęcie u czytelników.

Po wojnie, w której Stanisław Rembek był żołnierzem kampanii wrześniowej, a później uczestnikiem tajnego nauczania, związanym z prasą konspiracyjną, autor Nagana wraca do pracy pisarskiej i — odznaczony w roku 1945 nagrodą Ministra Kultury i Sztuki — drukuje (jak się rzekło) swój Wyrok na Franciszka Kłosa jako powieść odcinkową i wydaje go w książkowej postaci, a w roku 1956 — wstąpiwszy w szeregi Stowarzyszenia „Pax” — wydaje u nas Balladę o wzgardliwym wisielcu oraz dwie gawędy styczniowe, wznowione także przez Instytut Wydawniczy Pax w roku 1971.

polipy ssące, strzygi dławią go i duszą. Gdy w pozostawionym mu przez autora bolesnym strzępku świadomości zadrga jakieś zerwane w operacji włókno, przypomni utraconą część i zawarte w niej wartości — Franciszek Kłos zalewa się wódką, oparem odurzenia odgradza się od resztek świadomości, nieszczęsny człowiek skazany na życie instynktami tylko, na niewydobycie się z podświadomych, przedludzkich niejako stanów.

Przypomnijmy sobie Kłosa mordującego kilka osób, wprawiającego swoim bestialstwem w zdumienie nawet Niemców; przypomnijmy sobie Kłosa, który wszedłszy — jakby się zdawać mogło — na drogę poprawy, w czasie strzelaniny wynikłej przy egzekucji staje przeciw partyzantom polskim po stronie niemieckiej; przypomnijmy sobie wreszcie złośliwego wódkę, terroryzującego miasteczkową ludność, chępiącego się swoją władzą. Możemy to wszystko zrozumieć wtedy i — chyba nie będzie ta pewność nieostrożnością — tylko wtedy, gdy pamiętamy o operacyjnym zabiegu, jakiego na tym nieszczęśniku dokonano: wykrojono mu płat świadomości z pojęciami narodu, religii, ludzkości. A instynkty nie znają tych pojęć, dla instynktów nie istnieją prawa dla nich i przez nie stworzone. Kłos staje się symbolem nieszczęścia nieświadomości, krzykiem o mocną, rzetelną budowę tego, czego w nim brak: pełnego, świadomego nadrzędności pewnych pojęć człowieka. Wpatrzeni w okropną nędzę Kłosową pełni jesteśmy wstrętu i żalu, pełni zrozumienia dla wartości tych pojęć. I to jest pozytywna, wielka wartość negatywu stworzonego przez Rembeka. Im bardziej bolesna, beznadziejna jest szarpanina tamtego człowieka, tym pełniejsza nadziei i tym radośniejsza wiara nasza w obce mu wartości, których brak degraduje, unicestwia, uśmierca duchowo.

Widać tu jasno, że życie poza świadomością tych pojęć jest życiem zwierzaka, dla człowieka, który przeczuwa choćby swoją człowieczość, męką nie do zniesienia. Widać jasno, że świadomość przynależności narodowej nie wystarcza. Miał ją, chociaż w podłym gatunku, Kranz, mieli inni gestapowcy. Pojęcie religii i ludzkości było im obce. I dlatego mordowali.

Rembek stawiając przed nami problem Kłosowej zdrady stawia jednocześnie problem znacznie większej miary: problem restytuowania, całkowitej rehabilitacji tamtych trzech pojęć nadrzędnych. Robi to bez emfazy i taniego patosu, możliwe nawet — i wcale to nie będzie paradoksem lub dla autora kamieniem obrazy, że robi to mimo woli, pod wpływem ustalonych w nim własnych jak jego krew, dusza i ciało — wyższych nakazów.

Na tym polega wewnętrzna „duchowość” książki Rembeka, jej ponadczasowe i — jeśli można tak tę wartość wyrazić — ponad- artystyczne znaczenie.

To znaczenie oraz ideowo-artystyczna trwałość Wyroku na Franciszka Kłosa uzasadnia ponowne przypomnienie tej książki i dzisiaj, wprowadzenie jej w nowe kręgi czytelnicze i ocalenie jej dla współczesnego dziania się literatury, która — i współczesnością przejęta, i w przyszłość wychylona — karmić się winna także mądrością i wartością swej przeszłości...

Zygmunt Lichniak

Nieodgadniony Stwórca świata i człowieka nie stworzył chyba w naszym życiu doczesnym straszniejszego cierpienia ponad wyniszczającą siły fizyczne i duchowe grozę zbliżającego się powoli niebezpieczeństwa.

Toteż kiedy Franciszek Kłos, plutonowy policji państwowej, którą w czasach okupacji niemieckiej nazywano „granatową”, otrzymał list z wyrokiem śmierci, zdziwił się, że to zdarzenie tak mało go przeraziło. „Nareszcie!” Wyraz ten zamykał w tej chwili cały stan jego umysłu i serca: stan doraźnej ulgi, gorzkiej i zarazem wyzywającej, tragicznej i buntowniczej, ale mimo wszystko — ulgi. Skończyło się przynajmniej wielotygodniowe oczekiwanie i niepewność. „Mogli mnie przecie rozwalić nie uprzedzając. A tak wiem chociaż, czego się trzymać.” Złożył pismo ze starannością, jaka go zawsze cechowała, i schował je do kieszeni.

Jego żona, wysoka, smukła i nerwowa blondynka o dużych bładoniebieskich oczach, w letniej powiewnej sukience w niebieskie i czerwone kwiaty, śledziła z trwogą jego twarz i ruchy. Ze złożonymi jak do modlitwy dłońmi postąpiła ku niemu parę kroków.

— No, czego stoisz i gapisz się jak krowa na malowane wrota? — warknął zdejmując pas z rewolwerem oraz mundur i ciskając to wszystko ze złością na wysoko zasłane i pokryte ciemnozieloną, wzorzystą kapą łóżko. — Wiesz chyba, że wracam ze służby. Dawaj co zjeść!

Wrócił do kuchni, gdzie państwo Kłosowie, mimo mieszkania złożonego z trzech izb, zwykli byli jadać.'

Pani Kłosowa, zahukana przez swojego drobnego i szczupłego męża, nie posłuchała go tym razem. Pobiegła za nim z wyciągniętymi ramionami, z brwiami wykrzywionymi w zygzak rozpaczy.

— Franek!

Było w jej głosie coś tak rozdzierającego, że Kłos nagle stracił pewność siebie. Jakby mu ktoś przycisnął silnie łokciem klatkę piersiową. Gdy zakasywał rękawy przepoconej koszuli, ręce mu już drżały.

— Bój się Boga, kobieto! Nie jesteś chyba całkiem głupia? Rozumiesz przecie, że jak wracam po tyłu godzinach nocnej służby, to muszę być głodny jak pies!

— Franuś, ty mnie nie okłamuj! Patrz mi prosto w oczy! Co jest w tym liście?

— Co jest, to jest, a tobie nic do tego. Jest to zresztą tajemnica służbowa. A teraz pytam się po raz trzeci: dajesz obiad, czy nie?

Rozsiadł się za stołem kuchennym na starej kanapie, aż jęknęły sprężyny, i zapatrzył nieprzytomnie w szarą o żółtawych brzegach płamę na suficie. Naraz otrząsnął się.

— Gdzie jest ten bimber, skonfiskowany u Grabarkowej? Dawaj no go!

Pani Kłosowa, która właśnie rozdmuchiwała ogień pod blachą, odwróciła ku niemu zatrwożone oczy.

— Znowu będziesz pił? Już nie pamiętam, żebyś kiedy wrócił wieczorem niepijany. A teraz zacznasz już od rana?

— Postaw na stole ten bimber i podaj tymczasem jaką zagrychę.

— Posłuchaj mnie, Franuś! Biedna Grabarkowa już dwa razy tu była w sprawie tego gąsiorka i wędlin. Jeszcze za to wszystko nie zdążyła nawet zapłacić, a teraz nie ma już zupełnie czym handlować. Nie powinienes, Franuś, krzywdzić takiej nędzy.

— Bimbrem ani mięsem z nielegalnego uboju handlować nie wolno. Jak ma pretensję, to może jeszcze zapłacić karę albo wyjechać do Treblinki.

Spod przystrzyżonych krótko czarnych wąsów błysnęły mu białe zęby. Krótkim ruchem uderzył pięścią w stół.

— Psiakrew! Popamiętają mnie jeszcze!

Przerażona pani Kłowska stawiała już przed nim parolitrowy gąsior, kieliszek, chleb, masło i ogórek kiszony.

Kłós odsunął kieliszek środkowym palcem.

— Daj szklankę!

Nalał sobie więcej niż połowę i wychylił paroma łykami nie odejmując od ust. Potem chuchnął z ogromnym niesmakiem i zagryzł ogórkiem.

Zona tymczasem podawała mu talerz z odgrzaną, suto okraszoną grochówką. Milczeli oboje. Po pewnym czasie Kłós poczuł, jak wszystkie członki napelnią mu miłe ciepło, a w głowie rozświeca się jak w mieście podczas nocnego bombardowania, gdy samoloty nieprzyjacielskie opuszczają pęk jaskrawych rakiet. I w tej chwili, jakby w piersi podskoczyła mu radosna myśl: „Lipa! Wszystko lipa! Nie było nade mną żadnego sądu. W ogóle skąd by tu u nas mogła działać jakaś tajna organizacja? To jakieś szczeniaki chciały mnie nastraszyć albo jeszcze prędzej rozmaite szwarcownicy i sklepikarze! I wykryję, kto to napisał, choćby się drań, swołocz, pod ziemię wkręcił!”

Rzeczywiście na terenie naszego powiatu nie było dotychczas żadnego zamachu ani w ogóle jakiegokolwiek demonstracji. W dniu zajmowania naszego miasta na początku września 1939 roku rozstrzelano co prawda pod starą cegielnią trzynastu Polaków, w tym dziesięcioletniego chłopczyka, który wybiegł za ojcem — jakoby w odwet za zastrzelenie żołnierza niemieckiego. Ale przede wszystkim stało się to jeszcze w czasie działań wojennych, kiedy wiele odciętych oddziałów polskich broniło się po lasach, a po drugie dziwnym zbiegiem okoliczności podobne egzekucje odbyły się dokładnie we wszystkich miasteczkach, a nawet często i wsiach, do których wkraczały wojska niemieckie. Toteż wszyscy byliśmy przekonani, że mordy te były z góry uplanowane przez naczelną władzę hitlerowską dla sterroryzowania ludności, a wiadomości o rzekomo zastrzelonych przez ludność cywilną Niemcach — zwykłym wymysłem propagandowym dla judzenia przeciw Polakom szarych mas żołnierskich.

Drugim razem rozstrzelano w oddalonych od nas o dwanaście kilometrów Przebitkach dziesięciu tamtejszych obywateli za skaleczenie folksdojczy. Ale i w tym wypadku nie tylko nie miało to tła politycznego, ale według zgodnej opinii świadków również kłamliwe oświetlenie. Świeżo upieczony Niemiec, którym okazał się karany sędownie przed wojną za sprzeniewierzenie i wydany urzędnik magistratu, był wtedy całkowicie pijany, a ranił go bagnetem właśnie żołnierz niemiecki, który razem z nim pił. Opowiadano nawet, że do zatargu doszło właśnie wtedy, gdy ów żołnierz dowiedział się, że ma do czynienia nie z prawdziwym Polakiem, tylko ze „świnia koniunkturalną”, jak ogół Niemców nazywał służalców hitlerowskich. Po prostu więc rzekomy odwet był zastosowaniem zasady zawsze zresztą później praktykowanej przez władze okupacyjne, że ilekroć ujawni się jakieś przestępstwo, nigdy nie może być winien osobnik rasy niemieckiej; oraz drugiej, że gdzie tylko przeleje się choć kropla krwi niemieckiej, tam zawsze musi paść większa liczba Polaków. W każdym bądź razie dotychczas Polacy byli mordowani bezkarnie z tą świadomością, że wszelki opór z ich strony pociągnie za sobą bezwzględną zagładę ich rodzin oraz rodzin sąsiadów.

Rozważania te snuł Kłós już po drugiej szklance samogonu. Jego pewność siebie, poczucie bezpieczeństwa oraz dobry nastrój wzrastały coraz bardziej. Zaczął też już łaskawiej odnosić się do

żony, a nawet pochwalił ją za dobrze przyrządzony schab.

Naraz w sieni zaszeleściły jakieś kroki i zaszczękała klamka od drzwi kuchennych. Kłós poczuł przenikliwy ból we wszystkich kończynach, jakby mu szpik w kościach błyskawicznie zamarzał. Trwało to sekundę. W następnej chwili zdążył wyrwać rewolwer z pochwy, odsunąć kanapę i ukryć się za nią, wystawiając lufę. „Jeżeli ich będzie tylko dwóch, to jednego położę, zanim mnie dostrzegą, a z drugim — też jakoś będzie”.

Pani Kłosowa patrzyła na zachowanie męża z nieopisanym przerażeniem. Stała przy piecu kuchennym z opuszczonymi bezradnie rękami i z otwartymi, dość zresztą szerokimi ustami.

Klamka poruszała się ciągle. Zawsze się zacinała. „Strzelać — nie strzelać?”

Pani Kłosowa zrobiła krok w stronę drzwi. Kłós rzucił jej dzikie spojrzenie oraz groźny szept przez zaciśnięte zęby:

— Nie waż się ruszać!

Równocześnie odruchowo skierował wylot lufy w jej stronę. Pani Kłosowa zmartwiała w jeszcze większej, jeśli to było możliwe, grozie.

Tymczasem drzwi nareszcie odemknęły się wolno i do kuchni wkroczyła wysoka chuda kobieta w czarnej długiej sukni i również czarnej koronkowej chustce na głowie. Była to matka Kłosa.

Miała twarz żółtawą i pomarszczoną, wargi sine, wąskie i ściągnięte, oraz starcze oczy, głęboko osadzone w oczodołach. Spojrzała nimi bystro na syna, który nieco zmieszany rzucił rewolwer i przysuwał z powrotem kanapę do ściany.

Jego żona przyskoczyła do świekry z wyciągniętymi ramionami i wybuchnęła głośnym płaczem.

— Mamo, ja już dłużej nie mogę! Co ten Franek wyprawia! Ciągłe pije! W tej chwili chciał strzelać do mamy, a potem do mnie! Dostał dzisiaj jakiś list i nie chce mi nawet powiedzieć, od kogo!

Starsza pani Kłosowa zbliżyła się do stołu, jeszcze mocniej ściągając swoje sine wargi, chwyciła gąsior i zaczęła w milczeniu wylewać jego zawartość do kubła z pomyjami. Synowa chwyciła ją za rękę.

?— Niech mama nie wylewa! To jest bimber Grabarkowej. Franek go jej wczoraj skonfiskował, a co ona biedna ma robić? Wsiedlona, męża jej wzięli do Oświęcimia, musi przecież z czegoś żyć. To założyła sobie przy pomocy dobrych ludzi tę budkę i handluje. Trzeba przecież żyć z ludźmi i ich rozumieć.

Pani Kłosowa zatrzymała się na chwilę. Kłós skorzystał z tego i chciał jej odebrać wódkę.

— Niech handluje, ale niech nie truje ludzi i niech nikogo nie prowadzi do grzechu i do potępienia wiecznego.

Wyrwała synowi gąsior, wylała całą resztę mętnego niebieskawego płynu, oddała próżne naczynie i zwróciła na syna swe oczy zimno świecące pod dośrodkowo pomarszczonymi, zapadłymi powiekami.

— Pokaż ten list!

Franciszek Kłós, o ile z żoną postępował surowo, a nawet brutalnie — do matki odnosił się z szacunkiem i bojaźnią. Tak było już od dzieciństwa.

— Co mamę obchodzi ten list? To są jakieś pogrożki bandyckie, które muszę złożyć w kryminalnej, żeby wysledzili sprawców. Takich rzeczy nie wolno pokazywać osobom postronnym. To jest tajemnica urzędowa.

Matka wyciągnęła żyłastą drapieżną dłoń niby szpony jastrzębia.

— Oddaj mi ten list!

— Mama chce mnie zgubić...

— Matka cię zgubi? Matka cię zgubi? Ty sam się zgubisz, synu! Ty sam zgubisz siebie i swoją duszę, jeśli nie zmienisz swojego życia! Nie na to cię chowałam, żebyś miał krzywdzić biednych ludzi, żebyś do nich strzelał jak do psów! Nie na to cię chowałam, żeby nikt w całym mieście nie wymówił twojego imienia bez przekleństwa, żeby się wszyscy od ciebie odsuwali jak od zapowietrzonego! Nie na to cię chowałam, żebyś wysługiwał się wrogom, heretykom i nieprzyjaciołom Krzyża Świętego i Kościoła! Pokaż ten list!

Kłós opuścił głowę o granatowo-czarnych, ostrzyżonych na jeża włosach i o zmarszczonych w

wyraz niechęci, sztywnych, połączonych brwiach. Jego niezwykle krótka dolna część twarzy z czarnym, nie ogolonym podbródkiem nadawała mu wyraz szczególnie ponury. Bez słowa wydobył kopertę i podał matce. Tajchwyciła ją chciwie i wydobyła pospiesznie z głosu- tfym'szetó\em kartkę, zapisaną pismem maszynowym. Sy-

I" "" ?!

1 V WyTołł/jfranciszka Kłosa 17

V ^w^Sy nowa przylgnęła do niej od tyłu i z zachłanną ciekawością zazierała jej przez ramię. Kłos patrzył na obie kobiety z wielkim niesmakiem.

— Co to znaczy babska ciekawość! Zobaczycie, że mnie jeszcze przez nią wkopiecie na amen!

Nie zważały na jego mruczenie. Starsza pani Kłosowa, mając krótki wzrok, zbliżyła papier do oczu. Młodsza wyciągnęła dłoń.

— Niech mama da! Ja przeczytam!

Chwyliła list silnie oburącz, jakby ciągle się jeszcze obawiała, że go jej wyrwą, i zaczęła spieszenie czytać, zachłystując się przy każdym słowie:

Wyrok

W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej Sąd Specjalny RP rozpatrzył sprawę Franciszka Kłosa, syna Wincentego i Pauliny z Ciemniaków, plutonowego PP, zamieszkałego w Brodni, powiatu brodzieńskiego, przy ul. Napiórkowskiego 97, oskarżonego z art. ... KK.

Przewód sądowy wykazał, że Franciszek Kłos stale współdziałał z władzami okupacyjnymi przez konfiskowanie Polakom zapasów żywności, wysyłanie obywateli polskich na roboty do Niemiec lub do obozów karnych oraz wymuszał od ludności polskiej łapówki. Poza tym dowiedzione zostało, że wspomniany Franciszek Kłos w dniu 14 kwietnia r.b. zastrzelił członka tajnej organizacji wojskowej. Wobec tego Sąd Specjalny RP postanowił skazać Franciszka Kłosa na karę śmierci oraz na utratę praw obywatelskich na zawsze.

Po przeczytaniu tego obie kobiety długo jeszcze wpatrywały się w zapisaną kartkę.

— Co to znaczy RP? — zapytała matka twardo, nie odrywając oczu od papieru.

Kłos siedział na kanapie z opuszczoną głową.

— No... Rzeczpospolita Polska.

— A KK?

— Kodeks Karny.

— A co to znaczy: kodeks karny?

— No... zbiór praw, według których sądy sądzą wszelakie przestępstwa.

— To znaczy, że polski sąd skazał cię na śmierć za trzymanie z Niemcami, za krzywdzenie niewinnych ludzi i za zastrzelenie Polaka? To znaczy, że ty, mój synu, jesteś zdrajcą i zbrodniarzem?

Kłos rozkraczył się, podniósł głowę i wetknął obie pięści w kieszenie spodni. Rzucił na kobiety zuchwałę spojrzenie.

— To są wszystko bzdury. Teraz nie ma żadnej Polski i żadnych polskich sądów. Mieli Polskę, to ją nędznie zmarnowali, psie ścierwa, sobacza ich mać. Ci, co rządili, dawno wywiali ze wszystkim złotem do Londynu i do Ameryki. Zostali tylko łobuzy, szwarcownicy i złodzieje. To oni grożą, bo im za bardzo zalazłem za skórę. Od tego, psiakrew, jestem policjantem!

— Ale tu piszą, żeś zastrzelił członka jakiejś tam organizacji, żeś łapał naszych Polaków i wysyłał ich na roboty do Niemiec czy nawet do obozów, żeś się wysługiwał Niemcom, żeś brał łapówki?...

Kłos odzyskał już całą pewność siebie. Zaczął spacerować wielkimi krokami po skrzypiących, białych, czysto umytych deskach podłogi. Swoją krótką, zamkniętą twarz wykrzywił w lekceważący uśmiech. Wymachiwał rękami.

— Mama nie zna się wcale na tych sprawach. Każdy złodziej, każdy bandyta będzie zawsze krzyczał, że jest niewinny, i będzie jeszcze udawał wielkiego patriotę. Wysyłałem Polaków do Niemiec? Ale jakich? Grandę, która tylko kradła, awanturowała się i przemyśliwała, jakim nowym kantem uda im się jeszcze wyciągnąć z ludzi forszę. Tam przynajmniej nauczą ich uczciwej pracy. Wysługuję się Niemcom? No, przecie, do jasnej Weronki, jak jestem na służbie, to muszę spełniać

rozkazy przełożonych! A że czasem wyratuję kogoś z łapanki, że nie złożę doniesienia o jakim nielegalnym uboju czy innej machlojce i że przyjmę za to parę złotych albo coś do żarcia, to i tak dobrze ludziom robię. Żyć też z czegoś muszę. Ładnie byśmy wyglądali na samej pensji i na tym, co nam przydzielą na kartki żywnościowe.

W czasie całego tego przemówienia i matka, i żona wpatrywały się w niego jak w radosne objawienie. Wszystkie wywody przekonywały je w całej pełni. Pragnęły przecie wierzyć w niego ze wszystkiej duszy. Tylko starsza pani Kłosowa ścięła naraz swoją żółtą twarz w zwykły, surowy wyraz.

— A co to za jeden był ten, coś go zastrzelili?

Kłos naraz opuścił głowę i ramiona i usiadł na kanapie. Przez chwilę milczał ponuro.

— Cholera go wie! Papiery miał przeci lipne. Na pewno też jaki bandyta. Szedł po godzinie policyjnej. Spotkałem go akurat razem z Krańcem. Zatrzymaliśmy go, żeby pokazał auswajs, a ten dał Krańcowi w mordę, aż go zamroczył, i w nogi. Musiałem strzelać, bo bym inaczej ciężko sam odpowiadał. Przy mnie przecie rzucił się na Niemca. Nie chciałem go nawet trafić, ale było ciemno... Sam mi wlał pod wylot. Nie ma o czym gadać. Dużo jest takich łobuzów.

Młodsza pani Kłosowa usiadła obok męża na kanapie, objęła go delikatnie ramionami i zaczęła płakać.

— Franuś, posłuchaj mnie! Wyjedziemy z tego przeklętego miasta. Mogą cię jeszcze naprawdę zamordować. Nie przeżyłabym tego. Uciekajmy stąd.

Matka z karnościową powagą podniosła palec w górę.

— Bez woli Bożej włos nikomu z głowy nie spadnie, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Powiadam ci, synu, że musisz stąd wyjechać.

Synowa patrzyła w świekrę ze złożonymi jak do modlitwy i podniesionymi w górę dłońmi, niby na świętego proroka, głoszącego prawdy objawione przez samego Boga.

— O, tak, tak! Pojedziemy do moich rodziców pod Opoczno. Mój ojciec ma młyn. Świetnie mu się powodzi. Dla Franka zawsze jakieś zajęcie znajdzie. Będzie tam miał lepiej niż tu na cudzej krzywdzie.

Kłos na skutek całej tej rozmowy zupełnie stracił przyjemny nastrój, jaki opanował go po wypiciu dwóch porcji wódki. Pozostał mu tylko w ustach obrzydliwy posmak samogonu, uczucie przesyty, złość na obie kobiety, które zmarnowały mu przyjemne samopoczucie, oraz nieprzemierzalną chęć przywrócenia go przez upicie się ponowne. „Cholera z tymi babami, zawsze muszą człowieka zdenerwować!”

Brutalnie wyrwał się z ramion żony i rozkraczył się na środku izby kuchennej.

— Chyba nie jesteś całkiem głupia wariatka? Ciągłe opowiadasz o swoim ojcu, a co nam dotychczas pomógł, kiedy przed wojną gorsze jeszcze były czasy niż teraz? Tyle, co brudu za paznokciem! I właśnie kiedy dorobiliśmy się ładnego mieszkania, mebli, ubrań, bielizny, zapasów, nawet tych paru złotych — mamy to wszystko rzucać? Owszem, ja sam już mam dawno potąd — pokazał na gardło — tej parszywej Brodni. Wiesz dobrze, że ciągle starałem się o przeniesienie, ale nic z tego nie wyszło i nie wyjdzie. Lejtnant Szlisel powiedział mi wyraźnie: „Tu ciebie potrzebujemy, bo znasz ludzi i okolicę, a jeśli nie chcesz zostać, to możemy ci znaleźć inną pracę, ale w lagrze”.

Rozwścieczony tym przypomnieniem chwycił mundur i zaczął śpiesznie wdziwać.

Żona przytrzymała go rozpaczliwie za rękaw.

Wyszarpnął się jej jednym, gwałtownym ruchem.

— Mamo, on znowu idzie pić!

— Nie twoja rzecz!

Matka przypatrywała mu się bystro, stojąc nieruchomo niby nagrobek w kształcie czarnej kolumny.

— Nie pójdziesz teraz nigdzie, rozumiesz? Dopiero wróciłeś ze służby i pewno obiadu nawet nie dokończyłeś.

— Co mama znowu? Mówiłem przecie, że muszę zanieść ten list do kryminalnej.

Nie czekając na dalsze wywody pchnął pośpiesznie drzwi i zniknął jak ścigany złodziej.

Żona opadła na krzesło, i z czołem wspartym o stół zaczęła głośno szlochać. Matka siadła w rogu

kanapy i wpiła surowe oczy w szerokie szpary podłogi.

Aczkolwiek zarówno żona, jak i matka Kłosa nie uwierzyły ani na sekundę, że powodem jego wyjścia z domu była sprawa listu — stanowiło to przecie prawdę przynajmniej w połowie. Bo pierwszym jednak, najbardziej namiętnym dążeniem jego, była istotnie nadzieja przywrócenia sobie dobrego nastroju przy pomocy nowej dawki gorzałki.

Policja kryminalna mieściła się w naszym mieście przy ulicy Kilińskiego. Z ulicy Napiórkowskiego szło się tam przez rynek. A w rynku właśnie stała ulubiona kawiarenka wszystkich żandarmów, gdzie się spotykali nieraz po parę razy na dzień. Założyła ją wysiedlona bydgoszczanka, pani Sroczyzna. Męża jej zamordowali hitlerowcy podczas słynnej rzezi wrześniowej. Zdolała uratować tylko siebie wraz z czternastoletnim synem, Mieczysławem. Całe swe mienie pozostawiła wrogom. Przybywszy do naszego miasta dała się od razu poznać jako niewiasta pełna energii, werwy i dobrego humoru. Z miejsca zabrała się do handlu. Wraz z Mietkiem, pomimo obław, ograniczeń w ruchu podróźnych na kolejach i innych trudności, stale jeździła do jakiegoś Czarnocina pod Piotrkowem, skąd przywoziła do nas i do Warszawy produkty żywnościowe, wymieniane za bieliznę, odzież i mydło przywożone ze stolicy. Pomagała jej w tym doskonała znajomość niemieckiego oraz umiejętność postępowania z Niemcami. Wyklócała się z nimi, ofukiwała ich i łajała jak dzieci, to znów poklepywała pojednawczo po łopatkach.

Po wywiezieniu od nas Żydów do getta warszawskiego udało jej się zdobyć sklepik pożydowski, gdzie założyła kawiarenkę. W tym czasie odnalazła w Piotrkowie siostrzenicę, siedmioletnią Wandzię Hajdusiównę. Ojciec dziewczynki zginął bez wieści podczas kampanii wrześniowej jako podoficer w którymś pułku wielkopolskim. Matkę zastrzelił oficer policji hitlerowskiej.

Od dwóch lat po urodzeniu syna Józia matka Wandzi stale chorowała. Właśnie gdy przyszli ją wysiedlać, leżała w gorączce. Wobec tego dowódca patrolu oddał dwa strzały do leżącej w łóżku, a struchlałe dzieci zapakował do samochodu ciężarowego. Było to w czasie pierwszej zimy wojennej. Dwuletni Józio nie wytrzymał trudów podróży i zamarzył na śmierć w drodze. Wandzię zaopiekowali się dobrzy ludzie, dopóki jej w jakiś cudowny sposób nie odnalazła ciotka. Dziecko było blade, wystraszone i schorowane. Okazało się, że miało źle zrośnięte dwa żebra, które jej hitlerowcy przy jakiejś okazji złamali. Pani Sroczyzna dała sobie jednak z nią radę, jak zresztą ze wszystkim w życiu.

Kawiarenka jej, mała, ciasna, o brudnych, zaciekających, biało tynkowanych ścianach, rozwijała się jednak znakomicie. Pani Sroczyzna zawdzięczała to swoim stosunkom z władzami niemieckimi, a zwłaszcza z żandarmami, którzy mając do rozporządzenia kasyno niemieckie, bufet kolejowy oraz najlepszą w naszym mieście restaurację pana Cuglewskiego, wybierali jednak jej lokal. Bo też pani Sroczyzna umiała stworzyć właściwą dla nich atmosferę. Zawsze uśmiechnięta, ukazując przy tej sposobności całą niemal złotą szczękę, traktowała ich po macierzyńsku, wymyślając im, godząc ich pijackie spory i uśmierzając wybuchy niezawodnym poklepywaniem po łopatkach. Wszystko więc tu było swojskie i przytulne, „gemütlich” w najwyższym stopniu.

Tutaj też skierował przede wszystkim swoje kroki Franciszek Kłos. Z trudem otwierając zacinające się, brudne, oszklone drzwi, dostrzegł przez szybę, że ciocia Sroka coś szybko wynosiła w głąb mieszkania przez wąskie przejście między szafami. Zamiast niej ukazała się szczupła i blada dziesięcioletnia dziewczynka ze sterczącymi po obu stronach głowy mizernymi warkoczykami. Stała tuż przy drzwiach i przyglądała się Kłosowi wielkimi fiołkowymi oczami.

Kłos, który sam miał dwoje dzieci, przy czym młodszego syna w tym samym wieku, uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

— Jak się masz, malutka?

Ale uśmiech jego nigdy nie był ujmujący. W każdym bądź razie Wandzia nie drgnęła nawet, tylko w dalszym ciągu przyglądała mu się czujnie jak schwyttane w pułapkę zwierzątko. Kłosa to nieco stropiło, a nawet rozgniewało. Zaczął rozglądać się po sklepie i myszkować wsadzając nawet za bufet swoją czarną głowę w granatowym kaszkiecie.

— Co to, macie świeże wyroby? Boczek, kielbasy, salcesony, kaszanki... Kto to przyniósł?

Wandzia nie spuszczała go z oka.

— Nie wiem.

— To zawołaj ciocię.

Dziewczynka zniknęła jak zdmuchnięty pyłek. Na jej miejsce ukazała się zaraz pani Sroczyzna, wysoka, gładko uczesana szatynka, z przedziałkiem na środku głowy, ukazując w przymilnym uśmiechu cały garnitur złotych zębów oraz wycierając dłonie w brudny, biały fartuch o szerokich taśmach, skrzyżowanych na plecach. Przypominała tym pensjonarki jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej.

— Skąd pani ma te wyroby?

— Panie Kłós, a skąd bym mogła mieć? Przyniosła mi jakaś baba, to wzięłam. Muszę czymś przecie handlować.

— Jak się ta baba nazywa?

— A skądże ja mogę wiedzieć? Przecie mi się nie przedstawiała. Pierwszy raz dzisiaj na oczy ją widziałam.

— A te kielbasy też się tak do dzisiaj zdążyły wysuszyć?

Półkolistym ruchem ręki zatoczył nad głowę, ukazując w ten sposób szereg ciemnowiśniowych pęt kielbasianych, zawieszonych pod pułapem.

Pani Sroczyzna przyglądała mu się z nie zmaconym spokojem i z nie znikającym uśmiechem.

— Panie Kłós, przecie te kielbasy widział pan już nieraz.

— Nie pytam panią, kiedy je widziałem. Pytam: skąd pani bierze wyroby?

Uśmiech zniknął z twarzy sklepikarki. W oczach jej zamigotał niepokój. „Czyżby chciał się rzeczywiście do mnie przyczepić?” Było to prawdopodobne, gdyż nikt oplacający się władzom okupacyjnym nie mógł mimo to czuć się bezpiecznym. Gdy przyszło jakieś nowe doniesienie czy nacisk z góry, bez skrupułów konfiskowano towary albo nawet aresztowano pomimo utrzymywania najlepszych stosunków towarzyskich i stałego pobierania łapówek.

W tej chwili Kłós zachwiał się lekko i dla zamaskowania tego ruchu uderzył pięścią w pokrytą blachą deskę bufetową.

— Wszystko jedno zresztą! Jeszcze o tym pogadamy! Teraz niech pani da czego się napić.

Pani Sroczyzna znowu odsłoniła w uśmiechu swoje złote zęby.

— Limoniady czy może piwa? Dostałam okazji parę butelek.

— Wódki!

Kłós ponownie uderzył pięścią w blachę i jego kwadratowe, nie ogołone szczęki zacisnęły się stanowczo.

— Przecież ja wódki nie trzymam.

— Komu to pani powie?

— No, czasami mam tam w domu jaką butelkę, bo Miecio nie pije, a na kolei dają im raz na miesiąc po pół litra. Ale teraz nie mam.

— To pani pošlij.

?— Zaraz. Tu zostawił swój przydział kolega Mięcia. Wezmę go, a potem odkupię.

Za chwilę na stoliku pokrytym ceratą w niebieską kratę stała butelka z czerwoną kartką oraz talerzyk z przyborami do jedzenia. Pani Sroczyzna krzątała się uśmiechnięta i pełna pogody.

— Dobrze pan dzisiaj trafił, bo akurat przynieśli mi świeże ryby. Zaraz panu podaję. Karaś, że palce lizać.

Kłosa ogarnęła błoga atmosfera spokoju. Przykre sceny w domu zatarły mu się w pamięci. Żeby utrwalić ten stan, wychylił szklaneczkę wódki i zaraz poczuł apetyt. „Psiakrew! Nie dały mi nawet dokończyć obiadu!” — warknął w myśli pod adresem matki i żony, ale bez szczególnej złości.

Drzwi otworzyły się z brzękiem szyb. Kłós zerwał się i błyskawicznym ruchem sięgnął do pochwy po rewolwer. „Trzeba będzie nosić drugi pistolet w kieszeni” — przemknęło mu błyskawicznie przez głowę. — „Będzie można prędzej wydobyć, a w takich razach jedna sekunda może zdecydować o życiu”.

Do sklepu weszło dwóch młodzieńców: jeden z nich był osiemnastoletnim wysokim blondynem z dużą czupryną i z bardzo małymi, jakby zapadłymi oczkami bez brwi, drugi — krępy brunetem w olbrzymich butach z cholewami, które dziwnie nie pasowały do jego małego wzrostu. Kłós na ich

widok usiadł spokojnie. Był to Mietek Sroka ze swym kolegą, Edwardem Kapuściakiem, starszym od niego o lat kilka. Obaj pracowali na kolei w Szczęśliwicach jako robotnicy przy uprzążaniu i naprawie wagonów. Nie nosili jednak mundurów, tylko czapki kolejowe. Mietek miał sztywną czapę niemiecką, Kapuściak — starą, przedwojenną rogatywkę z różowymi wypustkami.

— Dzień dobry, panie plutonowy.

— Jak się macie, chłopaki? Dlaczego to dziś nie pracujecie?

— Mamy zwolnienie.

— Trochę za dużo tych zwolnień. Będziecie mieli najlepsze zwolnienie, jak was złapią i wywiozą do Rzeszy.

Mietek odsłonił szczękę w odziedziczonym po matce uśmiechu.

— Nie złapią. Takie mamy auswajsy!

Ścisnął prawą pięść i napiął mięsień ramienia odstawiając łokieć na zewnątrz.

— Razem z waszymi auswajkami mógłbym was w tej chwili zabrać, a jutro już by was tu nie było. Mietek nachylił uprzejmie swoją bladą trójkątną twarz. Okraślił ją bardzo wątpliwym uśmiechem.

— Wiemy, panie plutonowy, ale wiemy także, że nas pan plutonowy nie skrzywdzi.

Kłosa mile polectała ta niezbyt zasłużona o nim opinia. Równocześnie oświeciła go myśl, że powinien z powrotem nawiązać stosunki ze społeczeństwem, które tak gwałtownie chciało się go pozbyć ze swego łona. Zwłaszcza, jeśli chodziło o młodzież, nie wątpił, że cała należy do tajnych organizacji.

— Ciocia Sroka! — wrzasnęła na całe gardło. — Jeszcze dwie półsetki!

Nie czekając na skutek sięgnął łapą za bufet, chwycił dwie szklaneczki, postawił przed sobą i zaczął je napełniać wódką.

— Napijcie się ze mną.

Pani Sroczyna wypadła zza bufetu.

— O, Miecio nie pije! Ma słabe płuca. Doktor mówił, że obawia się gruźlicy.

Kłos machnął lekceważąco wolną ręką, nalewając w dalszym ciągu.

— Ja również nie piję — twardo odezwał się Kapuściak.

— A ty znowu dlaczego?

— Nie wolno mi.

?— Co, też ci pewnie doktor zabronił? He, he! Urządziła cię, co? Nie ma zębów, a gryzie? He, he, he!

Kapuściak milczał. W przeciwieństwie do uśmiechniętego Mietka przyglądał się Kłosowi swymi czarnymi błyszczącymi oczami bystro i bez cienia życzliwości.

?— No, już nalane! Wy młodzi, wy młodzi, wam bimber nie zaszkodzi! Od jednego kieliszka nikt nie dostał jeszcze gruźlicy. Siadaj, Edek. Przedłużysz sobie kurację o parę dni.

Pani Sroczyna odsunęła syna ramieniem.

— Panie Kłos, niech pan mi nie rozpija syna.

Kapuściak nawet nie drgnął. Kłos spojrzał na niego z ciekawością. Znał go od urodzenia i odczuwał dlań życzliwość, może dlatego że był również niewielkiego wzrostu i w dodatku brunetem. W epoce kultu wysokich blondynów te dwa braki łączyły ich w sposób naturalny.

— Edek, czemu nie siadasz i czemu patrzysz na gorzałę jak na kateter z lapisem? Nie bój się! Do złego bym cię nie namawiał. Już na twoich chrzcinach piłem, chociaż byłem młodszy niż Mietek. Pamiętam, że twój stary postawił taką śliwowicę, aż mi oko zbiełało.

— Nie piję, panie plutonowy.

— Siadaj, do wielkiej Anielki!

W tej chwili znowu brzękły szyby i do kawiarni wkroczył mały żandarm niemiecki w wielkim zielonym hełmie ze swastyką i z pistoletem maszynowym na ramieniu. Kłos zerwał się na jego widok na baczność i zaszalutował ze swym niemiłym uśmiechem.

Niemiec podał mu rękę, rozglądając się bacznie.

— No, gdzie można spotkać Kłosa, jak nie ma służby? U ciotki i przy sznapsie. Nawet dla mnie nalaleś.

Jednym łykiem wychylił szklaneczkę i zaczął grzebać w smażonej rybie Kłosowym widelcem.

Znów szczęknęły drzwi. Tym razem wpadł jak bomba wielkiego wzrostu cywil bez kapelusza z ogoloną głową i z przyszyżonymi twardymi wąsami bardzo jasnej barwy. Miał twarz czerwoną o obwisłych policzkach, grubych, jakby opuchłych powiekach, i wysuniętych naprzód wydatnych wargach.

Był to folksdojcz Winter, właściciel apteki, a po wkroczeniu Niemców zarazem dyrektor fabryki chemicznej w naszym mieście. Stał na środku w swym workowatym, brunatnym w poprzeczne prążki garniturze, który powiększał jeszcze i tak już olbrzymie jego rozmiary i obcierał chustką spoconą gołą czaszkę.

— Panie Kranc, ja pana gonię. Mam do pana ważny interes.

Wyciągnął z kieszeni jakiś list i rzucił go na stolik.

— Patrz pan, co mi dzisiaj poczta przyniosła!

W trzecim roku wojny wśród naszych władz okupacyjnych, składających się z Niemców miejscowych, śląskich i wschodnio-pruskich, ustalili się zwyczaj rozmawiania po polsku nawet między sobą.

Kranc obejrzał uważnie kopertę, wydobył i rozprostował zapisany pismem maszynowym arkusz papieru, potem wyjął z kieszeni podobny papier i położył go obok. Wtedy Kłos z dowcipnym wyrazem twarzy sięgnął po swój wyrok i dołączył do obu leżących. Na ten widok Kranc klepnął go z rozmachem w ramię.

— Ha, ha, ha! Tośmy się dobrali! Klub wisielców! Ha, ha, ha! — zerwał się i grzmotnął Wintera pięścią w biodro. — Siadaj, stary kajdaniarzu! Napijemy się pod te papierki.

Kłos odsłonił swe białe zęby z właściwym sobie przykrym uśmiechem.

— He, he, he!

Zgięty w pół nad stołem nalewał wódkę po wypiciu pierwszej kolejki.

Winter wypił wódkę, ale nadal stał rozkraczony w swych wichrowało pofałdowanych niezmiernie szerokich spodniach i patrzył z jakimś tępym zdumieniem na towarzyszy.

— Czyście powariowali? Z czego się śmiejecie? Jakaś zbrodnicza banda grozi wam śmiercią, a wy sobie z tego kpinki urządzacie?

Kłos dostrzegł, że dwaj młodzieńcy, pijący kwas przy bufecie, strzygą uszami w ich stronę. Równocześnie jakby gorące źródło radości wytrysnęło mu w piersi, radości z własnej brawury oraz z poczucia bezpieczeństwa wśród towarzyszy równie jak on zagrożonych.

— He, he, he! Jak my się śmiejemy, to śmieć się i pan, panie Winter. Nic panu nie zrobią.

— Nic nie zrobią? A co się dzieje w Warszawie? Przecie tam szlachtują Niemców jak świnie.

— Co innego Warszawa, a co innego Brodnia. Nieprawda, panie Kranc?

Kranc błysnął swoim złotym zębem. Chwycił pistolet maszynowy, który zawiesił był na krześle i podsunął go Winterowi.

— Widzisz ten rozpylacz?

— No, widzę.

— A to, co na nim?

— Jakieś kropki, wymalowane białą farbą?

— Wiesz, ile jest tych kropek? Czterdzieści osiem. A wiesz, co każda z nich oznacza? Nie wiesz? To sobie zapamiętaj. Każda kropka to trup wroga narodu niemieckiego, który padł z tej oto ręki i z tego oto rozpylacza. I ja miałbym się bać jakichś szczeniaków z damskimi pistolecikami? Do pięćdziesięciu dociągnę jeszcze w tym tygodniu, a do setki, jak dobrze pójdzie, jeszcze w tym roku. I nikt mi w tym nie przeszkodzi.

Kłos zauważył, że Mietkowi Sroce i Edkowi Kapuściakowi, którzy siedzieli przy szklankach z żółtym kwasem naprzeciw siebie, świecą się oczy jak iskry w popielniku. Ale też i wszystko już mu się iskrzyło wszelkimi barwami oraz kołysało pełnym radości rytmem. „Warto jest żyć! Świat jest piękny i ciekawy, a ludzie mili i godni przyjaźni!”

— Panie Winter, jeszcze po jednym!

Kranc zerwał się na równe nogi.

— Nie! Dość! Musimy najpierw iść do Szwutkego. Szwutke był to naczelnik policji kryminalnej.

Urodzony

w naszym mieście, aż do wkroczenia Niemców uchodził za Polaka i pracował jako urzędnik w Powiatowej Komendzie Uzupełnień.

Kłós zerwał się również.

— Idziemy! Ale bierzemy gołdę i zagrychę. Pani Sroka, pół litra monopolki, dziesięć bułek i ćwierć kilo boczku! Tylko już!

— No, to jeszcze „so genannte polnische” strzemienny! — wykrzyknął Winter.

Wypita wódka uderzyła mu do głowy. Oczy mu błyszczały, a różowa łysina perliła się od potu.

Ciemność, jaka otoczyła Kłosa po przebudzeniu, była tak nieskazitelna w swej czerni i tak niezmiernie głęboka, iż zdawało mu się, że popadł niespodzianie w jakąś potępieńczą otchłań bez dna i bez granic, z której nie ma już żadnego wyjścia. Czuł, co prawda, że leży w łóżku, rozebrany i nakryty kołdrą, ale gdzie jest, co się z nim dzieje i w jaki sposób doszedł do takiego stanu, tego nie mógł sobie żadną miarą uświadomić.

Było to tym straszliwsze, że równocześnie głowę wypełniała mu całkowicie chłodna i bezlitośnie przenikliwa trzeźwość. Nie odczuwał najłżejszego zamroczenia czy nawet osłabienia, które przecież zawsze występowało u niego po przepiciu. Oddychał zupełnie swobodnie i lekko. Oczy miał otwarte szeroko bez najmniejszej skłonności do sklejania się, jak to zwykle bywa po głębokim śnie. A mimo tego wszystkiego nie mógł sobie niczego przypomnieć ani uprzytomnić. Czyżby już był umarł i obudził się teraz na innym świecie, w jakiejś straszliwej bezdni zapomnienia?

Żeby zapanować nad grozą, która zdawała się obklejać mu wszystkie członki ssącymi ramionami ośmiornicy, zaczął rozumować spokojnie z rozpaczliwym wysiłkiem mózgu.

Oczywiście jest, że leży we własnym pokoju. Jeśli nie widzi niczego, to tylko dlatego, że przecie od początku wojny okna są szczelnie zalepione czarnym papierem. Tylko gdzie są te okna?... Z której strony jest ściana, a z której wolna przestrzeń izby?... W jakim kierunku powinny znajdować się drzwi do kuchni?...

Wyciągnął dłoń i namacał ścianę, ale nie tam, gdzie się spodziewał. Doznał przykrego zawrotu głowy.

Postanowił zaprzestać wobec tego prób orientowania się w położeniu. Zaczął sobie przypominać ostatnie wydarzenia:

„Otrzymałem wyrok śmierci. Potem piłem bimber i pokłóciłem się z Łodzią i matką... Potem piłem znowu z Kran- cem i z Winterem u cioci Sroki... Potem poszliśmy do kryminalnej... A potem?...

Tu już wszystko zacierało mu się w pamięci. Występowały tylko poszczególne obrazy i fragmenty, jak we wspomnieniach najwcześniejszego dzieciństwa.

Przypomniał więc sobie, jak we trzech wtoczyli się do gabinetu Szrutkego. Cały pokój był wysłany wspaniałym, jasnym dywanem. Na ścianach wisiały powiększone fotografie z kampanii wrześniowej w Polsce: piechota niemiecka w baniastych hełmach, maszerująca na tle czarno-białych dymów pożarnych; stos trupów końskich i ludzkich pośród pogruchotanego sprzętu jakiejś zniszczonej baterii; ruiny Warszawy, widziane z samolotu... Ponad tym wszystkim górował portret generalnego gubernatora Franka o rysach znamionujących lubieżność i okrucieństwo, wyrażających jednak zarazem jakąś nieśmiałość czy zawstydzienie...

Na pierwszym planie kraśniała postać sekretarki w poziomkowej sukience oraz z rudą szopą włosów na głowie. Siedziała tyłem do biurka. Stopy obute w czerwone koturny trzymała na poręczach fotela. Śmiała się na całe gardło i nie odwróciła się nawet na szelest otwieranych drzwi. Sam Szrutke, również roześmiany, leżał na szafirowej kanapce świecąc wygoloną czaszką.

Wszyscy trzej przybyli bez słowa zaczęli wydobywać wódkę i zakąski, ustawiając je na biurku. Szrutke zerwał się z udanym oburzeniem.

— Tylko nie róbcie z mojego biurka bolszewickiego bałaganu!

Zaraz jednak nachylił się i wy dobył z dolnej przegródki kieliszki oraz dużą butelkę koniaku.

— Prosto z Francji!

Kłós chwycił ją, aby odkorkować, ale zatoczył się przy tym na kanapę. Szrutke roześmiał się głośno:

— Ho, ho! Ten ma już dość!

Potem Kłos przypomniał sobie lśniące, czarne włosy i bladą twarz kierownika urzędu pracy, który zjawiał się nie wiadomo kiedy. Mówił on coś do Szwutkego w niesłychanym podnieceniu, pokazując jakiś list. Na to Kranc z Winterem wybuchnęli hałaśliwym śmiechem i wyciągnęli również swoje wyroki śmierci. Kłos usiłował uczynić to samo, ale omal nie zwał się z kanapki. Oczy kleiły mu się tak, że z trudnością je odmykał. Mimo to również śmiał się na całe gardło. Ale Szwutke i jego sekretarka spoważniali, a Zeman spojrział w ich stronę wzrokiem złym i pełnym pogardy.

— Es ist nichts zam Lachen!

— Ha, ha, ha! — ryczał Winter. — Zeman, stary draniu, napij się z nami ostatni raz przed śmiercią!

— Ruhe! — warknął Szwutke ze zmarszczoną brwią.

Przez parę minut rozmawiał z Zemanem z wielkim ożywieniem. Tymczasem Winter wtykał wszystkim w garście wielkie kielichy wódki.

— Pij, polski chłopie! — ryczał do Kłosa. — To ci dobrze zrobi!

— Za szczęśliwą żeglugę Zemana do tamtego brzegu!

— Za szczęśliwą podróż do Walhalli!

Zeman wyszedł trzasnąwszy drzwiami. To trzaśnięcie zgasiło świadomość Kłosa, która ocknęła się dopiero teraz.

Wywołanie tych wspomnień przyniosło mu pewną ulgę.

„Jestem wciąż skazany na śmierć. Kiedy się najmniej będę tego spodziewał, zjawi się jakichś dwóch szczeniaków z podziemnej organizacji i zaczną rąbać do mnie na dwa kroki z pistoletów. Oślepią mnie błyski wystrzałów, ogłuszy huk, poczuję silne, bezbolesne uderzenie kul w piersi, w szyję, w twarz, w brzuch; potem robi mi się gorąco i tak słabo, że zakręci mi się w głowie i trzępę czaszką o kamienny chodnik. A potem jeszcze zaczną się konanie. Żeby mnie tylko dobrze trafili!... Żeby nie tak, jak ja tego Walusiaka z organizacji wojskowej. Bo ten to długo nie mógł wykito- wać. A krzyczał!...”

Rozmyślenia te snuł zimno i spokojnie. Znajdował nawet głębokie zadowolenie, niemal rozkosz, że tak mało go przejmują. „Jednak do wszystkiego można się przyzwyczaić, nawet do nagłej i niespodziewanej śmierci. Żeby tylko nie ta nieprzenikniona ciemność.”

Przymknął powieki i ciemność nieco się rozjaśniła, a raczej stała się tylko przenikalna. Ale dlatego właśnie chwyciła go groza. Znalazł się w bezkresnej otchłani, jakby na dnie oceanu. Przestrzeń była czarna, ale gdzie spojrział, wylaśniały się z niej jakieś nieruchome kształty, niby posagi gipsowe czy udrapowane kłęby białego płótna. Było to królestwo beznadziejnej martwoty i zupełnego bezruchu. Patrząc w nie Kłos czuł, że sam zamiera, jakby wszystkie siły wypromieniowały zeń w tę przepaść niebytu, że nie mógł już wykonać żadnego ruchu ani wydobyć głosu z krtani. Nie miał już wątpliwości, że umarł i że na całą wieczność skazany jest, żeby patrzeć nieruchomo w tę straszną bezdeń. Rozpacz jego przeszła w apatię pełną rezygnacji. „Wszystko skończone! Widocznie zastrzelili mnie po pijanemu. Ale przynajmniej jest to już poza mną. Skończyła się męka życia.”

Naraz usłyszał szybkie kroki. Otworzył oczy. Uderzyła w nie znowu czarna ściana ciemności, która naraz otworzyła się i oślepił go strumień światła. Zamknął oczy. Widział teraz pod powiekami niezwykle jasny seledynowy czworokąt drzwi z sylwetką w nim kobiety. To była jego żona. Znowu szybkie stąpanie. Podeszła do niego.

— Franiu, śpisz?

Te słowa oznaczały dla Kłosa zmartwychwstanie, nader zresztą przykre. Zaczął już godzić się z tym, że nie żyje. Cóż miłego zresztą czekało go na tym świecie? Wezbrała w nim złość.

— Czego mnie, do cholery, budzisz?

— Już późno. Chciałabym, żebyś co zjadł, zanim pójdziesz na służbę.

Każde jej słowo było wypieszczone, wygładzone i prześwietlone miłością i troską.

— Odsłoń okna!

Zaczęła zwijać w wałki zasłony z czarnego papieru. Powódź złocistego światła napelniła izbę.

Raziło ono boleśnie źrenice Kłosa. Mimo to nie zamykał oczu. Patrzył z uporem w wiszący na ścianie obraz, przedstawiający Matkę Boską karmiącą Dzieciątka Jezus. Obraz ten stał się modny podczas wojny. Wierzono, że zapobiega głodowi. Dlatego też matka Kłosa kupiła go i zawiesiła nad łóżkiem syna. Święta Maryja była błogo uśmiechnięta i podawała dwoma palcami pierś grzebiącemu nóżkami Dzieciątku. Kłos patrzył na to z ponurą nienawiścią.

— Matka Boska Nieustającej Pomocy. „Pomnij, o najdobrotliwsza Panno Maryjo, iż od wieków nie słyszano, aby kto uciekając się do Ciebie, Twojej pomocy wzywając, Ciebie o przyczynę prosząc, miał być przez Ciebie opuszczony.”

Tę modlitwę świętego Bernarda umiał na pamięć. Odmawiał ją we wczesnej młodości często, po parę razy na dzień, były bowiem do niej przywiązane specjalne odpusty. Teraz jednak wiedział, jak był niesłuchanie głupi. Tylko tępe polskie bydło wierzy we wpływ sił nadprzyrodzonych na losy człowieka. O wszystkim decyduje wola i siła płynąca z organizacji. Tak tłumaczył Kranc i inni Niemcy. Poza tym zresztą

1 Matka Boska, i Jej Syn byli to zwyczajni Żydzi.

33

Przypomniało mu się wszystko, co wyczytał w prasie okupacyjnej czy też słyszał od Krańca o roli Żydów w wywołaniu obecnej wojny. Wynikało z tego, że rządy wszystkich 3 — wvrok na Franciszka Kłosa państw demokratycznych, nie wyłączając sanacyjnej Polski, opanowane były przez ten przebiegły i podstępny naród. Nawet polityka papieska uzależniona była od potężnych wpływów żydowskich. Dzierżyli oni w swych rękach cały niemal kapitał świata. Gdyby nie głupota tudzież brak uświadomienia większości Polaków, nie ponieśliby oni straszliwej klęski wrześnie i nie popadliby w tak ciężką niedolę.

Dotychczas nie ciekawiły go te odkrycia. Osobiście nigdy nie zaznał krzywdy od tego narodu. Owszem, oblowił się nawet na nim, gdy wszystkich Żydów z Brodni wysiedlono do warszawskiego getta. Niesłychane okrucieństwa, jakich hitlerowcy oraz nacjonaści łotewscy, litewscy, ukraińscy i rosyjscy dopuszczali się na masach żydowskich, przerażały go raczej, tym bardziej że wszyscy oni, a nawet sami Niemcy, mówili: „Po Żydach przyjdzie kolej na Polaków”. Zresztą propaganda hitlerowska nie trafiła mu do przekonania: „Niby to Żydzi tyle krzywdy wyrządzili Polakom, a Niemcy to nie?” Nie dalej jak dwa miesiące temu spotkał Żyda, który uciekł z getta warszawskiego i „wstawiał” mięso do restauracji Cuglewskiego. Nie zrobił z tego użytku. Zadowolił się tylko grubą łapówką. Obecnie jednak obudziła się w nim nienawiść. „Jeśli go teraz kiedykolwiek spotkam — nie ujdzie żywcem. Wszystko to draństwo powinno się wytępić, żeby nawet na nasienie nie zostało. A z nimi wszystkich, którzy ich żalują i im pomagają. I wszystkich żydowskich wojtków z tajnych organizacji!”

Wybuch ten obudził w nim energię. Gwałtownym ruchem usiadł na łóżku i zaczął naciągać spodnie.

— Parszywe gudłaje! ?— mrucał przez zaciśnięte zęby. Uderzył się nawet pięścią w kolano. Żona odsłoniwszy okna podeszła do niego.

— Wstajesz?

Nie odpowiedział.

— Myślałam, że zjesz śniadanie w łóżku.

Rzucił jej złe spojrzenie swych małych oczek spod czarnych, szczeciniastych brwi.

— Skocz no na jednej nodze i przynieś mi ćwiartkę gorzały.

— Franuś...

— Słyszałaś?

— Franuś, pozwól mi powiedzieć jedno słówko.

— Powiesz potem, jak przyniesiesz.

Właściwie nie miał ochoty na wódkę, drażniła go tylko nieśmiałość żony i jej męcząca troska o niego. *

Wpatrywała się weń z natężeniem.

— Dobrze, przyniosę ci, ale pod warunkiem, że napijesz się w domu i już nigdzie dzisiaj nie będziesz wychodził.

Spojrzał na nią z pewnym lękiem. „Dlaczego to powiedziała?”

— Zrobię to, ci mi się będzie podobało.

Ale żona dostrzegła już jego niepokój. Jak większość istot słabych i uciśnionych doznała radości, że wykryła czułą stronę swego ciemniźcyiela. Od dawna zresztą przemyśliwała nad wynalezieniem środka, przy pomocy którego udałoby się jej pokierować mężem i sprowadzić go z drogi wiodącej do nieuchronnej zguby, po której według niej kroczył.

— A czy ty wiesz, coś zrobił wczoraj?

— No? — zapytał niepewnie.

W spojrzeniu jego czaiło się przerażenie.

— Jak to, więc niczego sobie nie przypominasz?

Nachyliła się nad nim rozogniona, z pałającymi oczyma.

Ale Kłós spostrzegł już jej triumf. Zerwał się i odwrócony tyłem zapinał szelki.

— Dobrze, dobrze! Najpierw zrób, com ci powiedział, a potem będziemy gadali.

Ale żona nie ustępowała. Szarpnęła go energicznie za ramię i zajrzała mu w oczy, badawczo i stanowczo.

— Pamiętasz, coś wczoraj robił w sklepiku u Sroki?

Kłós spojrzał na nią zalękniony.

— No... chyba...

— Pamiętasz? Pamiętasz, żeś chciał zamordować tę małą Wandzię, jej siostrzenicę? Pamiętasz, żeś do niej strzelał z rewolweru kilka razy? Pamiętasz?...

W głosie jej było uniesienie i rozpacz, i jakby dzika radość triumfu. Żrenice jej błyszczały coraz silniej jak reflektory zbliżającego się samochodu. Coraz zacieklej wpijała się paznokciami w mięsień jego ramienia, szarpiąc jego osobą jak w napadzie szału. Kłós znowu doznał niesłychanie przykrego wrażenia, które go teraz coraz częściej nawiedzało, że mu szpik w kościach zamarza.

— Puść, psiakrew! Muszę się przecież ubrać! Tyś już chyba zupełnie zwariowała?

Miało to być powiedziane stanowczo i groźnie, ale głos mu się załamał. Czuł, że serce przestaje mu bić zupełnie, że wszystkie siły wyciekły z mięśni niby powietrze z przedziurawionych dętek samochodowych. W oczach ciemniało mu raz po razie. Usiadł na łóżku, bezwładny i pokonany. Tymczasem, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, żona usłuchała go natychmiast. Odskokczyła w nagłym odruchu i szybkim, jakby ptasim ruchem oparła prawą pięść na biodrze. Była tak piękna i wspaniała w swym podnieceniu, że pomimo uczucia zamierania spoglądał na nią z zachwytem, jak w pierwszych dniach ich miłości. Nie zdawała się jednak tego spostrzegać: — Tak, Franiu, ja zwariowałam, zupełnie zwariowałam! Za dużo piłam bimbrowa i wódki. Przyniosę ci butelkę, nie bój się, przyniosę ci cały litr. Nachlaj się, a potem pójdiesz wykończyć małą Wandzię. Gonileś ją po całym mieszkaniu. Skryła się w komórce za drzewem, ale trafiłeś tam za nią i zacząłeś strzelać, dopóki nie zbiegli się żandarmi. Nie trafiłeś na szczęście, ale dziecko pochorowało się z samego strachu.

Oslabienie Kłosa nie tylko nie ustępowało, ale zdawało się zwiększać. Opuścił głowę na poduszkę i zamknął oczy. „Może to jeszcze nie śmierć. Może to tylko zemdlecie.” Naraz pot zaczął walić zeń strumieniami. Ściekał mu wzdłuż nosa do ust, po powiekach, między uszami. Poduszka stawała się coraz bardziej mokra. „Nie, to już koniec! To przecież są śmiertelne poty. Och, żeby jaki ratunek! Żeby chociaż mieć na tyle siły, by móc doczołgać się do pistoletu i wpakować cały magazyn w tę jędrę, która go do tego doprowadziła! Och, żeby ją zamordować przed skonaniem!”

Musiał zmienić się bardzo na twarzy, bo żona umilkła. Widocznie przyglądała mu się. Wreszcie odezwała się ciszej i łagodniej:

— Więc mam iść po wódkę?

Zdobył się na ledwie dosłyszalny szept:

— Idź.

Wyszła natychmiast.

Leżał bezwładny w dalszym ciągu, a pot walił zeń bez przerwy. Aby skrócić męki niewątpliwego faktu konania, śpiewał sobie bezgłośnie na dość skoczną nutę.

— Rany Boskie! Rany Boskie! Rany Boskie! Rany Boskie! Starał się nie dopuszczać myśli, że

nie doczeka już powrotu żony. Tymczasem rozległy się jakieś kroki.

„Po mnie! Nie dadzą mi umrzeć naturalną śmiercią.” W tej chwili śmierć taka wydała mu się szczytem marzeń. „Żeby przynajmniej jeden i drugi szczeniak nie chwalił się potem, że mnie rąbnał.”

Ktoś podszedł do niego lekkim krokiem.

— Masz, przyniosłam ci wódkę.

— Łodzia? Tak prędko?

Zdawało mu się, że wyszła przed chwilą. Odzyskał siłę natychmiast. Zerwał się na równe nogi i wyciągnął rękę.

— Dawaj i przynieś szklanke!

— Jest tutaj.

Zaczął nalewać, ale chwiał się na nogach i ręce mu się trzęsły, tak że prawie połowa trunku wyciekła mu na podłogę. Pijąc zalał sobie brodę i piersi. Potem położył się znowu i leżał, póki alkohol nie rozlał mu się po żyłach i nie napełnił go znowu spokojem i mocą. Ale ani równowaga nerwowa, ani siły nie powracały jakoś w dostatecznej mierze. Chciał napić się znowu, lecz czuł takie mdłości, że obawiał się wymiotów przy najlżejszym ruchu. „Zresztą trzeba jeszcze poczekać z dziesięć minut. Za mało czasu minęło, żeby alkohol mógł już zacząć działać.” Przysłuchiwał się, jak żona krzątała się przy kuchni, brzękając naczyniami. „Czyżbym rzeczywiście doszedł już do tego stanu, żebym mógł mordować dzieci po pijanemu? W takim razie nie ma już dla mnie ratunku.” Rzeczywiście cały okres życia został wymazany z jego pamięci. Nigdy mu się to dotychczas nie zdarzyło. Owszem, przypominał sobie stany pijackie, kiedy zaledwie przez mgłę rysowały mu się w umyśle widziane sceny i czynności, ale zawsze w końcu odtwarzał sobie w pamięci wszystko. To, co się stało obecnie, wydawało mu się czymś straszniejszym od samej śmierci. Nie był panem swojego ciała! Wydawało mu się, że jakiś szatan czyhał na chwilę, kiedy stracił świadomość, żeby owładnąć nim dla swoich straszliwych celów. Oburzała go niegdyś miękkość sądów polskich wobec zbrodniarzy, którzy udawali niepoczytalnych pod względem psychicznym albo tłumaczyli się alkoholizmem. „Cholera! — mawiał. — Właśnie za przestępstwa popełnione pod wpływem wódki powinno się dwa razy ciężiej odpowiadać!” Teraz poznał, że wypowiedział to zdanie widocznie w złą godzinę. Demon alkoholu zapamiętał mu je i teraz zaczyna się mścić.

Usłyszał kroki. Żona podeszła do otwartych drzwi i przyglądała mu się uważnie. Nie otwierała oczu. „Czego znowu ode mnie chce?” I naraz ogromna radość podskoczyła mu w piersi. Przecież ona wszystko skłamała! Klamała, żeby zdobyć nad nim przewagę i odwieść go od wódki! Och, ale teraz pożałuje tego! Odpokutuje ciężko za tę otchłań cierpienia, w jakie go dziś pogrążyła! Usiadł nagle nagłym ruchem, ale zaraz opadł, bo zakręciło mu się w głowie.

— Czego tu chcesz?

— Myślałam, że zapytasz, dlaczego mnie tak długo nie było?

Co to ma znaczyć? Przecie przyszła nadspodziewanie prędko.

— O nic cię nie zapytam, bo wiem, że i tak skłamiesz.

— Tym razem łatwo można sprawdzić, czy kłamię, bo całe miasto o niczym innym nie mówi.

Znowu ten przenikliwy ból szpiku kostnego.

— O czym mówi? Co ty gadasz?

— Zabili Zemana, wiesz? Tego kierownika arbajtsarntu.

— Jakiego Zemana? Przecież wczoraj jeszcze piłem z nim razem u Szwutkego.

— No, ale dzisiaj już nie żyje. Jakiś młody człowiek przyszedł do jego biura, że niby ma złożyć prośbę. Podał mu papier, a potem oddał trzy strzały z rewolweru.

— I złapali go?

— A jakże! Złapali! — w głosie żony zabrzmiał sarkazm i pogarda. — Było przy tym czterech uzbrojonych folksdoj- czów, a jeden z karabinem na podwórku, ale żaden nawet się nie ruszył, bo drugi Polak stał zaraz przy drzwiach, a prócz tego dwóch jeszcze z rowerami na podwórzu. Toteż każdy był rad, że wyszedł z życiem.

Widać było, że całe współczucie pani Kłosowej było po stronie zamachowców.

Kłós zachłysnął się powietrzem. Potem porwał butelkę i nalał pół szklanki wódki. Ale wypiwszy zakasłał się i zwrócił wszystko do kubła. Potoczył błędnymi załzawionymi oczyma i znowu nalał do szklanki. Zona przysunęła się nieśmiało do niego.

— Franuś, widzisz sam przecie, że ci wódka szkodzi. Nie Pij!

— Poszła won!

— Nie wierzysz mi, żeś wczoraj po pijanemu o mało nie zamordował tej biednej Wandzi?

— Nie!

— Wpadłeś do sklepu tej Sroki i zacząłeś wykrzykiwać, że jej syn Mietek i ten drugi, jego kolega Kapuściak, należą do tajnej organizacji i że mają rozkaz cię zamordować. Zacząłeś z rewolwerem w rękę przeszukiwać mieszkanie. Wandzia ukryła się w komórce, a tyś zaczął walić w kąt za drzewem na opał.

Kłós zbliżył szklankę do ust i pił wolnymi łykami, tłumiąc czkawkę. Tym razem udało mu się umieścić w żołądku resztę wódki.

— Z Warszawy przyjechało podobno gestapo, a z Groszkowa cała buda tych Ukraińców z zielonymi kołnierkami. Mówią, że za Zemana będzie rozstrzelanych stu Polaków. Nie pij już więcej, bo i ciebie pewnie powołają na służbę.

Och, żeby rzeczywiście było rozstrzelanych stu Polaków! Ale nie. Właśnie od kilku tygodni, w związku z likwidacją getta warszawskiego oraz niepowodzeniami na froncie wschodnim, zaczął się nowy kurs w „Generalnej Guberni”, który komendant posterunku, Alojzy Schwick, określił w specjalnym przemówieniu: „Żydów zabijać, gdzie którego najdzieta. Do Polaków strzylać nie wolno!” Ale fakt przybycia gestapowców oraz rezerwy żandarmerii rekrutowanej z zawodowych zbrodniarzy, przeważnie Ukraińców, używanych do doraźnych egzekucji i do mordowania ukrywających się Żydów, napełnił serce Kłosa pewną otuchą. Przynajmniej dzisiaj nie ma co obawiać się nowych zamachów. Trzeba teraz odnaleźć Krańca i w ogóle nigdy nie pokazywać się samemu na ulicy. Szybko dokończył ubierania, wysączył resztę wódki i ruszył ku drzwiom.

Usłyszał jeszcze za sobą błagalny głos żony:

— Franuś, zjedz coś przecie. Pijesz, a nic nie zakąszasz.

Nie odwrócił się. Jednym susem wyskoczył na ulicę, trzymając dłoń przy odpiętej pochwie pistoletu, żeby ubiec wszelkich przypuszczalnych zamachowców.

Ulica była całkowicie pusta, choć oślepiająco jasna od słońca. Lodzia widocznie mówiła prawdę. Musiało zająć coś niezmiernie ważnego. Szybkim krokiem przeciął rynek, omijając z daleka sklepik cioci Sroki. W pustej ulicy 10 Lutego, gdzie mieściła się komenda policji, napotkał jadący samochód policyjny, który na jego widok zahamował gwałtownie. Kłosowi zamarło serce. „To już!” Członkowie tajnych organizacji bardzo chętnie przebierali się w mundury niemieckie i używali policyjnych samochodów. Drzwiczki wozu otworzyły się. Wysunęła się z nich lufa rozpylacza w dziurkowanej chłodnicy. „Strzelać i uciekać!” Szarpnął za kolbę pistoletu.

— Halt! Hände hoch!

Wysoki młodzieniec w czapce z trupa główką i z pistoletem w dłoni wyskoczył do niego.

Kłós zamarł w bezruchu rozpaczy. „Koniec!”

— Kłós? Kłós? nicht wahr?

Nie odpowiedział.

— Mit! —? ryknął Niemiec, wrywając mu lewą ręką broń. Potem pchnął go potężnie do samochodu, dokąd wciągnęły go inne silne dłonie.

Rzucony brutalnie na tylne siedzenie, Kłós siedział zupełnie otepiały. „Ach, to w ten sposób będzie wyglądało... Wywiozą mnie za miasto do jakiego lasu, na cmentarz czy w jakie ruiny, każą postępować naprzód, wreszcie strzelą w łeb i zostawią trupa.” Był całkiem spokojny i zrezygnowany. „Lepiej, że się to raz skończy.”

— Raus!

Nowe pchnięcie, i Kłós idzie po schodach eskortowany przez dwóch gestapowców. Wprowadzają go do gabinetu Szwutkego. Siedzi tam za biurkiem jakiś krępy cywil pod pięćdziesiątkę z wygoloną czaszką, niskim czołem i wejrzeniem bandyty. Płowy garnitur w brunatne paski daje mu wygląd drapieżnego zwierzęcia. W rękę trzyma szpicrutę, którą uderza lekko po stole.

— Na, du polnischer Schweinehund, komm näher!

Kłós stoi niezdecydowanie, nie pojawia się.

— Gadaj, polski psie, co wiesz o tajnych organizacjach.

— O jakich organizacjach?

W tej chwili otrzymał kilka silnych i szybkich uderzeń pięścią w głowę i plecy od stojącego za nim gestapowca. Zatoczył się na biurko. Pręgowany cywil zerwał się na równe nogi.

— Los! — wrzasnął na konwojenta.

— Słuchaj, bydlaku — przysunął swoją mordę buldoga do twarzy Kłosa. — Nie próbuj tylko łąć, bo to się na nic nie przyda. Coś wczoraj wykrzykiwał u Sroki i w knajpie Go- worowskiego?

— Nie pamiętam, panie szefie. Naprawdę. Byłem zupełnie pijany.

— Nie szkodzi. My mamy środki, żebyś wytrzeźwiał. I w ogóle zapamiętaj sobie, że jestem człowiek dobry, nawet bardzo dobry, do rany przyłożyć, tylko nie znoszę kłamców i krętaczy. No?

— Panie szefie!! — Kłós uderzył się z zapalem w piersi. — Ja jestem policjantem. Służę wiernie i wykonuję sumiennie rozkazy swoich przełożonych, ale wtedy byłem po służbie, upiłem się i...

— Słuchaj chłopaczku, ja ci wierzę, wszystkiemu wierzę, a przynajmniej temu, że byłeś pijany. Ale widzisz — jak to mówią — co u trzeźwego w sercu, to u pijanego na języku, więc odpowiedz mi jak bratu, co wiesz o jakichś tajnych organizacjach.

W jego stalowych oczach czało się tak zimne okrucieństwo, że Kłós wyczytał w nim swoją śmierć. „Obawiałem się, że mnie zastrzelą Polacy, a tu mnie zakatuje na śmierć ten drań. Nie wiadomo, co by było lepsze.”

— Panie szefie, przez cały czas służę wiernie...

Ktoś zapukał delikatnie do drzwi.

— Ja wiem o tym. Ja chcę tylko twego dobra i dobra całej ziemi polskiej. Ja tu się urodziłem, ja jadłem polski chleb od urodzenia. Ta polska ziemia wychowała mnie i wykar- miła.

Pukanie do drzwi stało się bardziej natarczywe.

— Herein!

Wszedł Szwutke. Zbliżył się do pręgowanego Niemca i w kornej postawie wyjaśniał mu coś po niemiecku. Ten słuchał niechętnie i odburknął parę niezrozumiałych słów. Szwutke odwrócił się.

— Kłós! Co ty tu robisz?

— Panie szefie, jestem aresztowany i nie wiem za co.

Szwutke roześmiał się i zaczął znowu rozmawiać z pręgo-

wanym tak szybko, że Kłós nie uchwycił ani jednego wyrazu. Wreszcie zwrócił się znowu do niego.

— Pokaż ten swój wyrok!

Kłós wyciągnął pospiesznie papierek.

Pręgowany przeczytał go szybko i twarz rozjaśniła mu się szerokim uśmiechem.

— Ach, so!

Podszedł do Kłosa i zaczął z całej siły klepać go po ramieniu, śmiejąc się do rozpuku.

— Ty, stary draniu!

Powiedział jeszcze parę słów po niemiecku i obaj konwojenci z trupimi główkami zaczęli poklepywać Kłosa w ten sam sposób i wśród takiego samego śmiechu. Zwrócono mu broń.

Częstowano papierosami...

Kłós był rozradowany. Uśmiechnięty i wyprężony, salutował obecnych.

— To mogę już iść, panie szefie?

— Idź prędzej i upij się za moje zdrowie, jak świnia.

— Ha, ha, ha! — ryknęli pozostali Niemcy.

Kłós roześmiał się również hałaśliwie i znowu zasalutował, ale nikt, nawet Szwutke, nie podał mu ręki. Mimo to wyszedł z sercem pełnym wdzięczności i podziwu.

— Wszystko jedno, ale sprawiedliwy naród te szkopy. Poznali się na człowieku.

Przed domem zobaczył otwartą limuzynę. Koło szofera siedział Kranc.

— Kłós, jedź z nami.

— Dokąd?

— Do Nowej Woli. Donieśli nam, że ukrywa się tam rodzina żydowska. Jedziemy ją zlikwidować.

— Dobrze. Jadę.

Był: pełen szczęścia i poczucia mocy. Pędzili szosą wzdłuż kolejki podmiejskiej. Przechodnie oglądali się z trwogą na samochód. Oprócz Krańca siedziało w nim trzech nie znanych żandarmów z zielonymi kołnierzami oraz Edward Sroczyński, właściciel domku pod Nową Wolą, który przed wojną wynajmował się właścicielom willi do pracy w ogrodach. Miał on stale zatargi z policją dzięki awanturom pijackim oraz kradzieżom węgla na kolei. Teraz usiłował przyjąć jak najbardziej ujmujący wyraz twarzy, aby zwrócić na siebie uwagę Ukraińców. Nie udawało mu się to jednak w najmniejszej

mierze. Kłós również odwrócił się od niego do siedzącego przy kierownicy Krańca. Ten był w najlepszym humorze. Wyciągnął z kieszeni butelkę rumu.

— Co to?

— Spróbuj, świński ryju! Prawdziwy węgierski.

Kłós pociągnął kilkoma łykami.

— Masz spust, łobuzie.

?— A co pan dasz na zakąskę?

?—• Pomarańczę albo czekoladę.

— Dawaj pan i to, i to.

— Ha, ha, ha! Nie jesteś całkiem głupi.

Wysiedli przed dość wytworną willą. Żandarmi natychmiast obkoczyli ją ze wszystkich stron. Kranc pociągnął Kłosa na półokrągły murowany ganek z balustradą.

— Zostań tu!

Kłós został sam. Ostatnie przeżycia wyczerpały go jednak. „Rozkleiłem się.” Nie było to zdenerwowanie, tylko rzewne, a zarazem błogie pragnienie spokoju. Błądził oczami po olśniewająco białych od słońca ścianach willi, po zielono malowanych długich, wąskich skrzynkach na balustradzie oraz takichże donicach z palmami, kaktusami i innymi cieplarnianymi roślinami; po starannie zagrabionych żółtych ścieżkach, wijących się między gazonikami, pełnymi gorącożółtych nasturcji, wzorzystych palm, ciemnoczerwonych goździków oraz aksamitnie poważnych, różnobarwnych bratków. Obrazy te drgały mu w oczach i tańczyły jakby odbite w wodzie, niemniej widział je wyraźnie, a nawet jaskrawo.

Spokojne powietrze pełne było świergotu ptactwa. Wilga gwizdała zalotnie co minutę, a oprócz tego, ku zdumieniu Kłosa, zaczął swe trele słowik wśród pełnego dnia słonecznego. „Prawda, to jest jakiś gatunek leśnych słowików, które śpiewają w dzień.” Rozmarzał się coraz bardziej. „Jednak rum to co innego niż bimber. Och, żeby to już tak na zawsze zostało: i ten dzień słoneczny, i ten uroczy ogród, i ten śpiew ptactwa!”

Nagle z głębi domu rozległy się straszne ryki jego towarzyszy, którym zawtórowało kilka pospiesznych strzałów. Kłós na sekundę zamarł, potem jednym rozpaczliwym ruchem wydarł pistolet. Z okna obok jednym susem wyskoczył mężczyzna z czarną, kędzierzawą czupryną i w pasiastej piżamie. Przewrócił się po skoku, zerwał się znowu i kulejąc pobiegł w zarośla jaśminu. W Kłosie obudził się instynkt łowiecki. Oparł łufę na nadstawionym łokciu lewej ręki i oddał w jego kierunku trzy szybkie strzały. Mężczyzna padł, ale zaraz powstał. Kłós podskoczył do balustrady, oparł się na niej i celując starannie oddał jeszcze jeden strzał. Mężczyzna znowu się potknął, potem usiadł na trawie i zaczął głośno płakać. Kłós przesadził balustradę, nie chcąc tracić czasu na zbieganie po schodach. To zawrośnięcie drażniło go strasznie. Przypomniało mu jego pierwszą ofiarę, za którą skazano go potajemnie na śmierć. Doskoczył do ściganego. Ten odwrócił doń wybladłą twarz o czarnych wielkich oczach, rozszerzonych w bólu i rozpacz. Kłós strzelił pospiesznie znowu. Ranny tylko drgnął, ale nie przestał krzyżeć: „O jej, o jej, 0 jej!”... Wobec tego Kłós w rozpacz zaczął walić weń raz po raz, celując w głowę, żeby raz przecie ucichł ten przeraźliwy lament. Wreszcie po ostatnim wystrzale mężczyzna stuknęła tyłem czaszki o ziemię, zalewając chodnik strumieniem krwi.

— A to twarde życie miała ta bestia! Jak kot!

Zadyszany zarepetował broń i zaczął pchać do komory zamkowej świeży magazynek. Nie zauważył nawet, jak stanął przy nim Kranc wraz z jednym z

żandarmów, obaj z pistoletami maszynowymi.

— No, ty draniu — wołał Kranc, klepiąc go po ramieniu

i błyskając złotym zębem w szerokim uśmiechu — to tak bez żadnego miłosierdzia niewinnych ludzi mordujesz? Co ci zawinił ten Żydek? Tyle, że należał do wybranego narodu? A przecież Hitler powiedział w swojej ostatniej mowie, że Bóg dał wszystkim narodom jednakowe prawo do życia.

Kłós zrozumiał, jakie pochlebstwo dla niego kryło się w tej drwinie. Zrozumiał ten cynizm, pełen bezbożnej mocy. Dotychczasowe zdenerwowanie ustąpiło miejsca radosnej pysze. Był szczęśliwy i dumny. Gdy postrzelił Walusiaka, czuł grozę, rozpacz i wyrzuty sumienia — teraz nic podobnego.

— Chcą mnie zamordować? Dobrze. Zobaczymy, czy mnie dostaną. Dopóki mam broń przy sobie, każde ścierwo tak skona jak ten Żyd.

Kranc pociągnął go za rękaw.

— Chodź coś przekąsić. Należy ci się po takiej robocie.

Ruszył bezwolnie, w dalszym ciągu uzupełniając wystrzelone naboje w magazynku. Serce biło mu szybko. Kroczył jak we śnie i jak przez sen widział w słonecznym pokoju okrągły, biało nakryty stół, zastawiony butelkami, zakąskami i talerzykami.

— Nieźle jeszcze sobie żyją Żydzi w tej głupiej Polsce — błysnął ku niemu złotym zębem Kranc, nalewając dwie szklanki rubinowej wódki z gąsiora. — Spróbuj tej wiśniówki. •— Kłós wypił bezmyślnie, nie poczuwszy nawet smaku.

— Ale też ciągniesz jak wodę. Zakaś teraz. Jest w czym wybierać.

Kłós nie miał jednak siły niczego przełknąć. Pił tylko raz po raz, denerwując się, że nie odczuwa żadnego zamroczenia.

W pewnej chwili Kranc zerwał się i zaczął opatrywać swój pistolet maszynowy.

— No, teraz do roboty! Für Führer und Vaterland!

Kłós podniósł się także i również wyciągnął swój pistolet. Ze zdziwieniem stwierdził, że świat drga mu w oczach jak zepsuty film albo jak cienie prześwietlonego słońcem listowia w zadrzewionej alei. Chód miał niepewny. Z trudem utrzymywał równowagę. Wytoczył się za Krańcem na ganek. Jak przez mgłę ujrzał szeroki dół, z którego raz po raz wynurzały się głowy i migły łopaty dwóch kopaczy w szarych płaskich cyklistówkach. Pod ścianą willi, pilnowane przez żandarmów, stały dwie panie, młodzianka panienka oraz najwyżej dziesięcioletni chłopiec, wszyscy twarzą do ściany i z podniesionymi do góry rękami.

Kranc zakomenderował coś szczekliwie. Żandarmi zaczęli brutalnie kolbami posuwać całą grupę ku dołowi, z którego pospiesznie wyskakiwali dwaj kopacze, wyrzuciwszy poprzednio łopaty. Nieszczęśliwych ustawiono szeregiem: najpierw chłopczyka, potem młodą dziewczynkę, a następnie obie kobiety. Chłopiec płakał głośno, odwracając ku żandarmom wykrzywioną i zalaną łzami twarz; podłotek szlochał, aż grube łyzy ściekały mu między palcami obu dłoni. Obie kobiety stały wyprostowane z podniesionymi głowami: jedna złożyła ręce na piersiach, a druga zacisnęła drobne pięści.

Kranc szczerknął zamkiem i skierował broń na chłopca. Ten wtulił głowę w ramiona, oplótł ją obu rękoma i zaczął krzyczeć przeraźliwie. Jedna z kobiet obróciła się nagłym ruchem z twarzą białą i jakby niezmiernie zdumioną.

— To mój syn! Mein Sohn! — wykrzyknęła, jak gdyby cała egzekucja była jakimś strasznym nieporozumieniem, któremu to niesłychanie ważne wyjaśnienie powinno położyć natychmiastowy kres.

— Ruhe! — wrzasnął Kranc, kierując w jej stronę wylot pistoletu maszynowego.

Kłós naraz rzucił się, chwytając go za ramię.

— Posłuchaj mnie, panie Kranc! Ja chcę! Ja!

Przytknął lufę do karku chłopca i strzelił. Potem skoczył do dziewczyny i palnął ją w samo ucho. Jeszcze dwa skoki, dwa błyski i obie kobiety osunęły się bezszelestnie na ziemię. Nie widział nawet tego. Odwrócił się i ujrzał obu kopaczy, którzy patrzyli nań szeroko otwartymi oczami.

— Teraz ty, draniu.

Chwycił bliższego za kołnierz i pociągnął ku dołowi. Ten padł na kolana.

— Panie władza! — zaczął wrzeszczeć przeraźliwie. — Ja nie jestem Żyd! To ja doniosłem na

żandarmerię!...

— Wstawaj, skurwysynie!

Kopnął go w bok, aż ten padł na ziemię. Potem zaczął go kopać raz po razie.

Kranc przyskoczył ku niemu i chwycił go za rękę.

— Ha, ha, ha! Ty wariacie, przecie on z nami tu przyjechał! Puść go!

Kłós obejrzał się nieprzytomnie. Wszyscy śmiali się do rozpuku. Kranc walił go w łopatkę, aż się rozlegało.

— Ty stary draniu! Pięć sztuk dzisiaj rozwalileś na przekąskę! Nie mogłeś to choć dwu mnie zostawić, żebym dociągnął do pięćdziesiątki! Żeby cię cholera wzięła!

Kłós potoczył nieprzytomnym wzrokiem po czterech ciałach, chrapiących i wijących się na nasiąkłej krwi, świeżo wykopanej ziemi. „Aha, to już wszyscy nie żyją. Jak to prędko się umiera.” Od tej chwili niczego więcej nie pamiętał, dopóki nie obudził się w nocy wśród zupełnych ciemności. Tylko że już nabrał doświadczenia, jak przykre bywają powroty do świadomości. Sięgnął więc ręką pod poduszkę, gdzie ukryta była butelka, i znowu pogrążył się w błogi stan oszołomienia.

Franciszka Kłosa znałem od urodzenia, z ojcem jego bowiem przyjaźniłem się od dzieciństwa. Byliśmy rówieśnikami i razem chodziliśmy do szkoły powszechnej, potem razem terminowaliśmy u tego samego majstra murarskiego, wreszcie zamieszkaliśmy obok siebie na ulicy Ceglanej, gdzie stary Kazimierz Kłós po dość bogatym ożenku wymurował sobie parterowy domek.

Franek Kłós niemal codziennie przychodził na moje podwórko grać w piłkę nożną z moimi chłopakami. Był zawsze drobny, małego wzrostu, zawsze miał tak samo na jeża ostrzyżone czarne włosy i zawsze odznaczał się zawziętością. Poza tym był to chłopak zdolny i ambitny. W szkole powszechnej stale wybijał się na pierwsze miejsce. W wojsku ukończył szkołę podoficerską z bardzo dobrą lokatą. Zdobył też mistrzostwo w strzelaniu na zawodach dywizyjnych. Wyszedłszy w stopniu plutonowego, wstąpił do szkoły policyjnej. Po ukończeniu jej otrzymał przydział do naszego miasta. Odznaczał się służbistością, toteż prędko zniechęcił do siebie wszystkich mieszkańców. Rodzonemu ojcu nie przepuściłby najłżejszego wykroczenia. Mimo to jednak nie cieszył się poparciem władz i był stale pomijany przy awansach. Nie zdawał sobie sprawy dlaczego, ale jest pewne, iż zawdzięczał to właśnie faktowi, że pełnił służbę w rodzinnym mieście, gdzie mieszkał jego ojciec, który był zażartym i bardzo czynnym przeciwnikiem rządów sanacyjnych. Z tego powodu nasz starosta groził mu nawet obozem koncentracyjnym w Berezie Kartuskiej.

W latach rewolucyjnych, po wybuchu wojny japońskiej, brał stary Kłós wraz ze mną bardzo czynny udział w ruchu robotniczym. Odpokutował to kilkuletnim więzieniem. Aresztowany w 1910 r. do wybuchu pierwszej wojny światowej siedział w więzieniu w Piotrkowie. Potem został wywieziony do obecnego Leningradu, przechrzczonego wtedy właśnie z Petersburga na Piotrogród. Wyzwolił go wybuch rewolucji.

Nigdy nie mógł zapomnieć tej chwili. Często opowiadał z uniesieniem, jak kobiety rosyjskie całowały go po rękach jako męczennika za wolność i socjalizm, jak fetowano go w pierwszorzędnych cukierniach i restauracjach... Przejycia te ugruntowały w nim jeszcze bardziej przekonania socjalistyczne oraz obudziły przyjazne uczucia dla Rosji. Nie taił się z tym nawet w czasie wojny ze Związkiem Radzieckim, a po przewrocie majowym od razu ustosunkował się wrogo do nowego ustroju. Zgadzaaliśmy się na ogół pod tym względem, chociaż Kłós był esdekiem, a ja — starym pepesiakiem.

Franek urodził się w 1908 roku. Był więc do dziewięciu lat wychowywany wyłącznie przez matkę. Dawała ona sobie zresztą z nim doskonale radę, jak również z prowadzeniem domu. Utrzymywała się ze sklepiku galanteryjnego, który przy pomocy rodziny założyła. Była to kobieta wysoka, sucha, o niezmiernie ostrych rysach twarzy, wąskich wargach, długim nosie i wydatnym kwadratowym podbródku. Zawsze odznaczała się surowością i pobożnością, która z wiekiem wzrastała, i do której od dziecka nakłaniała Franka. Był on zresztą chłopcem łatwym do prowadzenia.

Ojca poznał Franek dopiero w dziesiątym czy nawet jedenastym roku życia. Stosunki z nim ułożyły się od razu niezbyt dobrze. Franka oburzała ojcowska bezbożność, wrogi stosunek do

księży, do rządu, a nawet do samego naczelnika państwa i zarazem pierwszego marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego. Oburzało go też niepatriotyczne, według niego, pomniejszanie znaczenia „cudu nad Wisłą”.

Stary Kłos wzrostem jeszcze ustępował synowi, był natomiast gruby, bardziej krępy i łysy. Wąsy golił. W przeciwieństwie do Franka, który po matce odziedziczył zimny spokój i panowanie nad wszelkimi odruchami, odznaczał się nerwową ruchliwością i krewkością. Cechy te, połączone z bezwzględną otwartością w wypowiedaniu poglądów, wiele mu w życiu zaszkodziły. Ciągłe wywoływał zatargi i burze we wszelkich organizacjach politycznych i społecznych, do których zawsze się garnał. Wskutek tego ogólnie uchodził za warchoła.

Na każde wspomnienie wyprawy kijowskiej czy bitwy pod Radzyminem, czerwienił się aż po obszerną łysinę, potrzasał zaciśniętymi pięściami i tupał nogami.

49

— Komu i po jaką cholere potrzebne były te wszystkie awantury? Chyba tylko tym, co chcieli nas pokłócić z narodem rosyjskim. Sowiety od samego początku uznały rozbiory

4 — wyrok na Franciszka Kłosa

Polski za zbrodnię i chciały pokojowo załatwić sprawę granic. Mogliśmy uzyskać nawet więcej, niż dostaliśmy.

Następowały straszne klątwy na burzujów, obszarników, socjalzdrajców...

W dodatku stary Kłos lubił się upijać, co wychowanego w zasadach wstrzeźliwości Franka raziło w najwyższym stopniu. W awanturach, jakie z tego powodu wynikały między obojgiem rodziców, Franek brał zawsze stronę matki. Nie wpływało to na polepszenie stosunków między ojcem a synem.

Największe jednak poróżnienie nastąpiło między nimi, gdy Franek postanowił wstąpić do policji.

— Mój syn policjantem! Ha, ha, ha! Mój syn policjantem! Czego ja się doczekałem! Czy choć przez sekundę przypuszczałem coś podobnego, gdy mnie stupajki carskie tłukły na- hajkami na etapach?

Tak wykrzykiwał biegając po pokoju i nieprzytomnie tocząc przekrwionymi oczyma, gdy mnie w tym czasie odwiedzał. Uspokajałem go, jak mogłem, ale na próżno.

Od czasu swojego uwięzienia czuł nienawiść do wszelkiego rodzaju policjantów całego świata. „Každy policjant — to drań!v Kiedy jednak Franek pokazał się w granatowym mundurze w naszym mieście, pogodził się jakoś z tą myślą nadspodziewanie łatwo, chociaż swych uczuć do samej instytucji nie zmienił bynajmniej. Rezygnacja ta była wynikiem spokoju, równowagi duchowej i stanowczości Franka, który zawsze wiedział, czego chciał, i zawsze uporczywie dążył do celu. w przeciwieństwie do ojca, opanowanego całkowicie przez żonę i wyżywającego się raczej w przyjacielskich pogawędkach przy kieliszku, nieraz bardzo burzliwych. Stosunki Franka z obojgiem rodziców ułożyły się więc poprawnie. Nie zdawał on sobie zresztą z tego sprawy, przy całym swoim sprycie życiowym, jak mu to właśnie szkodziło w jego karierze służbowej. Truł się też niezmiernie, że mimo gorliwości i sumiennosci w pełnieniu obowiązków stale był pomijany przy awansach i odznaczeniach, które dostawały się za to jego kolegom, nieraz całkiem lichym pracownikom, ale za to w jakikolwiek sposób zasłużonym lub też mającym rodziny zasłużone rządzącej grupie.

W kilka dni po wybuchu wojny z Niemcami miasto nasze znalazło się w strefie wojennej. Franciszka Kłosa ewakuowano wraz z całą policją na prawy brzeg Wisły. Powrócił gdzieś zza Brześcia już za okupacji niemieckiej, przebrany po cywilnemu. Został rozporządzenie władz okupacyjnych, że wszyscy przybywający do miasta policjanci muszą się zgłaszać do służby pod karą śmierci. Z tego powodu w domu Kłosów odbyła się poważna narada, w której wzięli udział rodzice Franka. Jego żona przez cały czas tylko płakała i ciągle powtarzała:

— Uciekaj, Franuś! Ja ci mówię, uciekaj w Kieleckie dc moich rodziców. Kto cię tam zna? Urządzisz się jakoś u tatusia, może zaczniesz handlować, a ja przyjadę niedługo do ciebie z dziećmi, jak tylko mi napiszesz, żeś się jako tako urządził.

Mówiąc to obejmowała męża i przyciskała oburącz do piersi jego szczeniastą głowę.

Franek odsunął ją dość brutalnie.

— Kobieto, dajże mi przecież spokój! Nie lepże się tak, do jasnej Weroniki!

Stary Kłos poparł jednak stanowisko synowej. Położył zaciśniętą pięść na stole i patrzył na syna strasznymi oczami.

— Nie pójdziesz na służbę niemiecką, nie pójdziesz na służbę do tego krwawego psa, Hitlera. Wszystko, co ci tam każą robić, będzie na szkodę ludu, na szkodę całego narodu polskiego. Nie będziesz służył złodziejom, bandytom i mordercom.

Tu matka z namaszcczeniem podniosła palec w górę.

— Synu, pamiętaj, że bez woli Boskiej włos ci z głowy nie spadnie. Dopóki będziesz zachowywał przykazania Boskie, nie obawiaj się niczego, bo zawsze Najświętsza Panienska będzie czuwała nad tobą. Błogosławieństwo matki i modlitwa matki wiele może, a ja zawsze modłę się za ciebie. Nie łącz się z wrogami Chrystusa i Kościoła. Posłuchaj dobrych rad tych, co cię najbardziej kochają.

Franek siedział w całkowitym milczeniu. Dłonie oparł silnie na kolanach. Głowę opuścił nisko. Jego zwarta twarz wydawała się jeszcze krótsza i bardziej zamknięta niż zwykle. Nigdy nie lubił wiele mówić, a czynił zawsze to, co sam uważał za słuszne. Teraz też powstał nagle, wydobyl mundur z szafy i zaczął się spokojnie przebierać, jakby oprócz niego nikogo w pokoju nie było.

Żona doskoczyła do niego z załamanymi rękami i ściągniętymi rozpaczliwie ku górze brwiami.

— To idziesz?!

Nie odpowiedział. Dopiero wyciągnawszy z szafy odświętne buty z cholewami, wetknął je małżonce.

— Masz! Wyczyść to!

Ojciec zerwał się na równe nogi nerwowym ruchem i otworzył usta. Po chwili jednak odwrócił się i machnął ręką. Matka podsunęła się cicho parę kroków niby czarna kocica.

— Idziesz do Niemców?

Nagłym ruchem zadarł ku niej swój niebieskawy wystający podbródek.

— A gdzie pójde? Zebrać do teściów? Dużo mi dotychczas pomogli!

W ten sposób Franciszek Kłos zowu znalazł się w szeregach granatowej policji. Po pewnym czasie stał się najślawniejszym jej członkiem w całym mieście.

Działalność żandarmerii okupacyjnej, złożonej głównie z Niemców miejscowych jako najlepiej znających środowisko i język polski, szła u nas w dwóch kierunkach: wyławiania przy pomocy obław ulicznych, zwanych łapankami, jak największej liczby ludzi płci obojga na roboty w Rzeszy oraz tępienia na wszelki sposób nielegalnego handlu, celem zdania ludności całkowicie na łaskę systemu kartkowego, czyli właściwie wygłodzenia jej. Na kartki bowiem początkowo nie dawano właściwie nic, później zaś tak mało, że w żaden sposób przy tych ilościach pożywienia niepodobna było utrzymać się przy życiu. Dość powiedzieć, że przez całe sześć lat okupacji ani razu nie przydzielono ani grama jakiegokolwiek tłuszczu czy mięsa. Oba te rodzaje działalności propaganda usiłowała nieudolnie uzasadnić istnieniem rzekomego bezrobocia oraz koniecznością obniżenia cen. Oczywiście wszyscyśmy się orientowali, że wysokie ceny zostały wywołane umyślnie przez władze okupacyjne, które doprowadziły do inflacji.

W łapankach uczestniczyli zrazu wyłącznie Niemcy. Do pewnego czasu używano do nich również folksdojczów. Policji granatowej nie powoływano do tego celu przez długi czas.

Przez pierwsze dwa lata Franciszek Kłos zachowywał się całkiem poprawnie. Wódki w dalszym ciągu nie pijał prawie zupełnie. Przeszkadzało mu to nawet w zdobyciu przyjaciół wśród kolegów i gdzie indziej, najłatwiej bowiem zawiązuje się przyjaźń przy kieliszku. Ale Kłos nigdy właściwie nie miał przyjaciół. Powodowały to jego oschłość, niezmierna i nieprzejednana służbistość oraz sobkostwo. Ponieważ często lubił powtarzać: „W służbie to ja jestem pies” — utarło się o nim powiedzenie: „W służbie pies, a poza służbą świnia”. W tym wypadku szkodziła mu również wśród kolegów jego pewnego rodzaju służalczość w stosunku do Niemców. Właściwie nie była to nawet służalczość: raczej nadmierna służbistość.

Policja granatowa otrzymała od władz okupacyjnych rozkaz salutowania każdego umundurowanego Niemca, choćby to był zwykły żołnierz czy strażnik kolejowy. Wszyscy policjanci wykonywali to polecenie niechętnie, słusznie uważając je za upokorzenie i poniżenie ich

godności narodowej. Jeden Kłós stosował się do niego z całą gorliwością.

Poza tym wkrótce zasmakował w chwytaniu nielegalnych handlarzy i w odbieraniu im produktów, zwłaszcza odkąd się przekonał, że jego niemieccy zwierzchnicy niekoniecznie żądają odeń skrupulatności w oddawaniu skonfiskowanych towarów i że przez palce patrzą na brane przy tej sposobności łapówki. Po pewnym czasie obudziła się w nim żądza wzbogacenia się.

— Wszyscy dziś robią forszę, a ja jeden mam klepać biedę?

Dorobił też sobie do tej swojej działalności swoistego rodzaju teorię.

— Jak się wytepi szmuglerów i kombinatorów, to wszystkim lepiej będzie, a zwłaszcza biednym ludziom. Ceny wtedy spadną, na kartki będą dawali coraz więcej, a także Niemcy, kiedy zobaczą, że my, Polacy, umiemy się rządzić i stosować do przepisów, inaczej zaczną nas traktować.

Pomysły te nie były bynajmniej jego własnością. Owszem, w tej czy innej formie powtarzali je stale przedstawiciele władz okupacyjnych. Trudno więc nawet uwierzyć, by Kłós wygłaszał je z całkowitą dobrą wiarą. Niemniej do tych poglądów z łatwością nakłonił swoją matkę i żonę. Tylko ojciec pozostał nieprzejejdany. Ale Kłós nie zważał już nań zupełnie. Wystarczało mu, że jego postępowanie zjednywało mu coraz większą przychylność zwierzchników.

Zwłaszcza łaskawie ustosunkował się do niego komendant posterunku, Alojzy Schwick. Pochodził on z Prus Wschodnich i mówił dobrze po polsku, oczywiście gwarą mazurską. Olbrzymiego wzrostu, niezmiernej tuszy, z potężnym brzuchem i z szeroką, nalaną, amarantowej barwy twarzą tudzież łysiną, niespodziewaną życzliwością zapałał do małego, szczupłego i niecierpliwego Franka. Tym bardziej niespodziewaną, że poza tym Schwick Polaków nienawidził i gardził nimi, jak tylko niemieccy nacjonałiści potrafili gardzić pokonanymi i bezbronnymi. Zdawał się też rozkoszować własną brutalnością oraz rozwijać w sobie z lubością zwierzęcą wściekłość. Pod tym względem zwłaszcza stał się postrachem przekupniów. Bił ich własnoręcznie po twarzach wybijając zęby i oczy. Powalonym miażdżył twarze obcasami. Ulubioną jego rozrywką było chwytanie za gardło dwóch przekupek naraz i tłuczenie ich nawzajem czaszkami jak wielkanocnymi jajami.

Aresztowanych wrzucał do aresztu potężnym kopniakiem. Chadzał zawsze z potężnym psem wilczurem, który sekundował swemu panu w znęcaniu się nad pogardzaną polską rasą. Kiedy sobie podpił, co mu się zresztą zdarzało codziennie, tymże psem szczuł gości restauracyjnych, kelnerów, a nawet właścicieli restauracji. Najślawniejszym jego wyczynem było wyrzucenie po pijanemu podczas pełnego biegu pociągu wszystkich podróżujących z przedziału, w którym sam jechał, Polaków i Polek.

Do podwładnych odnosił się również surowo. Szczególnie krótko trzymał żandarmów, którzy, jak już wspominałem, rekrutowali się przeważnie z synów kolonistów niemieckich z okolic Łodzi, Tomaszowa i Piotrkowa. Prześladował i wyszydzał ich skażoną i nieudolną niemczyzną, rycząc przy każdej sposobności o „świńskim języku” i o „świniach koniunkturalnych”.

Wyróżniał jednego Kłosa. Ludzie wysocy i silni często odczuwają potrzebę zaopiekowania się jakimś osobnikiem słabym i upośledzonym przez naturę. Potęguje to ich radosną świadomość własnej mocy. Fakt ten, jakkolwiek pomyślny dla Kłosa, nie poprawiał mu jednak bynajmniej sławy ogólnej i nie przyczyniał wzięcia u kolegów.

Aż wreszcie i on znalazł przyjaciela, a przynajmniej wiernego towarzysza. Był to świeżo przydzielony żandarm, Bolesław Kranc, Pomorzanie z Torunia, mówiący zresztą po polsku jak rodowitym językiem. Pod względem wzrostu i szczupłości postaci ustępował on nawet Kłosowi. Żeby ukryć te braki, dźwigał zawsze na głowie ogromny baniasty hełm z niewielkim znaczkim swastyki na boku, a chodził w niezmiernie długich i obszernych żółtych butach z cholewami. Mundur i spodnie miał również zbyt przestronne, jakby na wyrost. Oprócz tego obarczony był zawsze straszliwych rozmiarów rewolwerem, zwisającym mu u pasa, oraz pistoletem maszynowym, zwanym ogólnie rozpylaczem. Z tej kupy błę- kitno-zielonego sukna, żelaza, rzemienia i uzbrojenia wзираła chuda trójkątna twarzyczka z zapadłymi policzkami, naznaczonymi w dodatku skośnymi bruzdami, i z półotwartymi ustami, w których błyszczał jeden złoty ząb.

Upodobał on sobie Kłosa prawdopodobnie również z powodu nierasowości jego wyglądu. Sam

też przecie ze względu na wzrost, budowę ciała, a zwłaszcza czaszki, odbiegał znacznie od wzoru, jaki dla narodu niemieckiego określili uczeni antropolodzy niemieccy.

— To nic — szeptał raz poufale Kłosowi po paru kieliszkach i przy kuflu piwa. — Na czele partii też nie wszyscy są nordykami. Jeszcze Goering, Ribbentrop, ale taki Goebbels czy nawet — tu obejrzał się ostrożnie — sam Hitler...

Stał się on dla Kłosa prawdziwym mistrzem życia.

— Nigdy nie martw się, co o tobie ludzie powiedzą. To jest obojętne. Jeśli się będą ciebie bali i jeśli będą czuli u ciebie forszę — zawsze znajdziesz przyjaciół. Myślisz pewnie, że Niemcy tę wojnę przegrają, bo tak stoi w waszych głupich przepowiedniach. Nie bój się; mnie możesz szczerze powiedzieć. I ja zresztą wątpię, czy wygrają. Hitler nie chce się liczyć z nikim, w końcu więc musi wystąpić przeciw niemu i Rosja, i Ameryka. Ale zawsze ta awantura potrwa z piętnaście lat. Przez ten czas można użyć po dziurki w nosie. A potem — machnął ręką — kto ci zabroni zostać z powrotem polskim patriotą? A ja, myślisz, przed wojną nie czułem się kim innym? Ho! ho! możesz jeszcze z dziesięć razy zmienić skórę. Polityka to loteria albo nawet gra w karty. Kto chce wygrać, ten nie może oglądać się na uczciwość. Boisz się Polaków? To jest naród miękki jak krowie łajno i o bardzo krótkiej pamięci. Chodzi tylko o to, żeby zdążyć wymordować Żydów, bo to są dranie, spryciarze, prawie tak jak Niemcy.

On też nauczył Kłosa pić wódkę.

— Gorzałka daje człowiekowi odwagę. Po pijanemu możesz robić takie świństwa, jakich byś po trzeźwemu nigdy nie dokonał. A tu w Polsce Niemcy potrzebują właśnie drani, wściekłych psów. Pij, bracie, bo ci się to zawsze opłaci!

Kłos początkowo wszystkie te nauki przyjmował nieufnie i opornie. Aż wreszcie przypadek zdecydował o jego ostatecznym przejściu do obozu, którego tak gorliwym poplecznikiem i świadomym przedstawicielem był Bolesław Kranc.

Jak już wspomniałem, granatowa policja przez długi czas trzymała się z daleka od łapanek. W trzecim roku okupacji nastąpiła jednak zmiana i to właśnie w czasie, gdy aktywność tajnych organizacji na skutek wybuchu wojny ze Związkiem Radzieckim przybrała na sile. W podziemnej prasie coraz częściej powtarzały się ostrzeżenia z wymienianiem nazwisk policjantów, których działalność zaczęła przybierać charakter jawnej zdrady. Aż wreszcie zaczęto utrudniać Niemcom wywożenie młodzieży do Rzeszy przez wydawanie wyroków śmierci na zbyt zażartych kierownikach okupacyjnych urzędów pracy, jak również na zbyt gorliwie im się wysługujących oficerów i innych funkcjonariuszy policyjnych. Wybuchło to jakoś nagle. Pewnego dnia Kłos przyszedłszy na służbę dowiedział się o zabiciu komendanta policji w Warszawie oraz kilku funkcjonariuszy w innych częściach kraju, w tym jednego sołtysa z pobliskiej wsi. W dodatku pokazano mu gazetkę, gdzie był wymieniony z imienia i nazwiska jako wyjątkowo nikczemny służalec niemiecki.

Dotychczas wiedział o istnieniu organizacji tajnych, czytywał prasę podziemną, ale uważał to wszystko za nieszkodliwą zabawę, którą tylko Niemcy umyślnie rozdmuchują dla upozorowania tym większego ucisku — teraz jednak przejęła go groza. Więc ci ludzie rzeczywiście stanowią jakąś siłę i to tak zorganizowaną, że ich uwagi nie uszła nawet taka Brodnia, a w niej on, Franciszek Kłos?... Struło go to tak, że przez cały dzień do nikogo słowem się nie odezwał.

Zwróciło to wreszcie uwagę Krańca.

— Słuchaj, człowieku — zapytał go, gdy po skończonej służbie powracali do domów. — Coś ty tak skwaśniał jak po occie siedmiu złodziejów? Teściowa ci wykitowała, żona ci się puściła, czyś po prostu wstał dziś rano do góry tyłkiem?

— Nie ma o czym mówić, panie Kranc. Mam swoje kłopoty.

— Kłopoty? No to kropnij jedną głębszą, a wszystko się wyjaśni.

— E, zostaw pan.

— Chodź, drabie jeden. Mówię ci.

Chwyił go pod ramię i wepchnął do mijanego właśnie baru.

•— Matko, dwa dziecinne, tylko już, bo to dla chorego!

Kłos dał się namówić na całą setkę. Dotychczas pijał tylko piwo albo likier, i to małymi

kieliszkami. Po pewnym czasie przekonał się, ku swojej radości, że rzeczywiście alkohol stanowi doskonale lekarstwo na brak odwagi.

— No, panie Kranc, jeszcze po jednym.

— Ha, ha, ha! A co? Odkuwasz się, draniu?

I stało się tego dnia, że Kłós upił się po raz pierwszy w życiu. Właściwie było to tylko silne podchmielenie, w którym nie utracił zupełnie świadomości swoich czynów. Polegało na tym, że w kółko oświadczał się ze swoim podziwem i wiernym przywiązaniem „panu” Krańcowi oraz powtarzał, że nie boi się „szczeniaków” z tajnych organizacji. Kranc śmiał się tylko na całe gardło i klepał go po ramieniu, aż się rozlegało

Już się ściemniało, gdy opuścili ostatnią kawiarenkę, gdzie wypili ćwiartkę pod firmowy pieczony boczek oraz zakropili to cienkim piwem bez chmielu, wydawanym zresztą tylko zasadniczo dla Niemców. Zbliżała się godzina policyjna. Ulice były puste. Kłós odruchowo sięgnął do pistoletu i odpiął pochwę. Kranc zauważył to.

— Ha, ha, ha! Widzę, chłopie, iż uważasz, że najlepsza zakąska po sznapsie — to świeże mięso żydowskie. Poczekaj, teraz przyszedł ostatni pociąg z Warszawy, może co upolujemy.

Przechodzili właśnie przez przejazd kolejowy na ulicy Przebitkowskiej. Widać tam było w mroku błękitne światła pociągu elektrycznego. Kranc ruszył torem w jego stronę. Kłós postępował za nim z pistoletem w dłoni. W pewnej chwili Kranc zaszczekał gardłowo, jakby się dławił swoimi słowami.

— Halt! Hände hoch!

Jakiś mężczyzna szedł w ich stronę. Najwidoczniej chciał się wymknąć nie narażając się na spotkanie z bileterem czy żandarmami stojącymi przy wyjściu z dworca. Teraz zatrzymał się z podniesionymi rękami. Kranc był już przy nim przytykając mu do brzucha wylot pistoletu maszynowego.

— Auswajs!

Mężczyzna sięgnął lewą dłonią do wewnętrznej kieszeni marynarki i wydobyl portfel. Kranc wziął rozpylacz pod pachę i zaśwycił elektryczną latarkę. Kłós zbliżył się z pistoletem w dłoni.

Naraz stało się coś nieoczekiwanego. Zatrzymany skręcił się błyskawicznie w groźny kłęb, trzasnął nadstawionym łbem w twarz Krańca, aż rozległo się ciche a miękkie uderzenie, oburącz wyrwał żandarmowi rozpylacz i rzucił się do ucieczki w stronę przejazdu kolejowego.

Kranc padł na kamienne płyty peronu z wielkim hukiem i chrzęstem.

— Jezus! Cholera! Hilfe!

Był to krzyk zduszony brakiem oddechu i niewyraźny jak u człowieka, któremu rozkrwawiono szczęki i skaleczono język. Jego brutalny pogromca przebiegł z bronią w rękę obok Kłosa, rzuciwszy nań z ukosa bystrym okiem człowieka znajdującego się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, który w lot ocenia swoje położenie i każdą w nim zmianę. Widocznie rozpoznał mundur polskiego policjanta i uznał, że nic mu z tej strony nie grozi. Ale Kłosowi cała ta sprawa przedstawiała się całkiem inaczej. Był on przecie człowiekiem walki, a poza tym posiadał pierwszą nagrodę szkoły policyjnej w strzelaniu z broni małokalibrowej. Szybkość wydarzeń nie pozwalała mu na chwilę zastanowienia. Wystarczyło, że ktoś zaatakował jego przyjaciela, kiedy szli razem po milej pijatyce. Położył swój pistolet na zgiętym łokciu i oddał trzy strzały, aż mu w uszach zadzwoniło, a w oczach pozostały fiołkowe plamy po błyskach wystrzałów. Uciekający padł.

— Rany Boskie! Rany Boskie! Co się dzieje! Co się dzieje!

Od strony dworca rozległo się parę pospiesznych wystrzałów karabinowych czy pistoletowych, zacharkotały wściekle okrzyki niemieckie, zatupotały podkute buty i gromada żandarmów tudzież policjantów kolejowych nadbiegła na miejsce wypadku, zatrzymując się nad powalonym Krańcem oraz jego pogromcą. Jeden z „czarnych”, jak nazywano u nas policję kolejową z powodu barwy naramienników, podskoczył do Kłosa, który bezmyślnie wpychał swój pistolet do pochwy.

— Was machst du da, polnisches Schwein? — ryczał zachłystując się z przejęcia. — Was machst du da?

Zamierzył się okuciem kolby w pierś Kłosa, ale stracił równowagę i musnął go tylko po szyi.

— Was machst du da, polnischer Bandit?

Zatrzymał się wreszcie na rozkraczonych nogach i zaciekle, ale przez to bez skutku targał zamkiem karabinu chcąc wyrzucić wystrzeloną łuskę.

Tymczasem nadbiegli wrzeszcząc inni Niemcy. Kłós wytrzeźwiał w jednej chwili. „Zamordują mnie.” Było to pewne i nieuniknione, bo jak wytłumaczyć cokolwiek stada wyjących, wściekłych zwierząt?

Naraz Kranc, który siedział na ziemi jęcząc i spluwając krwią, zerwał się jednym susem i doskoczył do czarnego.

— Halt, du Schafskopf. Was fiir eine Dummheit? Er ist mein Freund! Er hat ja diesen Bandit niedergeschossen!

I za chwilę stał się cud. Wściekłość Niemców znikła niby obraz zerwanego filmu. W mroku zabłysnęły wyszczerzone w uśmiechu zęby. Wszyscy klepali Kłosa po ramionach, po łopatkach.

— Na, braver Kerl! Ttichtiger Bursche!

Kłosowi ciągle wydawało się, że śni. Zresztą widział wszystko przymgłone, a raczej jakby roztapiające się i rozedrgane.

— O, Jezu mój! Jezu, Jezu, Jezu!

„Kto to tak jęczy? Ach, to ten zastrzelony przeze mnie bandyta. Trzeba go dokończyć czy w ogóle coś z nim zrobić, bo nie można słuchać tego stękania.”

Kranc pierwszy, przed Kłosem, podszedł do rannego i podniósłszy leżący obok swój pistolet maszynowy, kopnął rannego w bok z całej siły.

— Zdychaj, cholero, kurwa twoja mać!... ?— warknął.

Inni Niemcy podskoczyli za nim i oświecili leżącego latarkami. Kłós zbliżył się również bezwolnie i bezmyślnie. Ranny leżał na wznak na kamiennym peronie. Oczy miał zamknięte. Oburącz obciągał w dół pasek od spodni. Koszulę w biało-niebieską szachownicę miał ściągniętą ku górze, pod żebra. Z brzucha wystawał mu jakby krwawy pęcherz. Tyle tylko Kłós zauważył, gdyż zaraz cofnął się, nie mogąc słuchać jęków konającego. „Żeby go kto dobił nareszcie!”

Za przykładem Krańca inni Niemcy jęli kopać leżącego, gdzie popadło.

— Schweig Hund! Schweig polnisches Schwein!

Ranny umilkł natychmiast. Widocznie miał na tyle przytomności, aby zrozumieć, iż wpadł w ręce straszliwych wrogów, od których nie mógł się spodziewać nie tylko ratunku, ale żadnej litości. Jakiś żołnierz bez karabinu, a nawet bez bagnetu, zamiast którego zwisała mu u pasa pusta żabka rzemienna, zaczął krawędzią prawego obcasa kuć go po twarzy w najwidoczniejszym zamiarze wybicia mu oczu.

Kłós nie mógł już na to patrzeć. Chwyił Krańca za ramię.

— Panie Kranc, trzeba by zabrać jakoś tego rannego do szpitala.

Ten wyszarpnął się nieprzytomnie i zawołał do reszty Niemców.

— Los!

Odstąpili natychmiast. Mały żandarm zaczął rewidować kieszenie umierającego. Znalazł kartę rozpoznawczą i zaczął czytać głośno:

— Edward Walusiak, urodzony trzydziestego października 1918 roku w Zarebach Kościelnych. Na, das ist ja alles falsch...

Podszedł do leżącego, przytknął mu wylot rozpylacza do piersi i wystrzelił, aż zabłysło i w uszach zadzwoniło.

— Schon! Fertig!

Kłós był ciągle oszołomiony i ogłuszony. Wszelkie głosy dochodziły go jakby zza ściany, przytłumione i bezbarwne. W oczach miał zielone plamy po błyskach wystrzałów. Wydawało mu się, że wszystko jest snem. To niemożliwe, żebym ja zabił człowieka! I czyżby to było tak łatwo zostać zbrodniarzem?

Nie słyszał, co do niego mówiono, nie wiedział nawet, w 3a~ ki sposób dostał się do domu.

Dopiero podczas całkiem bezsennej nocy przemyślał swój czyn i mogące zeń wynikać skutki.

Nazajutrz idąc na służbę wstąpił do restauracji i wypił parę kieliszków. Od tego czasu pił już ciągle.

Przez parę dni po zabójstwie Zemana miasto nasze było jak wyludnione. Wszyscyśmy się bali

wytknąć nosa na ulicę. Każdy wyszukiwał w domu czy obejściu skrytkę, gdzie by można było przynajmniej dzieci ukryć przed wściekłością odwetu hitlerowskiego, o którym nikt nie wątpił, że będzie straszny. Od wybuchu wojny było to przecie pierwsze zabójstwo Niemca w naszym mieście. Dopiero na trzeci dzień po nie przespanej nocy, spędzonej w trwodze i w głuchej ciemności przy szczelnie zasłoniętych czarnym papierem oknach, zaczęto wysuwać się ostrożnie na zwiady. Oczywiście młodzieży nie wypuszczaliśmy nadal.

Miejscem stałych spotkań najpoważniejszych obywateli naszego miasta, jak również przyjezdnych ziemian, młynarzy czy też urzędników prowincjonalnych, była restauracja Chomińskiego. Kierownik szkoły, pan Rządek, nazwał ją „gospodą Chomika”. Tam skierowałem pierwsze moje kroki.

Mieściła się ona niemal drzwi w drzwi naprzeciw dworca kolejowego w bardzo starym i na wpół zrujnowanym żółtym domu drewnianym o wysokim dachu, obitym czarną papą i zakończonym ogromnym kominem. Składała się z bufetu i dwóch sporych pokoi, przeznaczonych dla lepszej publiczności, a od czasu kapitulacji Warszawy głównie dla Niemców oraz ich interesantów. Myśmy zbierali się w bufecie. Odbywaliśmy tego rodzaju posiedzenia co najmniej trzy razy dziennie: przed południem, po obiedzie i przed kolacją. Gnała nas nienasycona żądza nowin. Przynosili je ci, którzy mieli możliwość czytania tajnych gazetek i słuchania przez radio wiadomości z Londynu i Moskwy. Za to wszystko groziła bezwzględnie kara śmierci lub obóz koncentracyjny, nikt się tym jednak nie przejmował. Wiadomości radiowych udzielali ci, którzy mieli na kwaterze oficerów niemieckich lub utrzymywali stosunki z Ukraińcami. Tych bowiem hitlerowcy z właściwą sobie ignorancją i naiwnością uważali za wrogów narodu polskiego i pozwalali im — ku naszej uciechu — na posiadanie odbiorników. Zostałem tam już niemal wszystkich przyjaciół z burmistrzem Korkowskim i kierownikiem szkoły Rządkiem na czele. Siedzieli w milczeniu. Na mój widok zaczęli kiwać ostrzegawczo głowami, wskazując oczami drzwi do następnego pokoju. Wetknąłem głowę. Siedziało tam przy wódce tylko dwóch Niemców: komendant żandarmów Schwick i aptekarz, a zarazem dyrektor fabryki, Winter.

Rządek chwycił mnie za ramię swoją potężną łapą i przyciągnął do siebie.

— Co słyhać, majster? Gadaj wszystko, co wiesz.

Był to kudłaty olbrzym o kończynach przynajmniej trzy razy grubszych niż u zwyczajnego człowieka. Odznaczał się tak niepospolitą siłą, że nieraz chwycił za kołnierz dorosłego mężczyznę i unosił w górę jak kociaka. Nie byłem z nim bynajmniej na ty, ale Rządek miał zwyczaj tykania każdego, nawet własnych zwierchników. Czynił to zresztą w tak naturalny sposób, że nikogo nie obrażał. Co prawda, to i trudno obrazić się na kogoś, kto ma przeszło dwa metry wzrostu i chyba ze dwieście kilo wagi.

— Dopiero wyszedłem z domu, więc nie miałem czasu, żeby się czegoś dowiedzieć.

Kierownik rzucił okiem w stronę niebezpiecznych drzwi, przyciągnął mnie silnie ku sobie, aż moje ucho znalazło się przy jego wargach, i zamruczał gęstym basem:

— Wiesz, że na miejsce Zemana naznaczono kierownika arbahtsamtu z Groszkowa, Mohna?

— Nie, bo co?

— To, że wczoraj po południu już go nasi chłopcy rąbnęli, kiedy wsiadał do auta, żeby zaszczycić swoją osobą nasze miasto. Wobec tego obowiązki po Zemanie objął tymczasowo jego dawny zastępca Kranc, który zresztą siedzi za biurkiem i niczego się nie tknie. Poza tym arbahtsamt otoczony jest przez uzbrojonych folksdojczów, którzy nikogo tam nie wpuszczają.

Chomiński wysunął naprzód zwinięte w trąbkę wargi spod swych wielkich czarnych wąsów i przytknął do nich palec. Rozległy się ciężkie głośnie kroki i do bufetu wkroczyli jeden za drugim komendant Schwick i aptekarz Winter. Na nasz widok unieśli od łokcia w górę niezdarnie rozcapierzone dłonie.

— Heitla!

Jeden tylko Chomiński kiwnął w odpowiedzi swoją wygoloną głową.

Obaj grubasi stanęli przed nami na szeroko rozkraczonych nogach. Patrzyli na nas niemal przychylnie i niby to z przyjaznym uśmiechem. Winter był blady. Oczy miał przekrwione, a tłuste policzki obwisłe. Widocznie nie spał dobrze podczas ostatnich nocy po otrzymaniu wyroku śmierci.

Komendant był potężny, czerwony i świecący od potu jak zwykle.

— Nanu, głupie chłopaki, co wy wyprawioła? Wasz głupi Beck narobił wam nieszczęścia, a wy chceta jeszcze większego, nie?

Chomiński zwrócił się doń z udanym oburzeniem:

— Panie komendancie, przecie pan komendant zna tu nas wszystkich, że jesteśmy spokojni obywatele. Czy możemy odpowiadać za przestępstwa Żydów i bolszewickich desanciarzy?

Kierownik łypnął w jego stronę jednym okiem, Schwick spoważniał natychmiast i dodał sucho:

— Jo, jo, my wiemy wszystko, kto winien, a kto nie winien. A Żydów i komunistów tyż potrafiemy uspokoić.

Winter ożywił się i potoczył po nas niepewnie przekrwionymi oczami.

— Tak, Polacy to dobry naród — wykrzyknął z zapalem — tylko strasznie głupi. To jest naród wiecznych marzycieli. Czego wy się jeszcze spodziewacie? Na co wy jeszcze czekacie? Wasz Mościcki, wasz Beck, wasz Smigły-Rydz okłamywali was tyle czasu, a w końcu sprzedali. Anglia też was oszukała. Teraz liczycie na Sowiety?...

— Kto liczy na Sowiety? — oburzył się Chomiński.

— No, wy tutaj może nie, ale jest wielu takich, którzy liczą. My wiemy wszystko. Wiemy, że dziesiątki i setki tysięcy Żydów ukrywa się wśród Polaków.

— My Żydów nie ukrywamy —• znowu wyrwał się Chomiński.

— Ja wiem, ale powinniście współdziałać z nami, żeby ich unieszkodliwić. Przecież to jest dla waszego dobra.

— Wiemy, że tylko Niemcy dbają o nasze dobro — zahuczał kierownik Rząddek z tak źle maskowanym szyderstwem, że Schwick zaczął mu się bacznie przypatrywać. Winter również zerknął nań złowieszczo i rzekł:

•— Ja właściwie nie jestem Niemcem. Czuję się Polakiem. Znacie mnie tu wszyscy od dziecka. Tak samo pan komendant jest polskiego pochodzenia...

Schwick zaczął kiwać zamaszycie głową, aż mu zafalowały obwisłe policzki.

— Jo, jo, mój fater był Polok, ino matka Nimka.

— Ale przecie musimy zdać sobie sprawę, że przegraliśmy wojnę i wyciągnąć z tego wszystkiego konsekwencje, jak na przykład Czesi — ciągnął Winter.

— I jakież to konsekwencje? — znowu zamruczał kierownik Rząddek.

— Przede wszystkim zacząć inaczej wychowywać młodzież, w kierunku poszanowania porządku i prawa.

— Aha.

Winter rzucił na olbrzyma badawcze i jakby bojaźliwe spojrzenie.

— Ja wiem, panie Rząddek, o co panu chodzi.

— Kiedy mnie o nic nie chodzi.

— Wiem i możemy o tym mówić otwarcie. Polakom też się dzieje krzywda i bezprawie. Wiemy o tym dobrze wszyscy. Ale kto temu winien? Sami Polacy. Nieprawda, panie komendancie?

— Jo, jo.

W tej chwili brzęknęły szklane drzwi i do bufetu wsunął się Kłos. Na widok Niemców i nas zatrzymał się w progu, stanął na baczność i podniósł rękę do daszka. Nikt na niego nie zwrócił uwagi, stał więc ciągle w tej postawie, chwiejąc się, blady, o zamglonych oczach, z niepewnym uśmiechem na wąskich wargach.

— Jeśli chodzi o żandarmów, to muszą robić to, co im każą. Nikt do nich o to pretensji mieć nie może. Zdarzają się, co prawda, wśród nich dranie, jak taki Kranc, ale o ile więcej gorszych łotrów znajdziecie wśród polskich policjantów. Taki Kłos...

— Jo, jo! — kiwał głową Schwick.

W tej chwili Winter odwrócił się w stronę drzwi i ujrzał salutującego ciągle Franka.

— No, Chomiński, dawaj kolejkę dla wszystkich. Strze- miennego albo lepiej nasze staropolskie „Kochajmy się”. Muszę już uciekać do fabryki, bo mam wypłatę.

Chomiński spojrział z przestachem na kierownika, który już otwierał usta, aby odmówić przyjęcia poczęstonku:

— Nie, nie, teraz ja postawię.

Schwick kiwnął głową.

— Stawiaj.

65

Wypiliśmy wszyscy i Niemcy wyszli.

5 _ Wyrok na Franciszka Kłosa

Po ich wyjściu kierownik zerwał się z krzesła i wziął się pod boki.

Zdawało się nam, że góra naraz wyrosła przed naszymi oczami.

— A co, napędzili im nasi chłopcy pietra? Zobaczycie, że po wojnie nie będzie na świecie ani jednego prawdziwego Niemca. Każdy wynajdzie sobie jaką babkę-Polkę albo pra- babkę-Zydówkę. Franek, otwórz no trochę drzwi, niech się po tej teutońskiej cykorii wywietrzy.

Kłos pospiesznie wykonał rozkaz. Kierownik Rządek był jego nauczycielem jeszcze w szkole powszechnej.

— Ale pan kierownik to też mógłby się trochę liczyć ze słowami — wtrącił Chomiński z wyrzutem. — Już po tym, co pan dzisiaj wygadywał, na pewno pana sobie dobrze za- konotowali. Uważałem, jak ślepili za każdym pańskim słowem. W ten sposób narobi pan nieszczęścia nie tylko sobie, ale i innym.

Kierownik zerwał się zaperzony, aż mu nie tylko policzki, ale i czoło poczerwieniało, a oczy się zaświeciły. W przeciwieństwie do ogółu ludzi nadmiernego wzrostu, którzy są zwykle łagodni i flegmatyczni, był pasjonatem. Oczywiście, jego gniew budził zawsze przerażenie.

— Co mi tu będziesz, kauzyperdo, dawał jakieś nauki! Jeszcze tylko tego potrzeba!

Chomiński zrejterował za szklaną szafkę z zakąskami na bufecie.

— Co kierownik? Czego kierownik ode mnie chce? Nawet słowa powiedzieć nie wolno. Przecie ja dla dobra kierownika...

— Śmierdzi mi twoje tchórzostwo. Rozumiesz? I to ci powiem, że nie uratuje cię ono od stryczka albo od kuli. Wysługujesz się szkopom, służysz im na dwóch łapach jak marny pudel, ale to nic nie pomoże, tak jak nie pomogło głupiemu Frankowi Kłosowi. Słyszałeś, jak jego komendant z tym drugim szpiclem, Winterem, odżegnywali się od niego, byle tylko własną skórę uratować. I to jeszcze dodam, że zanim cię jeszcze zdążą Szwabi rozwalić, dostaniesz w czapkę od naszych chłopaków za wysługiwanie się wrogom ojczyzny. Tak jak Franek, a nawet może jeszcze wcześniej.

Chomiński wyciągnął do nas ręce gestem budzącym litość,

— Ja się wysługuję Niemcom? Trzy razy zwracali się do mnie, żebym nalepił „Nur fur Deutsche”. Grozili mi odebraniem koncesji. Raz nawet sam landskomisarz wezwał mnie do siebie. Potem żądali, żebym chociaż na szafce z piwem umieścił taki napis. Nie zgodziłem się. I teraz spotyka mnie taki zarzut! Mnie?

— Ale stawiasz żandarmom i gestapowcom.

— Niech bym spróbował nie postawić. Niech Kłos powie.

— Toteż będziesz dyndał za zdrowie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. W Warszawie dawno by cię już wykończyli. W Warszawie żaden fotograf nie wystawi fotografii niemieckich, bo mu rozwałą kamieniami szyby wystawowe.

— Co innego Warszawa, a co innego Brodnia.

— Nie co innego. Polak jest Polakiem, a niemiecki fagas niemieckim fagasem. A Kłosem się nie zaślaniaj, bo z niego właśnie możesz brać przykład, jak się wychodzi na fagasowa- niu Niemcom. Prawda to Franek, że ci przysłali wyrok śmierci?

Kłos roześmiał się przymilnie swoim przykrym uśmiechem, aż mu zajaśniały w ciemnej twarzy zdrowe, długie zęby. — Tak jest, panie kierowniku.

— Ale własnych rodaków mordujesz w dalszym ciągu?

— Ja Polakom krzywdy nie robię, tylko Żydom.

— Ci Żydzi są lepszymi obywatelami od ciebie. Walusiak, coś go wypatroszył, nie był zresztą pochodzenia żydowskiego. W każdym bądź razie, dopóki cię nie stukną, bądź łaskaw nikomu nie wypominać, żeś był moim uczniem. Nie przynosisz mi bynajmniej chluby.

Kłos spoważniał i stropił się widocznie.

— Nie stukną mnie, bo by Niemcy rozstrzelali za mnie pięćdziesięciu Polaków.

W oczach zamigotały mu mściwe błyski.

— Nie bądź tylko taki pewny swoich opiekunów, że tak będą rozpaczali po twojej stracie.

W tej chwili przez otwarte drzwi doszły nas odgłosy trzech niedalekich wystrzałów. Kłós cofnął się za bufet odpinając błyskawicznym ruchem pochwę od rewolweru. Widziałem, że zbladł jeszcze bardziej, choć wydawało się to już niemożliwe.

Burmistrz Korkowski wyskoczył na ulicę. Był to człowiek niski i bardzo nerwowy.

Wystrzały w czasie okupacji były u nas czymś zwyczajnym, Niemcy bowiem ciągle polowali w okolicach, nawet na wrony i wróble. Poza tym lubili strzelać po prostu dla przyjemności. Oprócz tego policjanci kolejowi, zwani „czarnymi”, strzelali ciągle do chłopców kradnących węgiel, którego zasadniczo Polakom nie wydawano zupełnie. Kradzież z transportów kolejowych była dla nas jedynym środkiem zaopatrywania się w paliwo. Złodzieje kolejowi stali się w ten sposób nieodzowną częścią społeczeństwa. W tym jednak wypadku wystrzały zabrzmiały w sposób niezwykle, a poza tym byliśmy wszyscy przygotowani na najgorsze.

Burmistrz Korkowski stał na ulicy i wołał do nas przez otwarte drzwi.

— To tak, jakby w fabryce chemicznej! Ludzie idą stamtąd, a nawet biegną! Coś się musiało stać!

Kierownik Rząddek, który już się był uspokoił i rozwalił na małym w stosunku do jego figury krzeselku, mruknął gęstym basem:

— Korkowski, włącz do środka i zamknij drzwi na wszelki wypadek.

Burmistrz posłuchał natychmiast. Ale w tej chwili brzęk- ły szyby i ulkazał się ojciec Kłosa, mały, z wielkimi wąsami, które zapuścił podczas wojny, i w granatowej maciejówce na głowie.

— Wiecie, co się stało?

— No?

— Zabili Wintera.

— Niemożliwe! Przed chwilą był tu razem z nami.

— To nic nie znaczy. Idę stamtąd właśnie.

— Skąd?

— Z fabryki.

— I jak to się stało?

— Wiem dobrze, bo mi opowiadał dokładnie Kordulak, który, jak wiecie, teraz tam pracuje. Był przy tym przez cały czas. Winter przyszedł trochę pod muchą, żeby wypłacać tygodniówkę i rozdawać przydziały. Ogonek czekających ciągnął się aż do Fabrycznej. Pod fabryką stało dwóch folks- dojczyerów z karabinami. To samo przed kantorem. W samym kantorze przy drzwiach stał jeden, młody Krygier. Oprócz tego przy stole obok Wintera było trzech z rewolwerami. Naraz włązło dwóch jakichś nieznanych gości w cyklistów- kach, w długich butach. „Czy jest pan Winter?” Winter wrzasnął: „Co do cholery? Włazicie jak do chlewa! Skończyły się polskie porządki!” — „Kiedy my mamy do pana specjalny interes.” — „To chociaż czapki ze łba zdejmijcie! Co za interes?” — „Pan jest Winter?” — „No, ja! Tylko nie: Winter, a pan Winter!!!” Wtedy jeden z nich, taki mały, krępy wyciągnął spluwę. Trach, trach, trach! Drugi tymczasem sięgnął do kieszeni i rozejrzał się dokoła. Wszyscy struchleli. Winter oparł się oburącz o biurko i zwałił się pod nie. Ten mały powiódł jeszcze lufą wokoło, powiedział: „Do widzenia!” i wyszedł razem z towarzyszem. Nikt ich nie zatrzymał.

Wszyscyśmy już stali, poruszeni nowiną. W tej chwili Franek Kłós wylazł z kąta i zbliżył się do Chomińskiego. — Czterdziestkę — powiedział zdławionym głosem.

Chomiński podał mu butelkę. Franek stuknął nią o podłogę, aż wyskoczył korek, potem podszedł do obitej blachą lodówki z piwem, na której stały wysokie szklanki, wziął jedną z nich i wylał do niej całą zawartość odkorkowanej ćwiartki. Potem zaczął pić jak wodę, przechyliwszy głowę wr tył i przymknąwszy zażawione oczy.

Jego ojciec dopiero teraz go zauważył. Odwrócił się doń plecami i zaczął skręcać papierosa z machorki. Szło mu to niesporo, bo ręce mu drżały.

Pogrzeb Wintera odbył się z niezwykle wspaniałością. Wzięły w nim udział wszystkie

organizacje niemieckie z Brod- ni i okolic, a przede wszystkim SA. Musieli też przybyć robotnicy oraz pracownicy obu naszych fabryk, mleczarni, magistratu i w ogóle wszelkich instytucji, będących pod zarządem niemieckim. Wyludnione miasto obsadzone zostało gęsto przez posterunki żandarmów i policji granatowej. Zatrzymywano wszystkie pojazdy, a nawet pociągi kolejki elektrycznej.

Wszyscy truchleliśmy jeszcze bardziej niż po zabójstwie Zemana, Winter bowiem był od niego o wiele większą figurą. Oprócz stanowiska dyrektora jednej z naszych fabryk, miał on jeszcze kierownictwo propagandy na cały powiat Brodnia — Lemieszów, utworzony przez Niemców z dwóch dawnych, przedwojennych powiatów. Co prawda, kierownik Rządek jak również burmistrz Korkowski pokpiwali sobie z tej godności.

— Każdy pismak z warszawskiego szmatławca — tak nazywaliśmy wydawany przez Niemców w języku polskim „Nowy Kurier Warszawski” — ma tysiąc razy większe znaczenie i tysiąc razy więcej szkody nam przynosi — mawiał kierownik swym basem, machając potężną łapą. — Wielka mi propaganda w jakiejś Pipidówce czy w Grajdołku!

Być może, że była to prawda. Nawet na pewno. Chociaż miasto nie jest znów tak bardzo pozbawione znaczenia, a nawet za Mieszka Gnuśnego miało być stolicą Mazowsza. Ale równie pewne jest, że działalność propagandowa Wintera wywołała większą jeszcze ku niemu nienawiść niż brutalność, z jaką odnosił się do robotników. I to ona najprawdopodobniej stała się przyczyną jego śmierci. Dyskutowaliśmy na ten temat wielokrotnie. Polacy na ogół bardziej są wrażliwi na to, co się o nich mówi czy pisze, niż na to, jak się ich traktuje.

Winter, jak zresztą większość propagandzistów niemieckich,

nc\

o propagandzie wiedział tylko tyle, że w dążeniu do swych celów nie potrzebuje ona liczyć się z prawdą. Ale kiedy kłamać i w jakim stopniu?... Oczywiście, jak najczęściej i jak najwięcej.

Taką zasadę przyjął Winter, gdy zaraz po kapitulacji Warszawy w 1939 roku polecono mu prowadzić „pogadanki krajoznawcze” dla żołnierzy, żandarmów i urzędników niemieckich. Opowiadał w nich o odwiecznej niemieckości naszej Brodni, którą Polacy polonizowali w sposób niesłychanie brutalny i okrutny. Za mówienie po niemiecku istniała jakoby kara przybicia języka gwoździem do stołu. Największe nasilenie terroru miało nastąpić w czasie ostatniego półrocza przed wybuchem wojny. Polacy mieli wymordować wtedy na terenie samej tylko Brodni 1463 miejscowych Niemców. Innych liczb dotyczących okrucieństw polskich na terenie obu powiatów już nie pamiętam, były one jednak nie mniej szczegółowe, w myśl zaleceń Goebbelsa, który przestrzegał przed używaniem w tego rodzaju propagandzie cyfr zaokrąglonych.

Obecni na pogadance folksdojczje skwapliwie przyświadczały tym wywodom, wyjaśniały one bowiem okoliczność, mogącą wywołać zdumienie ich „rodaków” z Rzeszy, iż częstokroć zupełnie nie władali językiem „ojczystym”. Wywoływało to takie skutki, że nieraz wzburzonych słuchaczy ogarniał „szał teutoński”. Wybiegali wtedy z sali wykładowej na miasto bijąc, często na śmierć, napotykanym przechodniów bez różnicy płci i wieku.

Ten pierwszy okres wojskowego terroru trwał do czasu przerzucenia armii Blaskowitza na zachód. Potem został w naszym mieście oprócz policji granatowej i podobnie do niej umundurowanych żandarmów, rekrutujących się z folksdoj- czów, jedynie szczupły garnizon, składający się z jednej kompanii wartowniczej weteranów jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej. Na czele garnizonu stał jej dowódca, kapitan Bunsch. Był to wiedeńczyk już po pięćdziesiątce, z zawodu nauczyciel gimnazjalny. Przyczynił się on w dużej mierze do złagodzenia terroru. Przede wszystkim skończył z samowolnym mordowaniem ludności cywilnej przez żołnierzy, których nie wypuszczał z koszar z bronią, nawet boczną. Chodzili z pustymi żabkami od bagnatów. Następnie zainteresował się podjudzaniem Wintera na „informacyjnych” pogadankach. Dla sprawdzenia jego odkrywczych a sensacyjnych oskarżeń wezwał do siebie mianowanego przez władze okupacyjne wiceburmistrza Krygiera, młynarza i mojego dobrego znajomego od dzieciństwa. Krygier, jak olbrzymia większość folksdojczów, uchodził przed wojną za Polaka. W domu mówił tylko po polsku. Zapisał się na folkslistę ze strachu, ale starał się przez całą wojnę o utrzymanie jak najlepszych stosunków ze swymi dawnymi rodakami. Aż do czasu największego

nasilenia terroru, w drugiej połowie 1943 roku, oddawał wiele usług Polakom ostrzegając przed łapankami, aresztowaniami, pisząc podania w sprawie jeńców, uwięzionych... Dopiero po likwidacji getta zmienił się jak wszyscy folksdojczce. Rozmowa miała mniej więcej następujący przebieg: Kapitan Bunsch przyjął Krygiera w swoim gabinecie przy biurku. Wiceburmistrz zdradzał drżącą i nadmiar bojaźni, jak każdy Niemiec cywilny na widok wojskowego munduru.

— Co pan kapitan rozkaże?

— Pan jest niemieckim wiceburmistrzem?

— Tak jest.

— Od jak dawna mieszka pan w tutejszym mieście?

— Od urodzenia.

— Był pan tutaj przed wojną?

— Od 1918 roku nie ruszałem się stąd krokiem.

— Był pan tu przed samym wybuchem wojny?

— Oczywiście.

— Iw czasie prześladowania folksdojczów?

— Tak jest, panie kapitanie. Sam byłem aresztowany i popędzony do Brześcia, ale uratowała mnie interwencja burmistrza Kotkowskiego, który zaręczył, że jestem lojalnym obywatelem.

— Ilu oprócz pana było aresztowanych w Brodni?

— Razem ze mną pięciu. Mnie wypuszczono w Warszawie, a reszta wróciła zaraz po wojnie.

— A co pan wie o mordowaniu Niemców przez Polaków?

— Co ja wiem?... Czytałem...

— Nie chodzi o to, co pan czytał. Pytam: ilu Niemców zginęło tu, w Brodni?

— W Brodni? Nie słyszałem, żeby jaki Niemiec w Brodni stracił życie w czasie działań wojennych.

— No, przecie Winter głosi, że przeszło 1400 zostało zamordowanych przez Polaków przed samym wybuchem wojny i w pierwszych jej dniach.

— A, Winter! No, to jest propaganda. Nie wiem, czy nawet teraz tylu Niemców mieszka na terenie naszego powiatu.

— Dziękuję panu.

Nazajutrz wieczorem na jakimś zebraniu niemieckim kapitan Bunsch nazwał publicznie Wintera koniunkturalną świnia i kłamliwym psem. Następnie wygłosił przemówienie do folksdojczów, którego treść — tak mnie przynajmniej informowano — była mniej więcej następująca:

— Wojna jeszcze trwa. Każda wojna może być wygrana, ale może też być przegrana. W razie przegranej, pamiętajcie, że dla was nie znajdzie się miejsca w Rzeszy. Postępujcie więc tak, żebyście go nie potrzebowali. Starajcie się o przyjazne stosunki z Polakami.

Przemówienie to stanowiło w naszym mieście pewnego rodzaju epokę. Stosunek „folksdojczów” do nas zmienił się krańcowo. Niestety na krótko. Po kapitulacji Francji terror wzmógł się jeszcze i wzmagał się odtąd stale. Kapitan Bunsch zniknął. Mówiono, że zaopiekowało się nim gestapo. Mówiono też, że dużą rolę odegrał w tym Winter. W każdym bądź razie zapomniał on o swym pohańbieniu i triumfował coraz bardziej. Przypisywano mu też spowodowanie aresztowań wśród robotników, z których kilku poniosło śmierć męczeńską w obozach karnych. Ale trudno byłoby mu to dowieść. Jedyne, co można mu było zarzucić z całą pewnością — to pogrozki, ciągłe a nieprzytomne lżenie, a nawet czynne znieważanie Polaków no i — oczywiście — wszelkiego rodzaju nadużycia. Jak donosił należący do naszego kółka właściciel biura próśb i podań, były sekretarz sądu, pan Kubas, wszystkie te przestępstwa nie wystarczały jeszcze według ustaw polskich do skazania na karę śmierci. Pomijając to jednak, trzeba stwierdzić, że Winter nie był szczególnie niebezpieczny i szkodliwy. Takich jak on mieliśmy wówczas setki tysięcy. Toteż z ukaraniem go można było znakomicie poczekać do końca wojny i uniknęłoby się wtedy niepotrzebnych ofiar i nieszczęść. Ale jest to już cechą wszelkich tajnych organizacji, że działają zbyt gorączkowo i przez to niekoniecznie rozsądnie.

Tak się też stało i w tym wypadku.

Początkowo zachowanie Niemców zaskoczyło nas zupełnie. Podczas pogrzebu pierwsze przemówienie wygłosił pastor z Lemieszowa. Najpierw wyliczył liczne cnoty zmarłego, potem

podniósł jego zasługi dla cywilizacji europejskiej w ogóle a dla chrześcijańskiej w szczególności, a na koniec zaczął dowodzić, że zbrodnicza ręka, która zgładziła go ze świata, musiała należeć do wroga Krzyża i wszelkiego porządku społecznego.

Później zabrała głos stara Winterowa. Ogromna tłusta baba, czarno ubrana, ocierająca oczy białą, czarno obszytą chustką, chrapliwym basem i wśród łkań „żegnała na wieki najlepszego męża i najlepszego ojca”, podkreślając jego prawość chrześcijańską oraz niezwykłą dobroć. W końcu zwróciła się, wyciągając ręce przed siebie, do grupki naszych dygnitarzy okupacyjnych, którzy stojąc w sztywnych zadartych czapach przyglądali się widowisku z tępą, niezdarnie robioną powagą i błagała ich w imieniu nieboszczyka i własnym, aby nie mścili się na zabójcach, a zwłaszcza na mieście, w którym i jej mąż, i ona urodzili się, wychowali i które ukochali całym sercem.

Nastąpiły potem przemówienia oficjalne: przedstawiciela partii narodowo-socjalistycznej, wiceburmistrza Krygiera i w końcu samego krajshauptmana. Podkreślił on, że Winter poległ na stanowisku za firera, faterland i za całą cywilizację europejską. Zbrodniarze, którzy go zgładzili z tego świata, nie mogą być przeto Polakami, którzy sami są przeciw narodowi o kulturze europejskiej i zarazem chrześcijańskiej — tylko komunistami, kierowanymi przez Żydów. Ale Niemcy potrafią zrobić z nimi porządek.

Po tych oświadczeniach całe miasto odetchnęło. Niewielu, co prawda, znalazło się naiwnych, którzy by brali poważnie tę niezdarnie wyreżyserowaną komedię, ogólnie jednak rozumiano ją jako jeszcze jeden dowód przynajmniej czasowej zmiany polityki niemieckiej w stosunku do Polaków.

Omawialiśmy tę sprawę, jak zwykle, w restauracji Cho- mińskiego. Kierownik Rządęk, oczywiście, górował nad wszystkimi postawą i swym potężnym basem.

— Zasadą polityki niemieckiej jest, żeby nigdy nie walczyć z dwoma wrogami naraz. Ponieważ obecnie są zajęci tępieniem Żydów, więc wszystkie ich usiłowania idą w kierunku pokłócenia z nimi Polaków. Potem z całą pewnością dobiorą się do naszej skóry.

— Go tam kierownik plecie? — przerwał mu burmistrz Korkowski.

Jak to już bodaj wspomniałem, był on niskiego wzrostu i nader wątłej budowy. Przy kierowniku wyglądał po prostu jak mały chłopiec. W dodatku był niezmiernie bojaźliwy, czego dowiódł już we wrześniu 1939 r. podczas pierwszego bombardowania naszego miasta. Wybiegł wtedy z domu i żeby ukryć się przed niemieckimi samolotami, dał nurka w ubraniu do pobliskiego stawu. Mimo to zawsze ośmielał się przeciwstawić kierownikowi swoim cichym i kwaśnym głosikiem. (Cierpiał biedak na katar żołądka.) Co dziwniejsza, ten kolos zdawał się z obawą i szacunkiem wysłuchiwać zawsze jego cierpkich uwag. Tym razem również odwrócił się w jego stronę wraz z krzeselkiem, aż się zdawało, że dom się chwieje.

— Bo co?

— No, bo getto już dawno zostało zlikwidowane.

— Tak? A ile jeszcze dziesiątków, jeśli nie setek tysięcy Żydów ukrywa się u Polaków? Ilu ich przeciw mordują ciągle w samej Brodni i okolicach?

— No właśnie. Skoro Polacy biorą stronę Żydów, to tym bardziej Niemcy powinni mścić się na nich. Ale tu co innego w trawie piszczy. Po prostu dostali w sempiternę od Sowietów i od razu zmiękła im rura. Zawsze tak ze szkopami bywa.

— Ale ja wam mówię, że Niemcom nigdy nie można dowierzać — pokręcił Chomiński swoją wygoloną czaszką. — To jest fałszywy naród.

Okazało się, że miał słusność. W dwa dni potem przyjechało z Warszawy gestapo i zaaresztowało kilkudziesięciu naszych obywateli. Najwięcej było wśród nich robotników z fabryki Wintera, ale oprócz tego uwięzieni zostali: burmistrz Korkowski, sekretarz magistratu Śmietanka, inspektor ubezpieczeń Czereśnicki, kierownik Rządęk, sam Chomiński i wreszcie stary Kłós, ojciec Franka.

A tymczasem Franciszek Kłós w dalszym ciągu pił i nadal mordował.

Nieraz zastanawiałem się podczas ostatniej wojny nad tym, dlaczego tak wielu ludzi znajduje przyjemność w znęcaniu się nad bliźnimi i w ich zabijaniu. Doszedłem do wniosku, że nie można tego tłumaczyć samym tylko sadyzmem, sadystów bowiem, równie jak innych wszelkiego rodzaju

zwyrodnialców, istnieje na świecie jedynie znikoma liczba. Przypuszczam więc, że w wielu wypadkach odgrywa tu główną rolę głębokie nasycenie instynktu samozachowawczego, jakieś upajające poczucie wyższości nad mordowanymi oraz złudzenie władzy nad śmiercią. W każdym bądź razie każde morderstwo musi wymagać od mordującego olbrzymiego wysiłku woli i nie byle jakiego napięcia uczuć. Niewątpliwie wszyscy żandarmi niemieccy byli ludźmi o instynktach zbrodniczych, inaczej przecie nie zostaliby żandarmami. Wszyscy oni byli zawsze gotowi bić, kopać, znęcać się i zabijać każdego, kogo im wskazano, albo kto w ich mniemaniu wykraczał przeciwko przepisom wydanym przez ich władze. A jednak, jeśli chodziło o masowe mordowanie bezbronnych, jak to było właśnie z Żydami, to tylko nieliczne jednostki zgłaszały się do tej roboty. W czasie likwidacji getta warszawskiego władze okupacyjne musiały wyszukiwać i sprowadzać oprawców litewskich, ukraińskich, łotewskich i Bóg wie jakich. Jeśli nie było wśród nich Polaków, to należy to przypisać potędze naszej opinii publicznej, która wykreślała ze społeczeństwa każdego, kto w jakikolwiek sposób współpracował z Niemcami. Polak o instynktach zbrodniczych miał u nas jedną tylko drogę: zostać folksdojczem.

W Brodni znalazł się jeden tylko żandarm, który wyręczał swych kolegów w mordowaniu: był to Kranc. Później przyłączył się doń Kłos. Wykonywał on zresztą swoje katowskie czynności wyłącznie po pijanemu. Może więc to tylko strach przed groźącą mu, a niemal nieuniknioną śmiercią oraz nienawiść do społeczeństwa, które skazało go na zagładę, popychały go do takiej obłąkanej zemsty?... A może była to rozpaczliwie bezmyślna idea samoobrony: jeżeli wymorduję wszystkich — zostfnę żywy?...

Obaj mordercy trzymali się zawsze razem. Ułatwiało im to mieszkanie blisko siebie, przy tej samej ulicy. Co rano Kranc przychodził po Kłosa jako po towarzysza o wiele słabiej uzbrojonego i pił z nim na miejscu dla dodania sobie odwagi. Potem razem udawali się na posterunek, skąd prawie codziennie wyruszali na swoje wyprawy myśliwskie. Polegały one na wyławianiu i mordowaniu Żydów, których, jak to słusznie zaznaczył kierownik Rząddek, wielu ukrywało się w Brodni, a zwłaszcza w jej okolicach. Były to niemal bez wyjątku jednostki spolszczone i połączone węzłami powinowactwa, przyjaźni czy koleżeństwa z Polakami. Dla tych Żydów, którzy zachowali odrębność języka i stroju, nie było zasadniczo ratunku.

Polowania te ułatwiali Niemcom w pierwszym rzędzie sami Żydzi, dzięki wrodzonej sobie lekkomyślności i ruchliwości. Gdy tylko bowiem otrząsnęli się z grozy swych przeżyć w getcie, kręcili się wszędzie, wpadając w oczy zgrai szpiegów, folksdojczów i szantażystów. Poza tym zdarzały się doniesienia sąsiadów, a zwłaszcza sąsiadek, donosicielkami bowiem były nieraz stare baby. Były to zresztą porachunki potworne, Niemcy bowiem mordowali oprócz Żydów również tych, którzy ich ukrywali.

Taka właśnie historia zdarzyła się na Glinianej, niedaleko przystanku kolejki. Miała tam swoją willę doktorowa Dereżyńska. Doktor Dereżyński zginął był śmiercią męczeńską w Oświęcimiu, doktorowa więc mieszkała tylko z dwudziestoletnią córką, urzędniczką warszawskiego magistratu. Otóż w tym czasie wpłynęło na ręce wiceburmistrza Krygiera pisemne doniesienie, że doktorowa przetrzymuje u siebie Żydówkę. Krygier zatelefonował natychmiast do Szwutkego, a ten wysłał pod wskazany adres wyprawę wraz z obu nierozłącznymi towarzyszami: Krańcem i Kłosem. Rzeczywiście, zastano tam inżynierową Wohlaufową z Krakowa, prawidłowo zresztą zameldowaną. Kranc chciał obie panie zabrać na posterunek dla przeprowadzenia śledztwa, ale Kłos, który był już całkowicie pijany, oparł się temu gwałtownie i po krótkiej sprzeczce zastrzelił nieszczęśliwe kobiety. Tylko panna Dereżyńska ocalała dzięki temu, że była w tym czasie w swoim biurze w Warszawie. Już też nie pokazała się więcej w naszym mieście.

Kranc złożył o tym meldunek naczelnikowi, śmiejąc się z zawziętości Kłosa, ale Szwutke nie potraktował sprawy z takim humorem.

— Skończyły się wasze świńskie polskie czasy! — wrzeszczał na prężącego się, ale też chwiejącego zarazem Franka. — Teraz rządzi prawo i musi panować porządek. Żadna samowola będzie przeze mnie ścierpiana. Pan Kranc kazał obie te kobiety dostarczyć i miałeś je dostarczyć, ty polski szurze! My was, bydlaki, nauczymy jeszcze posłuchu! A teraz paszoł won!

Kłos wyszedł wytrzeźwiony z alkoholu, ale zarazem na nowo oszołomiony, tylko że w

niezmiernie przykry sposób.

Niestety jednak nie tym miała się sprawa zakończyć. Okazało się, że inżynierowa Wohllaufowa rzeczywiście nie była zupełnie pochodzenia żydowskiego. Gorzej jeszcze, bo jej mąż miał wielkie wpływy u Niemców, a nawet jakieś „chody” do samego generalnego gubernatora „doktora” Franka. Zrobiła się wielka chryja. Podobno nawet gubernator warszawski, Fischer, miał z tego powodu nieprzyjemności. W każdym bądź razie dostało się krajshauptmanowi, aż w końcu wszystko skupiło się na żandarmerii i policji w naszym mieście. Lejtnant Aschel, który sprawował nad nimi zwierzchność z ramienia gestapo, chciał podobno zastrzelić Szwutkego w przystępie szalonego gniewu.

Oczywiście Kłos nic o tym nie wiedział. Aż gdy pewnego ranka przybył, jak zwykle, na służbę wraz z nieodłącznym teraz Krańcem, zastał na posterunku stojącego naprzeciw wejścia komendanta Schwicka, a za nim struchlałych i wyprężonych żandarmów i policjantów.

Schwick widocznie czekał na niego. Sterczał rozkraczony na swych potężnych nogach w błyszczących czarnych cholewach, pokryte białą szczecina tłuste pięści wcisnął zajadłe w kieszenie i patrzył złowrogo spod nasuniętych białych brwi. Oczy miał przekrwione i policzki sino pokratkowane.

— Na, ty, polski psie! — zaczął wyrzucać słowa, warczące jak wypuszczane z procy kamienie. — Ciebie w tej waszej świńskiej policji nie nauczyli, co znaczy befel, ale ja cię wy- szkołuję.

Tu rzucił się naprzód ze zwinnością nieoczekiwaną u człowieka tej tuszy i obu pięściami wymierzył kolejno dwa ciosy w policzki Kłosa. Ten padł.

— Auf! — wrzasnął wtedy.

Żandarmi zrozumieli natychmiast. Podwoje aresztu w mig stanęły otworem. Oszołomiony i okrwawiony Kłos usiłował się właśnie podnieść z ziemi, gdy Schwick dwoma potężnymi kopniakami wepchnął go do ciemnej komórki, zatraskując za nim drzwi.

Wszyscy obecni przyglądali się temu zajściu z uśmiechem pełnym radości. Kranc aż zaświecił swoim złotym zębem.

— Ale pan komendant ma siłę w pięści, jak Old Shatter- hand z książek Karola Maya.

Schwick ochłonął z gniewu. Ulżyło mu widocznie.

— Na, ja! — roześmiał się beztrosko, ale zaraz spoważniał.

— Pamiętajcie, chłopoki, co wam godołem: do Poloków strzylać nie wolno! A tera do roboty!

Tu pogroził pięścią Krańcowi.

Ten zasalutował z całego serca i wyszedł uszczęśliwiony. Był zadowolony, że chociaż jako Niemiec, a więc komendant wyprawy, sam był odpowiedzialny za mord na Glinianej — nie poniósł jednak za to żadnej odpowiedzialności. Z przyjaźni z Kłosem zrezygnował od razu, gdy ten popadł w niełaskę. „Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem. Za pan brat świnia z pastuchem” • — przypomniał sobie polskie przysłowia, stosując je szyderczo do siebie i dotychczasowego towarzysza.

Tego dnia musiał wraz z pięcioma żandarmami wyjechać kolejką elektryczną do Poręby, gdzie według doniesienia miał się dwa dni temu sprowadzić dziennikarz żydowskiego pochodzenia wraz z żoną i dorosłą córką. Wyprawa udała się tylko w części. Przestrzeżeni o zbliżaniu się oprawców uciekinierzy z getta wyskoczyli przez okna do lasu, w którym stała willa. W czasie pościgu żandarmom udało się zastrzelić obie kobiety, ale sam dziennikarz zniknął bez śladu.

Było to na początku września. Pomimo to panował taki upał, że, jak to mówią, żar się lał z nieba na ziemię. Długi peron stacyjki był zatłoczony. Poręba bowiem, jedno z najmłodszych i zarazem najpiękniejszych osiedli letniskowych podwarszawskich, jest ulubionym miejscem majówek oraz celem wycieczek niedzielnych i świątecznych. Kolejka w stronę Brodni miała odejść dopiero za trzy kwadransy. Żandarmi stali więc w szeregu, oglądając się na kobiety, ubrane w lekkie, różnobarwne sukienki, a obute na przyboś w wysokie koturny. Kranc podszedł do ławki, na której siedziały starsze panie, zatopione w cichej rozmowie.

— Alle raus!

Ławka w mig opustoszała. Kranc rozłożył się na niej i kiwnął z łaskawym uśmiechem na kobiety,

które ją opuściły.

— Można już siadać.

Żadna nie skorzystała z zaproszenia.

W tej chwili doszedł doń bosa i oberwany chłopiec, może dwunastoletni.

— Tam w tym zagajniku schował się jeden Żyd.

— Gdzie?

— O, tu.

Wskazał piaszczystą drogę po drugiej stronie toru, ciągnącą się między dwiema ścianami młodego lasu sosnowego.

Kranc zerwał się na równe nogi, ale zaraz ochłódł. Iść do tak gęstego zagajnika?... A jeśli to jaka zasadzka?... Na podstawie długiego doświadczenia nie dowierzał takim młodocianym ulicznikom.

Oni to przecie wyśpiewywali po wagonach: „Marsz, marsz, Sikorski, z Londynu do Polski!

Szwabów wypędzimy, Polskę wyzwolimy!” — a potem po Stalingradzie: „Siekiera, motyka,

bimber, alasz! Przegrał wojnę głupi malarz!” W każdym bądź razie nie ulegało wątpliwości, że

niemal wszyscy byli na usługach tajnych organizacji. Wobec tego zwrócił się do podkomendnych:

— Przeszukajcie ten lasek. Jeden niech zostanie na tej drodze. A zabierzcie z sobą chłopaka.

Ale ten już zniknął.

Utwierdziło to Krańca w podejrzeniu. Zobaczył też po odejściu żandarmów, że po drugiej stronie

toru ukazało się dwóch młodzieńców na rowerach. Wydało mu się to niepokojące. Wstał więc z

ławki i podszedł do skleconej z desek budki z chłodzącymi napojami, owocami i słodyczami.

Właścicielem jej był stary, emerytowany kolejarz, Zaleta. Kranc ominął bufet i wpakował się przez

małe drzwiczki do wnętrza. Była tam tak mała izdebka, że ledwo starczyło miejsca na półkę z

napojami, małeńki stolik i jedno krzeselko. Zaleta, w wypłowiałej rogatywce kolejarskiej na głowie,

stał trochę zatrwożony.

— Co pan Kranc sobie życzy?

— Najpierw opuść pan tę szybę.

— To będzie duszno, a oprócz tego publika przestanie przychodzić.

— Właśnie o to chodzi, żeby nie przychodziła.

Zaleta skwapliwie spełnił rozkaz. Kranc już siedział, kładąc na stoliku swój pistolet maszynowy.

— A teraz daj mi pan butelkę kwasu i setkę bimbru.

— Panie kochany, bimbru? Ja tego nie trzymam.

— Żebym tylko nie zaczął szukać.

— No tak, człowiek czasem się napije, a monopolki dostać nie można. Mam tam ćwiartuchnę, to mogę się z panem Krańcem napić. Ale to na mój rachunek.

— Dawaj pan!

Zaleta zakrzętnął się przy szafce, oglądając się na żandarma nieufnie. Wreszcie postawił na

stoliczku dwie szklanki do wody sodowej z grubego szkła i napenił je z ciemnobrunatnej butelki od kwasu.

— To bimber?

— Pan Kranc spróbuje. Mam też kawałek pieczonego boczku, co go kupiłem dla siebie.

— To jedz pan sam. Dla mnie daj kwasu.

Zaleta spełnił polecenie, obracając ku Krańcowi twarz roześmianą w tysiące zmarszczek.

— No, to na zdrowie! Podniósł w górę szklankę.

Kranc wypił i popił kwasem. Zaleta przygotowywał sobie kanapkę z boczkiem.

— A jak pan Kranc myśli, kiedy skończy się wojna?

— W przyszłym roku.

— Tak wszyscy mówią. Ja to już przeżyłem wojen... Zara... Wzięli mnie do ruskiego wojska w dziewięćdziesiątym ósmym czy dziewiątym... Potem była wojna chińska, w rok czy dwa. Potem japońska pod Portem Artura. Potem znowu mnie powołali w czternastym roku... No, w dwudziestym już nie służyłem, ale za to podwozili my żołnierzy i amunicję pod sam front...

W tej chwili w szybę zapukały dwie małe dziewczynki. Kranc zerknął i zobaczył, że dwaj młodzieńcy z rowerami stoją jeszcze po drugiej stronie toru.

— Nie otwieraj pan.

Zaleta obrócił nań zdumione oczy.

— Panie, to tak w handlu nie można.

— No, to daj im pan prędko.

— Proszę pana dwa lizaki — odezwał się cienki głosik. Zaleta dał im po patyku zakończonym różowym płaskim

cukierkiem w kształcie sporego krążka i zaraz opuścił oszkloną ramę.

— Teraz na drugą nogę, panie Kranc.

— Jazda!

— To pan tu za Żydami, za Żydami?

— Tę zarazę trzeba wytepić dla dobra ludzkości.

— Ale dzieci też?

Zaleta pochylił głowę, ukrywając przebiegły błysk oczu.

— Jakie dzieci?

6 — Wyrok na Franciszka KJosa 81

— No, dzieci żydowskie. Przecie by można je wychować w religii chrześcijańskiej.

— To nie pański interes. Co wyrośnie z małego Żydzia-ka?... Żyd! Nieprawda?

— No, niby prawda.

— A Hitler powiedział, że nie ma być w ogóle żadnych Żydów na świecie. Patrz pan!

Podsunał Zalecie pod nos swój pistolet maszynowy.

— Widzisz pan te kropki na lufie i na kolbie?

— Te białe kropki? Widzę.

— No, więc jest ich czterdzieści osiem. Tylu Żydów i żydowskich wojtków położyłem z tego rozpylacza. Dziś miałbym już pięćdziesięciu, ale mnie ubiegli te głupie pętaki, co uważają się za zandarmów.

— Ho, ho!

W tej chwili za szybą zjawilo się dwóch młodzieńców. Kranc położył pistolet na stole, nie wypuszczając go z ręki. Zaleta uchylił szybę.

— Czego?

— Butelkę kwasu. Tylko już!

Zdawali się być zajęci jakąś wesołą rozmową. Zaleta wysunął im dwie szklanki i butelkę, zamykając starannie szklaną klapę.

Młodzieńcy pili, rozglądając się ciekawie na wszystkie strony. Zaleta podniósł butelkę z bimbrem i wstrząsnął nią pod światło.

— No, jeszcze zostało po kropelce.

Kranc machnął niecierpliwie ręką, ciągle obserwując pijących. Ci zaś wysączyli kwas i znowu zapukali w szybę.

— Panie starszy, jeszcze flaszkę!

Zaleta uniósł ramę i obrócił się do półki. W tej chwili oczy młodzieńców zabłysnęły. Nie wiadomo kiedy dwie lufy szafirowej barwy pistoletów ukazały się w otworze. Zaleta krzyknął:

— Co robicie?

Ale było już za późno. Z luf zaczęły błyskać wystrzały. Duszny zapach sinawego dymku wypełnił budkę. Kranc chciał się zerwać, ale naraz opuścił głowę na złożone na stole ręce. Struga krwi zalała białe znaki na jego pistolecie maszynowym. Potem powoli zaczął się skłaniać na bok i wreszcie zwałił się ciężko na podłogę, zwinięty w pałąk.

Jeżeli, jak na kazaniach nauczał nieraz nasz zacny proboszcz, grzech jest nie tylko obrazą Boga, ale i nieszczęściem, ciężącym nad grzesznikiem — to chyba największym grzechem jest zdrada własnego narodu, bo pociąga za sobą najdotkliwsze klęski, jakie tylko mogą spotkać człowieka na tej smutnej ziemi.

Zdrajca odtrąca własną ojczyznę, ale już nigdy nie znajdzie innej. Imię jego zostaje przeklęte wszędzie i na wieki.

Radziejowski oddał w swoim czasie Szwecji niewątpliwie ważne usługi, był też niby za to

wynagrodzony zaszczytami i dobrobytem, ale nikt dzisiaj w tejże Szwecji nie wymówi imienia jego z wdzięcznością czy uznaniem.

Targowiczanie wydali Katarzynie Wielkiej własny kraj i sami częściowo uznali się za Rosjan, nigdy przecie i żaden Rosjanin nie przyznał się do nich, jako do swoich rodaków.

Bo narody, zwalczając się wzajemnie, nieraz posługują się zdrajcami, nigdy jednak nie szczycą się tym, tak jak nikt nie będzie się chlubił, że zgładził swego wroga przy pomocy trucizny czy fałszywego oskarżenia. Jadu czy denuncjacji nie umieszcza się obok odziedziczonego po przodkach oręża.

Tak, zdrajca traci ojczyznę oraz wszelki szacunek i dlatego prędzej czy później spotyka go najstraszniejsza dola na świecie: całkowite osamotnienie.

Doświadczył tego Franciszek Kłos, kiedy powrócił do przytomności w ciemnej komórce, stanowiącej tymczasowy areszt na posterunku żandarmerii. Było to jego najokropniejsze przebudzenie. Jak zwykle ocknął się natychmiast całkowicie trzeźwy i świadomy swego położenia.

— „Jestem aresztowany. Schwick bił mnie po mordzie, a potem kopał z całej siły. Ale za co?...”

Trzy są zasadnicze cechy wszelkich ustrojów policyjnych: nadmiar rozporządzeń niewykonalnych, żeby każdy obywatel, na wszelki wypadek, musiał stać się przestępcą; zniesienie wszelkiego stopniowania kar: za najłżejsze przekroczenie — śmierć; przy czym w ustroju hitlerowskim za ciężkie przestępstwa uśmiercano szybko przez rozstrzelanie, za lekkie czekały długie męczarnie w obozach karnych, w przypadkach zaś niesłusznego podejrzenia — torturowano aż do skonu przy badaniach; trzecia zasada polega na tym, żeby uwięziony czy skazany nie wiedział, o co go oskarżają, dlaczego go zabijają, czy nawet, z jakiego powodu wypuszczają go na wolność.

Kłos znał to dobrze, był przekonany, że jest zgubiony i że zginie nie dowiedziawszy się, za co został aresztowany; mimo to nadzieja, ten tajemniczy, a jakże dobroczynny silnik ducha, ustający dopiero wraz z ostatnim uderzeniem serca, zaczęła już pracować. „Co mi mogą zarzucać? Przecie nie kontakt z tajnymi organizacjami. Mam od nich wyrok śmierci, a oprócz tego nie rozstawałem się przez cały czas z Krańcem. Musieliby więc i jego aresztować, a ten drań — widziałem — śmiał się jeszcze, jak mnie Schwick poniewierał. Więc może chodzi o jakie inne przestępstwo. Że brałem rzeczy po Żydach?... No, to przecie i Kranc brał, i Schwick, i Szwutke, i nawet sam pan lejtnant Aschel. Więc nie o to.” Naraz przypomniało mu się, że już dawno, może rok temu, niedługo po wywiezieniu Żydów z Brodni, spotkał w restauracji Chomiń- skiego jakiegoś Żyda (nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć jego nazwiska) i że go wypuścił za łapówkę. „Ale kto mógł o tym donieść? Chyba tylko ten sam Żyd albo Cho- miński. Prawda, przecie właśnie Chomiński teraz siedzi. To on! Oh, żeby jeszcze pożyć parę dni na wolności! Żeby dostać w swe ręce tego bydlaka, donosiciela! Oh, jednego tylko pragnę jeszcze na tym świecie!”

Zgrzytnął zębami i poczuł ból. „Prawda, dostałem po mordzie od Schwicka. Pewnie mam wszystkie zęby powybijane.”

Zaczął wypluwać zakrzepłą krew. Wargi miał nabrzmiałe i pokryte strupami. Macał językiem zęby. Siedzą. „Może mam przetrąconą szczękę”... Bo ból trwał ciągle. Myślał o wymacaniu twarzy ręką, ale bał się każdego ruchu.

„Na pewno czeka mnie śmierć. Ale będzie to przynajmniej śmierć nagła i bezbolesna. Kula w tył czaszki i już. Nie ma obawy, żeby mnie badali, bili, męczyli. Bo i po co? Nie mają niczego ode mnie do wyciągnięcia.”

Ale naraz uprzytomnił sobie, że do uśmiercenia go użyją na pewno Krańca z jego rozpylaczem.

Przeraźliwy ból wszystkich kości przeniknął go na myśl o tym, jak niedawny przyjaciel, z obleśnym uśmiechem, który odsłoni ten jego przekłety złoty ząbek, będzie go mordował. Było to tak upokarzające, że wolałby najsrozsze męczarnie.

„Żeby się tak przedtem powiesić”... Próbował się dźwignąć, ale poczuł silny ból w krzyżu i w żebrach. Opadł z powrotem bezwładny. Serce waliło mu tak silnie, że jego bicie odczuwał jako bolesne uderzenia tętna w głowie, dłoniach i stopach. Był to ból nieznośny. Zdawało mu się, że żyły pękają.

„Widocznie Schwićk połamał mi żebra i uszkodził kręgosłup. Czy tak czy tak — umrę.” I naraz

chwyciło go przerażenie na myśl o śmierci. Tętna waliły coraz silniej i coraz boleśniej. „Żeby tak zdobyć choć kropelkę wódki, to może by zniknął przynajmniej ten piekielny strach.”

Zdawało mu się, że ktoś poruszył się nad nim na pryczy, sam bowiem leżał na podłodze.

Zerwał się i usiadł.

— Jest tu kto?

— Jest.

— A nie masz trochę gołdy?

Sam czuł nieprawdopodobną głupotę takiego pytania. W jaki sposób mógłby się znaleźć w areszcie więzień nie zrewidowany? Łatwiej by przecie było przemyścić pistolet albo chociażby nóż niż butelkę. Ale jakaś resztką nadziei w nieprawdopodobny cud kazała mu postawić to pytanie.

Nastąpiło milczenie. Sąsiad na pryczy poruszył się i westchnął czy chrząknął.

— A ty skąd się tu wziąłeś? — zapytał wreszcie ochryłym głosem.

— Skąd?

— Tak, coś za jeden?

— Aresztowany jak i ty.

— Ale jak się nazywasz?

— Kłos.

— Kłos?

Prycza zaskrzypiała, jakby nieznajomy usiadł na niej gwałtownie. W głosie jego czuć było niezmiernie zdumienie.

— Ten Kłos z granatowej policji?

— Nie o to chodzi. Nie masz się czego napić?

Kłos spostrzegł, że niepotrzebnie wyjawiał swoje nazwisko.

Prycza znowu skrzypnęła, jakby się ktoś na niej położył... I znowu dało się słyszeć chrząknięcie czy jęk.

— Nie masz?

Milczenie.

Kłosa ogarnęło naraz przerażenie gorsze jeszcze niż po-

przednio. Serce i tętna znowu zaczęły walić boleśniej. „Po co ja, frajer, wydałem się, kto jestem? Przecie to musi być ktoś z organizacji. Może nawet jeden z tych, co mają rozkaz mnie zabić.” Coraz bardziej utwierdzał się w tym mniemaniu. „Dlaczego tak zamilkł, jak usłyszał moje nazwisko?”

Zaczął teraz z zamarłym sercem przysłuchiwać się każdemu szelestowi na pryczy. „Rozmyśla, jak mnie wykończyć. Co ma taki do stracenia? Czy tak, czy tak go rozwała, a nawet, jeśli chodzi o mnie, to nie będą mieli żadnej pretensji.”

Pod tym względem miał rację. Hitlerowcy nigdy nie prowadzili najślabszych dochodzeń w razie zamordowania przez więźniów towarzysza, nawet gdyby to był ich zausznik. W obozach karnych stale zabijano tak zwanych kapo, czasami nawet masowo. Spotykało się to zawsze z całkowitą obojętnością władz. Kto jest uwięziony, ten jest tym samym skazany na śmierć — innej kary przecie nie było — a w jaki sposób zginie, to już nie miało najmniejszego znaczenia. Kłos więc z czym większą uwagą chwytął uchem wszelkie poruszenia sąsiada. Najgorsze, że czuł się tak zбитy i słaby, że nie mógł się poruszyć.

„W razie czego nie będę miał siły się bronić. Ale on na pewno czeka, aż zasnę, potem ogłuszy mnie chociażby butem czy jaką deską i dodusi.”

Snuł w ten sposób wszelkiego rodzaju przewidywania i możliwości leżąc z otwartymi oczami, czujny i baczny na wszystko. Tymczasem nieznajomy zaczął chrapać. Kłos nasłuchiwał nieruchomy z szeroko otwartymi oczami.

„Udaje. Chce mnie w ten sposób uspokoić i uśpić.” Postanowił nie dać się zaskoczyć. To oczekiwanie walki podniecało go. Ustał ból nerwów oraz nierówna praca serca. Ustępowało nawet osłabienie.

Tymczasem współwięzień chrapał w dalszym ciągu. Po jakichś dwóch godzinach Kłos zaczął powątpiewać, czy jest to rzeczywiście udawanie. Zamknął wreszcie oczy. I oto znowu, jak zwykle,

otaczająca go ciemność zniknęła, a otworzyła się otchłań jakby dna oceanu. Otchłań, z której wyłaniały się na kształt potworów głębinowych jakieś blade poczwary o niewidzianych kształtach i o rysach ludzkich, wykrzywionych potwornie. Zbliżały się do Kłosa i przypatrywały mu się, robiąc coraz wstrętniejsze grymasy, a potem odpływały w głąb, ustępując miejsca innym. Kłós patrzył na nie skamieniały ze zgrozy, a raczej nie znanej mu dotychczas ohydy. Chwilami otwierał oczy. Wtedy mary znikwały natychmiast. Zmęczone powieki opadały mu jednak same. Wreszcie zjawy poczęły przybierać bardziej ludzkie postacie. W pewnej chwili Kłós zauważył, że znajduje się pośrodku obszernej, ale bardzo brudnej sali tanecznej. Wokół niego wirowały pary wolno i bezszelestnie. Nagle rozsunęły się na boki i znikły. Natomiast ni stąd, ni zowąd pojawił się korowód dzieci, chłopców i małych dziewczynek, które otoczyły go trzymając się za ręce. Kłós przyglądał się im z założonymi w tył rękami. Nagle poczuł silny ból w lewej dłoni. Szybko się obejrzał i zobaczył dziecko, wyglądające zaledwie na parę lat, które go kąsało zjadle. Kłós chwycił je za kark i uniósł w górę. Potworek miał twarzyczkę złośliwie uśmiechniętego idioty. Skręcał się w garści jak schwyтана łasica i koniecznie chciał kąsać w dalszym ciągu. Jedna z tańczących niedawno młodych kobiet podeszła z przestachem na twarzy.

— Panie Kłós, niech pan się strzeże, bo ona panu całą rękę odgryzie.

Przerażony zaczął z całej siły ścisnąć szyjkę złośliwej istotki, aż wreszcie zwiśla, najwidoczniej martwa. Wtedy przekonał się, że jest to mała Wandzia od cioci Sroki. Usiłował więc ukryć trupka za sobą i zaczął się cofać w kąt, gdzie leżały jakieś rupiecie: pudełka, gałgany, puste butelki. Udało mu się cisnąć tam niepostrzeżenie uduszoną dziewczynkę, gdy wtem ktoś mu krzyknął groźnie w samo ucho:

— Franek!

Skoczył z przerażeniem na podłogę jak wyłowiony szczupak. Serce i tętna waliły mu jak młotem. Od razu zorientował się, co się stało. Poznał bowiem ten głos. Był to głos jego ojca. A więc jego towarzyszem w areszcie był jego ojciec. Prawda, został przecie nie tak dawno uwięziony.

Nasłuchiwał z zapartym oddechem, ale usłyszał tylko równe chrapanie. „Czyżby mi się tylko śniło?” Coraz bardziej upewniał się w tym mniemaniu. Wtem poczuł rękę, gładzącą go po twarzy. Odruchowo machnął na odlew całym ramieniem, ale trafił w próżnię.

„Co to mogło być? Przecie to mi się już chyba nie śniło?... Czulem wyraźnie”...

Leżał zmartwiał i czekał na coś jeszcze bardziej przerażającego.

Inna dłoń objęła mu silnie lewą nogę w kostce. Kopnął w powietrze z całej siły i usiadł błyskawicznie. Serce nie biło mu już, tylko dygotało jak puszczone w ruch silnik samochodowy. Sam również dygotał w takt serca.

„Może to tylko szczury”...

Czekał i czekał, czy nie uczuje znowu jakiego dotknięcia

albo nie usłyszy chrobotania, ale na próżno. W uszach mu tylko szumiało bezustannie. „Żeby się jeszcze trochę przespać, to by mnie może minęło.” Z trudem odwrócił się twarzą do podłogi i zamknął ponownie oczy. Długo mocował się z widziadłami i budzoną przez nie ohydą. Wreszcie zaczął zapadać w półsen, gdy wtem ktoś szepnął mu mocno w same usta:

— Nie rusz się!

Zmartwiał jak dotknięty nogą robak. Leżał teraz w zupełnym bezruchu, zrezygnowany, w oczekiwaniu jakiejś grozy, o jakiej nikt z żyjących nie miał dotąd najmniejszego wyobrażenia. Zdawało mu się chwilami, że umrze z samego lęku. Pragnął nawet tego. Ale śmierć nie nadchodziła. Natomiast lęk jego tak się wzmagał, że z trudnością wstrzymywał się od krzyku o pomoc. Ale któż by mu przybył na ratunek, wszyscy przecie, zarówno Polacy, jak Niemcy uznali go za jednostkę szkodliwą i postanowili zgładzić. To znowu nasuwało mu ohydny w swym najgłębszym upokorzeniu obraz, jak uśmiechnięty złośliwie Kranc będzie go zabijał. „Taki bydlak ma mnie zaszlachtować jak prosiaka? I jeszcze się potem chwalić?...”

Męka jego doszła do granic wytrzymałości. Żeby nie krzyczeć, jęczał szeptem:

— Ratunku, ratunku! Miejcie trochę litości nade mną!

Powtarzał to w kółko, szukając w myśli, czy jest na świecie istota, która by mogła w tej chwili

cokolwiek mu pomóc. Chyba jeden Bóg.

Zaczął się więc modlić rozpaczliwie, przyciskając obie pięści do piersi, żeby powstrzymać wzrastającą żądzę wydrapania sobie oczu.

— Panie Boże! Panie Boże! Panie Boże! Mówią, żeś jest wszechmocny. Mówią, żeś jest Miłosierdziem bez granic. Zlituj się nade mną! Daj mi choć jedną chwilę wytchnienia! Przecie nie jestem jeszcze w piekle. Przecie mogę się jeszcze poprawić. Chcę się poprawić!

Ulga przysła natychmiast. Kłós zaczął więc odmawiać pacierz.

Przerwały mu odgłosy silnych kroków kilku ludzi za drzwiami. Zamarł znowu. „Po mnie!”

Długie oczekiwanie. Znowu kroki pojedynczego człowieka. Cisza. Znowu ktoś idzie.

„Nie to chyba jeszcze nie. Tam jest przecie posterunek, nic więc dziwnego, że ciągle kręcą się zandarmi, policjanci oraz szeregi interesantów. Żeby się chociaż dowiedzieć, czy to jeszcze dzień, czy już noc.”

Znowu zaczął się modlić żarliwie. W pewnej chwili poczuł, że podłoga znika pod nim, a on sam leci z przerażającą szybkością w otchłań bez dna. W głowie zaczęło mu się kręcić coraz bardziej i bardziej.

Obudził go wystrzał. Otworzył oczy. Otaczała go ta sama nieprzenikniona ciemność. Nasłuchiwał długo, ale nie posłyszał niczego, oprócz oddechu i stękania leżącego na pryczy więźnia. Znowu więc zaczął się modlić, żeby Bóg, jeśli ma już zamiar zakończyć jego życie, oszczędził mu przynajmniej tej grozy, jaką przed zaśnięciem przeżywał.

Po następnym przebudzeniu znowu słychać było tupotanie wielu nóg za drzwiami. Za każdym takim odgłosem ogarniało Kłosa przerażenie, które zapierało mu dech w piersiach. „To już po mnie! Uśmiechnięty Kranc z rozpylaczem i inni.”

Podczas egzekucji, które urządzał wspólnie z Krańcem, był parę razy świadkiem, jak rozstrzeliwany zaczynał nagle krzyczeć wniebogłosy:

— Ratunku! Na pomoc! Mordują!

Śmieszyło go to i dziwiło: „Od kogo taki dureń myśli oczekiwać pomocy? Kto mu przybiegnie na ratunek?” Teraz rozumiał to doskonale, bo sam z trudem powstrzymywał się od krzyku, a bardzo wątpił, czy starczy mu tego hamulca na miejscu stracenia.

Aż wreszcie przysła chwila, że kroki zbliżyły się do samych drzwi, klucz zachrobotał w zamku i olbrzymi potok światła oślepił go całkowicie.

— Kłós, wyłaź!

Przywarł silniej do ziemi jak wytropiony gad.

— Kłós, słyszysz?

Był to głos jego kolegi, posterunkowego Drozda.

Kłós dźwignął się wreszcie i ruszył chwiejnym krokiem, pochylony ku przodowi, z wyciągniętymi przed siebie rękami; przypominał stąpającego na dwóch łapach niedźwiedzia.

Na posterunku ku swojemu zdumieniu zastał tylko dwie osoby: wspomnianego kolegą Drozda oraz komendanta policji granatowej w naszym mieście, starszego sierżanta Korszuna. Cieszył się on szczególnie zaufaniem Niemców, uchodził bowiem za Ukraińca, jak się potem okazało niesłusznie, bo po rozstrzelaniu jego syna, który należał do konspiracji, uciekł do lasu, skąd się dał mocno we znaki okupantom. Nie lubił on Kłosa, ale gdy ten wybił się swoimi krwawymi czynami, utracił nad nim właściwie wszelką władzę. Teraz stał pochylony przy stoliku za przegrodą i sprawdzał jakieś księgi. W pewnej chwili odwrócił się, wyprostował i zmierzył wkraczającego Kłosa zimnym spojrzeniem siwych oczu.

— Komendant Schwick kazał pana wypuścić. Upiekło się panu tym razem. Wykpiłeś się pan jednym dniem aresztu. Ale jeszcze raz panu radzę: nie chłaj jak świnia, bo marnie skończysz.

Kłós stał na baczność bez słowa. „Jeden dzień aresztu! To był jeden dzień aresztu! Tak wygląda jeden dzień aresztu!”

— Czy mógłbyś pan dzisiaj objąć służbę?

Pod Kłosem załamały się kolana, opadł na przegrodę i zaczął głośno szlochać.

Korszun przyjrzał mu się uważnie, ale bez cienia współczucia.

— No, tak — mlasnął językiem. — Tam w moim gabinecie za parawanem jest miska z wodą. Idź

pan się umyć i trochę oczyścić. Za biurkiem wisi też apteczka. Zatkaj pan sobie trochę gębę jakim plasterkiem, żebyś pan nie wywołał zbiegowiska na ulicy. A potem idź pan sobie do żony. Zgłosi się pan jutro rano, jak zwykle.

Kłós podniósł na zwierzchnika pełne wdzięczności spojrzenie swych zalanych łzami oczu, ale w grubych rysach starszego sierżanta Korszuna dojrzał jedynie wyraz wstrętu. Kapral Drozd poprowadził go za przegrodę i do drzwi gabinetu.

Kłós wszedł tam jak we śnie lunatycznym. Ciągłe jeszcze nie był pewny, czy uwolnienie go z aresztu nie jest jakąś ponurą a nikczemną komedią. Mimo to za parawanem, gdzie znalazł blaszaną umywalnię w kształcie trójnogu, z trudnością ściągnął mundur z obolałego grzbietu i próbował się myć. Szło mu nadspodziewanie trudno wskutek tak silnego drżenia rąk, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył. Zaledwie udało mu się obmyć z twarzy zakrzepłą krew, ale w żaden sposób nie starczyło cierpliwości, żeby zalepić wciąż odlepiającym się plasterkiem rozciętą wargę. Jako tako wytrze- pał mundur i chwiejnym krokiem wrócił na posterunek. Korszun siedział przy stole, zatopiony w papierach. Nie patrząc nań, mruknął:

— Zabierz pan swój pas i rewolwer. Leży tam na stole.

Kłós zaczął się opasywać, ale ręce tak mu latały, że upuścił broń na podłogę. Korszun podniósł oczy na stuk i powiedział gniewnie:

— Drozd, pomóżcie mu!

Drozd przytrzymał rewolwer przy biodrze Kłosa z miną, nie wyrażającą najmniejszej życzliwości. Potem jeszcze starł rękawem w paru miejscach kurz z jego munduru.

— Gotów! No, zmiataj do łóżka!

Kłós rozejrzał się bezradnie. Wzrok jego padł na okrągły zegar ścienny, wiszący w głębi pod samym pułapem. Wskazywał dwadzieścia pięć po ósmej. Nie śmiał zapytać, czy to rano, czy wieczór. Ale na myśl o tym, że ma sam jeden w biały dzień wyjść na miasto, poczuł nieznośne łaskotanie podeszew i zawrót głowy, jakby mu kazano wyskoczyć ze spadochronem z lecącego samolotu.

— A... a gdzie Kranc?

Korszun rzucił mu znowu bystre spojrzenie.

— Nie ma go.

— A... a gdzie jest?

— Nie ma go nigdzie.

— Wyjechał?

Korszun uśmiechnął się zjadliwie.

— Tak, pojechał do lali czy tam do Walhalli. Wczoraj rozwalili go w Porębie.

— Tam mu dadzą, panie komendancie, te Żydy, których tylu wysłał na łono Abrahama — wyszczerzył wielkie, białe zębiska Drozd. — Już go na pewno długo czekali z mokrą ścierką.

Kłós spoglądał to na jednego, to na drugiego z trwożnym niedowierzaniem.

— To Kranc nie żyje?

Korszun zerwał się z krzesła i stanął rozkraczony z pięściami opartymi na pasie.

— A cóżeś pan myślał? Dostał w czapę, aż się chłopina nogami nakrył. I czemuś pan tak japę rozdziawił, jakbyś się pan dziwował? Przecie miał wyrok, a o tym pan chyba nie słyszał, żeby ci z podziemia darowali komu. Zresztą gdzie tu pisać o ułaskawienie? Do Londynu? Czy do Moskwy?

Kłós wyczuł w tych drwinach nie tylko radość ze śmierci Krańca, ale także nienawiść do siebie. „Nie mam czego tu czekać.” Zgnębiony wyszedł na ulicę.

Dzień był pochmurny i mglisty. Zimna rosa osiadła mu na twarzy i rękach. Co chwila wskutek tego chwytały go dreszcze. Oprócz tego zaczął się pocić z wysiłku, aby jak najprędzej wydostać się z pustej ulicy na ludny rynek, gdzie czuł się bezpieczniejszy. Ale rynek też był prawie pusty. Wzrok Kłosa ślizgał się we wszystkich kierunkach po lśniących od wilgoci kamieniach brukowych. Przed spółdzielnią rolniczą zobaczył dwa oparte o ścianę rowery. „Są!”

W jednej chwili na widok rzeczywistego niebezpieczeństwa opuścił go dotychczasowy lęk i poczucie słabości. Mięśnie się sprężyły. Myśl pracowała błyskawicznie. Nieznacznym ruchem odpiął kaburę i sprawdził, czy rewolwer łatwo z niej wychodzi. „Dzień idealny na dokonanie

morderstwa: mgła, pustka, żandarmi gdzieś wyjechali. Kto wie, czy ten drań, Korszun, albo ten drugi Drozd nie są w jakiej zmowie? Ale się wszyscy przeliczą. Przede wszystkim trzeba iść nie chodnikiem, a na przełaj przez rynek. Żadnego ścierwa nie dopuszczę bliżej niż na piętnaście kroków. Ja też umiem strzelać."

Ruszył więc środkiem ku wylotowi ulicy Lemieszowskiej. Ale właśnie, gdy znalazł się pod figurą Matki Boskiej, stojącej przed kościołem, spostrzegł, że tam, właśnie na rogu, przed apteką stoi kilku znudzonych młodzieńców. Spojrzał w stronę ulicy 10 Lutego. Również i tam w lekkiej mgłę majaczyły jakieś cienie. „Czyżby mnie osaczyli?" Był pełen czujnego spokoju, jaki daje bliskość niebezpieczeństwa. „Co robić? Którędy się stąd wydostać?" Nie było wyjścia. „Jeden Pan Bóg, gdyby zechciał, mógłby mnie wyratować, tak jak wyprowadził mnie dziś z aresztu." I naraz w mózgu zaświeciła mu radosna myśl: „Kościół!" Był przecie tu, o dwieście kroków, a tam chyba nie będą go ścigali, a tym bardziej mordowali.

Zdjął czapkę przed figurą Matki Boskiej i za chwilę był już za bramą cmentarną. Jeszcze pięćdziesiąt kroków — i oto znalazł się w kościele.

Odprawiało się nabożeństwo. Wzrok Kłosa po obramowanych światłem a nisko pochylonych głowach klęczącego tłumu, jak po świetliście spienionych falach znieruchomiłego morza, pobiegł ku głównemu ołtarzowi. Był on rozgwieżdżony od licznych lampek elektrycznych, które otaczały obraz Przemienienia Pańskiego oraz naśladowały świece w czterech wielkich świecznikach po bokach i w olbrzymim żyrandolu u góry. Płonęły też one gęsto u ścian. Światło prawdziwych świec woskowych w wysokich lichtarzach na mniejsze wydawało się przy nich nikle i żółte jak blask bursztynów przy brylantach. Wszystko to płonęło w śnieżnych obłokach astrów, chryzantem i dali, którymi wierni zasypali po prostu całą absydę.

Ponad ołtarzem migotała promienista monstrancja w kształcie słońca z białym krążkiem Hostii pośrodku. Patrzyła ona na korzące się przed nią tłumy, nieruchoma i jakby nic nie widząca. Zdawało się, że Bóg umyślnie pokrył bielmem oko swojej Opatrzności, aby, do czasu przynajmniej, nie dostrzegać nieszczęść tych rzesz swoich wyznawców, którzy oto korzyli się przed Nim, modlili i łkali żebrząc zmiłowania.

Kłos ukląkł z boku, ukryty za kolumną. Nic go nie obchodziło to, co się dzieje w kościele, wszystkie myśli jego były na rynku. Oglądał się od czasu do czasu na wejście główne i boczne, żeby sprawdzić, czy nie jest śledzony.

Tymczasem msza się skończyła. Odprawiał ją nasz proboszcz, ksiądz Międlak. Był to kapłan niezmiernie zacności i nawet — powiem — świątobliwości, ale z dopuszczenia Bożego nie odznaczał się urodą. Miał nader wydatny brzuch oraz wyjątkowo grube rysy twarzy. Zwłaszcza mięsiste wargi tudzież ogromny zakrzywiony nochal czyniły go podobnym do Żyda. Miał nawet z powodu swego wyglądu jakieś przykrości od hitlerowców.

Ukończywszy nabożeństwo ukląkł przed ołtarzem, jako że było to w pierwszy piątek września, i zaczął grubym donośnym głosem odmawiać litanie do Najświętszego Serca Jezusowego. Kłos słuchał początkowo obojętnie basowych apostrof proboszcza i szmeru odpowiedzi tłumu, aż wreszcie bezwiednie przyłączył i swój szept do ogólnego westchnienia, które jęklwym szmerem biegło ku ołtarzowi.

— Zmiłuj się nad nami!

Zaczął mu to sprawiać ulgę. Coraz bardziej bowiem odrywało jego myśl od nieszczęsnego położenia i niebezpieczeństwa, które czyhało nań przed kościołem. Z zainteresowaniem słuchał też modlitw, które rozrzewniały go coraz bardziej. Chwytał chciwym uchem i powtarzał gorącą myślą donośne słowa księdza.

— Twoją jesteśmy własnością i do Ciebie należeć chcemy... Wielu nie zna Cię wcale, wielu odwróciło się od Ciebie, wzgardziwszy przykazaniami Twymi. Zlituj się nad jednymi i drugimi... Królem nam bądź, o Panie: nie tylko wiernym, ale i synom marnotrawnym, którzy Cię opuścili. Spraw, aby do domu rodzicielskiego wrócili czym prędzej ..

Tu Kłos zaczął płakać ciężkimi łzami, ledwie wstrzymując się od głośnego szlochania.

?— Spraw, Jezu najśodszy! Spraw, Jezu najlaskawszy! Odkupicielu! Spraw!... Spraw!...

A ksiądz grzmiał w dalszym ciągu:

— Królem bądź tych wszystkich, którzy jeszcze błakają się w ciemnościach pogaństwa i racz ich przywieść do światła i Królestwa Bożego.

Naraz oczy Kłosa obeschły z wielkiego zdumienia: proboszcz modlił się z przejęciem, hucząc coraz głośniej:

— Wejrzyj wreszcie okiem miłosierdzia na synów tego narodu, który był niegdyś narodem szczególnie Ci umiłowanym. Niechaj spłynie i na nich... źródło odkupienia i życia...

„Jak to? Ksiądz modli się za Żydów?... Teraz?...” W pierwszej chwili przysłała mu myśl doniesienia o tym lejtnantowi Aschelowi z gestapo, ale zaraz się połapał, iż jest rzeczą niemożliwą, żeby władze niemieckie nie wiedziały o takiej rzeczy, tylko że widocznie mają rozkaz niewtrącania się do spraw kościelnych. „A więc Kościół katolicki jest za Żydami?...” Mieszało mu się w głowie i nie mógł już z uwagą słuchać dalszego ciągu nabożeństwa. Dopiero gdy ksiądz przez złotem haftowany ręcznik chwycił oburącz monstrancję i zaczął nią wodzić na krzyż, błogosławiąc wiernych, przepadł do ziemi ze łzami w oczach.

— Panie Jezu, pozwól mi wrócić szczęśliwie do rodzicielskiego domu! Pozwól mi, Panie!... Pozwól!...

I doznał cudu. Przypomniało mu się, że może wyjść z kościoła bocznymi drzwiami, a stamtąd furtą przy domku organisty przedostać się, omijając rynek, do dzielnicy, w której mieszkali jego rodzice. Zaraz też przysunął się ostrożnie do wyjścia i niedługo stukał już do drzwi rodzinnego domu. Ale nikt nie odpowiadał.

Zaczął więc kołatać z coraz bardziej wzrastającą rozpaczą.

Bez skutku.

W pewnej chwili poczuł, że patrzy nań ktoś z tyłu. Nie uświadomionym odruchem odskoczył w bok. Sam nie wiedział, kiedy rewolwer znalazł się w jego dłoni.

Teraz dopiero oprzytomniał.

W drzwiach sieni od podwórza stała wysoka czarna postać. Była to jego matka.

— Mama — wyszeptał wreszcie bezgłośnie.

Obu rozlatanymi rękami bezskutecznie wpychał rewolwer do pochwy. Matka wpatrywała się weń w milczeniu. W półmroku dostrzegał nikły blask jej zimnych oczu. Uśmiechnął się do niej na pół, żeby pokryć zawstydzenie, a na pół z rzeczywistej radości.

— Jaki ja głupi! Mama pewno była razem ze mną w kościele, a ja myślałem...

Udało mu się wreszcie wetknąć broń. Znowu się uśmiechnął niepewnie i postąpił jeden krok w kierunku nieruchomej postaci swojej rodzicielki.

— Bo ja właśnie przyszedłem...

— Po kogo? — wybuchnęła jadowitym sykiem. — Czy po starą matkę, żeby ją wydać w ręce siepaczy, jakieś już rodzonego ojca wydał?...

— Ja ojca nie wydałem. Po co gadał i robił głupstwa? Wiedział przecie, jakie są dzisiaj czasy. Teraz mu już nic pomóc nie mogę. Mnie samego pewnie wyleją z policji.

— Czwarte: czcij ojca twego i matkę swoją. Czcij ojca twego i matkę swoją, ażebyś długo żył i dobrze ci się powodziło na ziemi. Pamiętaj o przykazaniach Bożych!

Na dźwięk tak dobrze sobie znanego matczynego patosu, Kłós od razu odzyskał równowagę ducha i pewność siebie.

— E, mama zawsze musi wyjeżdżać ze swoimi kazaniami, a ja nie mam na to czasu. Ściągają mnie, nie mogę więc wracać do siebie. Muszę się dostać do mieszkania mamy.

— Do mojego mieszkania? Więc wyrzuć starą matkę na ulicę, a sam zabierz wszystko, całą jej chudobę. Wyrzuć starą matkę na bruk. Wy tak przecie zawsze robicie. Tak wam nakazuje ten wasz antychryst, któremuś swoją duszę nieśmiertelną zaprzedał.

— Niech mama przestanie. Nikomu duszy nie zaprzedałem i nikogo z mieszkania wyrzucać nie mam zamiaru. Tyle lat mieszkalem w tym domu przy mamie, to i teraz mogę tu jedną noc przespać. Był już całkowicie opanowany. Mówił drwiąco i nieco gniewnie, podchodząc tuż do matki, ale naraz zatrzymał się na widok jej pałającego wzroku.

— No, co mama?...

— Co mama?... Co mama?... Już nie jestem twoją matką. Poszukaj sobie innej matki u tych, którym

słyszysz. Może znajdziesz, tak jak już znalazłeś inną ojczyznę, królestwo antychrysta.

— Nie potrzebuję innej matki ani innej ojczyzny. Żadnemu antychrystowi nie służę. Byłem Polakiem i katolikiem i będę Polakiem i katolikiem.

— Nie, synu, ty nie jesteś ani Polakiem, ani katolikiem.

Nachyliła się ku niemu, jakby go chciała przebrać swymi twardymi jak stal oczami.

— No, przecie nie jestem Niemcem.

— Nie jesteś Niemcem. Nie, nie jesteś Niemcem. Jesteś gorzej niż Niemcem...

Zniżyła głos do świszczącego szeptu.

— Jesteś Judaszem... Judaszem!... Za trzydzieści srebrników wydałeś w ręce Heroda własnych braci, rodzzonego ojca; na rozkaz Heroda mordowałeś niewinne dzieci...

—• Więc nie puści mnie mama do rodzicielskiego domu?

Oparła się o framugę i oddychała ciężko, z głośnym świstem wciągając nosem powietrze.

— Mam się wynosić, tak?

Nie odpowiedziała.

— Dobrze! Jeszcze mama tego pożałuje!

Nie patrząc na nią wyszedł na podwórze. Zaraz za drzwiami jednak zatrzymał się pod pozorem obciągnięcia i uporządkowania munduru. Stał tak, dopóki nie usłyszał szybkich kroków w sieni, chrobotania klucza w zamku, a potem głośnego trzaśnięcia zamykanych drzwi. Wtedy dopiero ciężkim krokiem i z opuszczoną głową wyszedł przez bramę samotnie stojącej kamieniczki na ulicę. Tam znowu stanął w bolesnej zadumie.

Wreszcie zdecydował się. Ruszył do stojącego z dala od ulicy brunatnego domku parterowego. Mieszkał tam sąsiad Bała, o którym Kłós wiedział, że trudni się pędzeniem samogonu. Otworzył sobie furtkę z haczyka, obszedł chałupę od tyłu i wlażł wprost do izby, gdzie właśnie Bała i jego żona precedzali mętną ciecz, lejąc ją z kubła do gąsiorów poprzez czarny od węgla rękaw. Na widok Kłosa oboje struchleli i stali nieruchomi i bladzi z półotwartymi ustami. Pierwsza oprzytomniała Balina.

— Józia! — wrzasnęła przeraźliwie.

Młoda panienka w granatowej sukience wbiegła z drugiej izby.

— Czego?

— Na, masz! Potrzyмай to!

Wetknęła jej drut od rękawa, a sama wytarła ręce w fartuch, podeszła do oszklonej szafki, wyciągnęła spod talerzy banknot pięćsetzłotowy i położyła przed Kłosem na stoliku.

Ten przyglądał się papierkowi z opuszczoną głową i w głębokiej zadumie.

— Zabierzcie sobie tego górala! — powiedział wreszcie ostro.

Wydobył rewolwer i rzucił go na stół. Potem cisnął na niego czapkę. Wreszcie opadł ciężko na krzesło obok, opuszczając na piersi czarny, nie ogolony podbródek.

Wtedy Bała postawił na ziemi kubel z niedogonem, który trzymał był w ręku, i podszedł doń zgięty w ukłonie, zacierając ręce.

— A co pan Franuś uważa?

Kłós spojrział nań spość łba.

— Wódki!

7 — Wyrok na Franciszka Kłosa

Gdzie i ile pił, kiedy i w jaki sposób trafił do domu, tego Kłós żadną miarą nie mógł sobie przypomnieć. Gdy się jednak obudził, dzień był zupełnie jasny i słoneczny. Z całkowitej ciszy, jaka go otaczała, wnioskował, że znajdował się w domu sam. Miał oprócz tego przekonanie, że spał bardzo krótko: może godzinę, a może i mniej. Łaskotliwy ból wszystkich nerwów wzmógł się bowiem jeszcze i stawał bezwarunkowo już nie do wytrzymania. Umieścił się jak zwykle w rękach i nogach, ale oprócz tego, i to najbardziej, w oczach, które dokuczały mu tak straszliwie, że musiał wyteżać całą siłę woli, żeby ich sobie nie wydrapać. Wysiłki te stawały się coraz trudniejsze.

— Gdzie ta Lodzia? Jeśli nie wróci zaraz, to zrobię sobie coś strasznego. Chryste, ratuj mnie! Chryste, wspomóż mnie!

Spojrzał w okno. Może zobaczy żonę powracającą z miasta. Na bezchmurnym niebie mignął cień jakby samolotu. Ale był to samolot o kształcie nieokreślonym, czarny i przezroczysty jak welon żałobny. Sunął bez najłżejszego szmeru, dziwnie wolno i wprost w okno. Oto już jest w oknie... Oto przesuwa się przez nie i płynie pod sufitem tuż nad jego łóżko.

Spostrzegł, że nie jest to samolot, tylko olbrzymi nietoperz o głowie ludzkiej, ohydnej i groźnej.
— Diabeł!

Zmartwił z przerażenia, ale nietoperz na szczęście wsiąkł w ścianę ponad nim. Natomiast Kłós ujrzał teraz, że przez pokój obok łóżka przechodzi nagi mężczyzna atletycznej budowy, o nader niskim czole, przyglądając mu się z niezmierną uwagą, jakby chciał sobie zapamiętać jego rysy, najwidoczniej również jakiś zły duch. Tak przynajmniej można sądzić z przejrzyistości jego ciała.

W Kłosie obudził się instynkt walki. Ostrożnym ruchem sięgnął po rewolwer, który trzymał przy sobie wetknięty pomiędzy materac a boczną deskę drewnianego łóżka. Zanim

or

zdołał go schwycić, widziadło znikło. W tej chwili jednak spostrzegł, że pod drzwiami stoją cztery jakieś poczwary w jednym szeregu. Były to małe potworki o cienkich rękach i powykrzywianych nogach, dźwigających wzdęte brzuchy. Miały spiczaste głowy, wielkie odstające uszy i grymasy idiotów na twarzach. Przypatrywały mu się wielkimi okrągłymi oczami z jakąś tępą ciekawością krów pasących się na pastwisku. Kłós przypatrywał im się równie uważnie. Nigdy w życiu nie widział, nie wyobrażał sobie, nie przeczuwał nawet, że mogą istnieć podobne kształty. A jednak niewątpliwie istniały i stały tam, o parę kroków od niego. Przekonał się więc niezbitnie, że obok ludzi żyją na ziemi gromady duchów, dostrzegalnych dla człowieka tylko w wyjątkowych wypadkach.

Nie było w nich nic groźnego, ale były za to tak ohydne, że Kłós ciągle myślał, żeby wydrapać sobie oczy, byle tylko na nie nie patrzeć. Naraz wpadła mu inna myśl do głowy. Zerwał się z łóżka.
— Precz stąd!

Równocześnie zaczął strzelać, aż w uszach mu zadzwoniło, i ostra woń prochu wypełniła izbę.

Widziadła znikły. A więc był na nie sposób. Postanowił więc strzelać, gdy tylko się ukaza ponownie, zanim jeszcze zdąży uświadomić sobie ich ohydę.

Obrócił się ku oknu. Tłoczyły się tam po prostu najdziwaczniejsze twarze. Jakiś stwór bez czoła, podobny nieco do goryla z maleńkim noskiem jak u kota i z wilczymi spiczastymi uszami, usiłował przedostać się przez szybę do pokoju. Kłós znowu zaczął strzelać. Rozległ się hałaśliwy lament wypadających szyb, a potem znowu zadzwoniła cisza. Ale w oknie nie było już nikogo. Widziadła bały się jednak strzałów.

Kłós odetchnął głęboko jak po ciężkiej pracy.

W sieni rozległy się odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi, pospieszne i pomieszane głosy... Ktoś kogoś wołał, ktoś nawet zaczął leciutko pukać we drzwi...

„Ludzie... Dobrze, niech przyjdą. Niech zobaczą jakieś twarze oprócz tych mord idiotycznych i ohydnych...”

Tymczasem rozmowy i trzaskania drzwiami potrwały jakiś czas, a potem znowu nastąpiła cisza.

Kłós rzucił okiem na pułap. Zdążył tylko dostrzec kilka par oczu wpatrzonych weń w matolkowatym osłupieniu i zaczął strzelać raz po raz.

Naraz dostrzegł jakiś kształt na podłodze, pełznący w jego kierunku. Chciał znowu wystrzelić, ale nie było już naboju w lufie. Cisnął więc rewolwer. Ale w tej chwili izba napełniła się poczwarami, które widocznie poznały, że jest bezbronny. Zaczął więc miotać się we wszystkie strony, ciskając w nie, co było pod ręką: wazonami, doniczkami, krzeselkami, nawet obrazami, które zrywał ze ścian.

Wyskoczył do kuchni i znalazł tam siekiere. Teraz znowu był uzbrojony. Machał nią we wszystkie strony, a zwłaszcza tłukł w okna, którymi ciągle usiłowały się przedostać wstrętne postacie. Pomny, jak bały się strzałów, a zarazem dla dodania sobie odwagi, ryczał ciągle najpotężniejszym głosem, na jaki potrafił się zdobyć:

— Wynoście się, do cholery! Precz ode mnie, psiakrew! Bo was tu wszystkie porąbię!

Ale straszdyła również nabierały tupetu. Może też rozwścieczyło je zachowanie Kłosa.

Próbowały go atakować, wyciągając ręce o długich szponach. Kłós zmęczył się wreszcie tak straszliwie, że padł na łóżko twarzą do poduszki, zakrywając jeszcze oczy dłońmi.

„Niech się dzieje, co chce!”

Gdy się obudził z twardego snu, otaczała go ciemność. Nie czuł już żadnej trwogi i żadnego niepokoju oprócz zupełnego wyczerpania oraz niezmiernego przygnębienia, jakiego jeszcze nigdy w życiu dotychczas nie odczuwał. Usiadł na łóżku i zaczął rozmyślać nad swoim położeniem. Nie ulegało wątpliwości, że z niezgłębionych przyczyn znalazł się za życia jeszcze w okropnym świecie duchów, o których istnieniu nie miał dotychczas pojęcia. Nigdy przecie nie słyszał o niczym podobnym, nie przeczuwał nawet, że wokół niego mogą kręcić się jakieś niewidzialne zazwyczaj istoty. Jeżeli chodziło o inne sprawy, to nie wątpił, że po zejściu ze Schwickiem jego służba w policji skończyła się. Cóż więc mu pozostało?... Śmierć.

Zdecydował się na nią od razu. Szukając długo po podłodze znalazł wreszcie rewolwer, a potem ładunki.

Nabijając broń rozmyślał w dalszym ciągu. Dobrze, zastrzeli się. Ale co się stanie po jego śmierci z Łodzią i z dziećmi? Stracą jedyne go żywiciela. Ale nie tylko to. Przecie ci bandyci, którzy przysłali mu wyrok śmierci, nie pozostawią ich w spokoju. Jakież życie czeka jego rodzinę w tym przeklętym kraju? Musi więc zabić ich także.

To przekonanie napełniło go takim żalem i rozpaczą, że długi czas siedział na łóżku płacząc.

Wreszcie zdecydował się. Namacał kontakt i włączył światło. Pokój był zrujnowany zupełnie. Cała podłoga zasłana była drzazgami, skorupami, ziemią z doniczek, poszarpanymi strzępami płócien z obrazów. Czarna zasłona w oknie falowała od powietrza, ciągnącego przez wybite szyby. Kłós podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Kuchnia była zamknięta. Zapukał więc wołając:

— Łodzia, otwórz!

Za drzwiami słychać było trwożne szepty.

— Łodzia, słyszysz? Masz mi otworzyć!

Znowu szepty i lekki trzask przekręcanego kontaktu.

— Łodzia!

Kołał coraz silniej ze wzrastającym gniewem, ale bez skutku. Rozejrzał się i zobaczył siekiere. Chwyił ją w prawicę, przełożywszy broń do lewej ręki.

— Łodzia, do cholery! Otwierasz czy nie?

Szepty, szepty...

— Łodzia, bo drzwi wyrąbię!

Tu zaczął walić siekiere z coraz wzrastającą wściekłością, raz koło razu.

Klucz zazgrzytał w zamku i drzwi rozwarły się niespodzianie. Stała w nich żona w koszuli, nieustraszona, zasłaniając sobą łóżko, na którym siedziały w kuczki przerażone dzieci: dwunastoletni Józio i dziewięcioletnia Tereska.

— Franek, co ty wyrabiasz?

Kłosa złość opuściła w jednej chwili. Odrzucił siekiere i usiadł zadyszany na skrzynce od węgla obok pieca kuchennego. Żona nie spuszczała go z oka, ciągle zasłaniając sobą dzieci.

— Powiedz mi, Franuś, co się z tobą dzieje?

Oprzytomniał. Szybko wyrwał klucz ze drzwi prowadzących do sieni, potem przełożył rewolwer do prawej dłoni.

— Słuchaj, Łodzia, nie wiesz jeszcze, że wylali mnie z policji. Zostaliśmy bez chleba. Oprócz tego mam przecie wyrok śmierci. Nie ma już dla mnie wyjścia. Muszę się zastrzelić.

— Franuś, co ty wygadujesz? Miejże Boga w sercu!

— Nie ma dla mnie ratunku ani w tym życiu, ani w przyszłym. Naokoło mnie krążą całe zgraje diabłów. Widziałem ich na własne oczy.

— Franuś, co ty wygadujesz? Przecie Pan Bóg jest miłosierny i przebacza nawet największym grzesznikom. Możesz się jeszcze wypowiadać, żałować za grzechy, pokutować...

— Nie ma dla mnie miłosierdzia ani zbawienia. Muszę się zastrzelić. Ale nie chcę was zostawić na poniewierkę. Musicie zginąć razem ze mną.

Żona patrzyła nań, jakby nie rozumiejąc.

— Co ty gadasz, Franuś? Tyłeś ludzi namordował i jeszcze chcesz zamordować własne dzieci?
— Nie zostawię ich sierotami w tym podłym kraju, gdzie wszyscy będą im wytykali pamięć ojca.
— Ależ Franuś, przecie może zaopiekować się nimi twoja matka albo mogą wyjechać do mojego ojca, gdzie nikt o tobie nie słyszał!

—? Nie chcę niczego zawdzięczać temu staremu draniowi. Nic już nie pomoże: dziś moja śmierć i wasza. — Podniósł broń do oczu i obejrzał ją dokładnie.

Dzieci, które zrozumiały już, o co chodzi, powyskakiwały z łóżek i w najwyższym przerażeniu zaczęły tulić się do nóg ojca odzianych w trykotowe obcisłe gacie, płacząc głośno i powtarzając w kółko:

— Tatusiu... Tatusiu... Tatusiu...

Matka padła na kolana obok nich.

— Franuś, zaklinam cię na wszystko, co najświętsze, jeśli już koniecznie chcesz mnie zabić, to zabij, ale nie morduj niewinnych dzieci. Nie bierz tej krwi z sobą na straszny sąd Boski. Jeżeli nie litujesz się nad nimi, to ulituj się chociaż nad sobą, nad swoją duszą nieśmiertelną.

Kłós siedział ze zwieszoną głową, celując w żonę z rewolweru.

?—? Nie może być. Musicie dzisiaj wszyscy umrzeć razem ze mną. Nie zostawię was samych na tym podłym świecie.

Tu zaczął płakać i szlochać, opuszczając głowę coraz niżej. Żona skorzystała z tego natychmiast. Klęcząc objęła go rękami w pól i nie przestawała błagać.

— Franuś, posłuchaj mnie ostatni raz. Pójdziemy razem do spowiedzi, potem do komunii. Zobaczysz, że jeśli wspólnie pomodlimy się w stanie łaski, to jeszcze Pan Jezus i Matka Boska wszystko odmienią.

— Dla mnie nie ma miłosierdzia. Nie dostanę nawet rozgrzeszenia.

— Zobaczysz, że dostaniesz. Miłosierdzie Boskie jest bez granic. Chrystus przebaczył nawet łotrowi na krzyżu, a Longinus, który mu bok przebił włócznią, został świętym.

— Ale ci dranie mi nie przebaczą.

— Jacy dranie?

— Ci z polskich band.

— Zobaczysz, że Matka Najświętsza, Królowa Korony Polskiej, wszystko odmieni. Tylko prześpij się jeszcze trochę, żebyś wypoczął i nabrał sił. No, chodź do łóżka!

Ostrożnie wyjęła mu z garści rewolwer, który oddał bez oporu, i poprowadziła zapłakanego na posłanie. Spojrzawszy na zrujnowany pokój powiedziała:

— Ja tu wszystko posprzątam.

Kłós dał się położyć jak dziecko, przytrzymywał tylko rękę żony.

— Nie odchodź!

— Dobrze, Franuś, nie odejdę, póki nie zaśniesz.

— A moja matka rodzona wyгнаła mnie precz, na śmierć! — zaszlochał.

— Cicho, Franuś, cicho! Jak wróci Łaska Boża, wszystko się jeszcze odmieni. Zobaczysz.

Skoro tylko zaświtało, Kłós zerwał się z łóżka, przy pomocy żony wyszorował się dokładnie, wdział czystą bieliznę oraz nowy mundur i wraz z nią udał się do kościoła trzeźwy, czczy, ale spokojny.

Jeszcze nie zaczęła się pierwsza msza, którą miał odprawiać wikary, ale proboszcz siedział już w konfesjonale i spowiadał jakąś babinę. Kłós uklęknął z drugiej strony. Serce mu łomotało w piersiach jak zasypany w schronie człowiek, który kilofem wybija sobie wyjście na świat. Wreszcie proboszcz przeżegnał spowiadającą się, zapukał i zwrócił się do niego.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powiedział Kłós głosem tak zdławionym, że ksiądz nie zrozumiał i zapytał:

— Co mówisz?

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powtórzył Kłós śmieiej i wyraźniej.

— Na wieki wieków. Amen — odpowiedział proboszcz pospiesznie, dając babie do pocałowania stulę, którą potem zakrył sobie twarz. — Słucham.

Kłós wyraźnym a pełnym przejęcia szeptem zaczął wyliczać swoje zbrodnie: zdradę ojczyzny,

mordowanie mężczyzn, kobiet i dzieci, pijaństwo, bluźnierstwa, postanowienie odebrania życia sobie, swojej żonie i dzieciom. Co chwila zatrzymywał się, oczekując odruchu grozy ze strony spowiednika, ale ten tylko szeptał: — Mów. Mów dalej.

Kłós mówił więc coraz bardziej ogłupiały. Wreszcie skończył i westchnął głęboko, dokonawszy tego wysiłku samo-oskarżenia.

— To wszystko?

— Tak jest, proszę ojca duchownego.

— A czyś nie zmieniał nigdy wiary, nie wątpiłeś w istnienie Boga i w to wszystko, w co Kościół wierzyć nakazuje?

— Wątpiłem.

— Ile razy?

— Przypominam sobie tylko ostatni raz, dzisiaj.

— A czyś nie przysięgał bez potrzeby albo, co gorzej, fałszywie? Czyś nie wymawiał imienia Boskiego w żartach czy z lekceważeniem? Ile razy to się mogło zdarzyć?

Kłós nie wiedział, czy ksiądz kpi sobie z niego, czy też może nie dosłyszał jego poprzedniej spowiedzi. Odpowiadał więc machinalnie, czując, że poci się coraz bardziej.

— Czyś nie opuszczał mszy świętej w niedziele i święta albo pacierzy codziennych? Czyś nie łamał postów przez Kościół nakazanych? Ile razy tak być mogło? — dopytywał się nielitościwie proboszcz grubym półgłosem.

Kłosowi ciągle zdawało się, że proboszcz chyba żartuje i nie bierze jego spowiedzi poważnie. Odpowiadał jednak machinalnie.

Naraz oświeciła go nagle myśl: „Ksiądz zauważył, kim jestem, i obawia się, że ta spowiedź może być z mojej strony tylko prowokacją”. Myśl ta była tak przykra, że ledwie się powstrzymał, aby nie wstać i nie odejść od konfesjonału. Wytrwał jednak.

Tymczasem proboszcz skończył wreszcie osobliwe śledztwo i zaczął swoim zwyczajem chrząkać:

— Hm... hm... mój synu... hm... rzeczywiście jesteś wielkim grzesznikiem, ale nie powinieneś tracić nadziei w miłosierdzie Boże, bo to jest najcięższy grzech przeciwko Duchowi Świętemu, tak jak i rozpaczać o swoim zbawieniu. Za te grzechy nie ma już przebaczenia. Chrystus Pan przebaczył nawet oprawcom, którzy Go zamęczyli na śmierć, a Longinusa, który Mu bok przebił włócznią, dopuścić raczył do swojej chwały jako świętego. (Tu Kłós połapał się, od kogo jego żona wiedziała o świętym Longinusie.) Hm... wszystko zależy tylko od skruchy i od pokuty. Ale widzisz, moje dziecko, czy ty, hm... dostatecznie zdajesz sobie sprawę ze swoich grzechów? Czy orientujesz się, że w tym kraju... hm... w tej przecie twojej własnej ojczyźnie, tak ciężko dotkniętej przez tę okrutną wojnę, tyś stał się szercykiem klęsk, nieszczęść i śmierci?

— Ja przecie głównie Żydów zabijałem.

— Głównie Żydów... Hm... hm... Spowiadałeś się przecie, żeś zabił tego więźnia... hm... i te dwie nieszczęśliwe kobiety... Ale zupełnie nie o to chodzi. Pan Bóg powiedział: nie zabijaj. Nie zabijaj nikogo! Nawet wroga. A Pan nasz, Jezus Chrystus, dodał jeszcze do tego mocą swego posłannictwa: „Miłujcie nieprzyjacioły wasze. Czyńcie dobrze tym, którzy was ?nienawidzą”. Nawet więc gdybyś uważał Żydów za swoich nieprzyjaciół, to jako chrześcijanin nie powinien byś czynić im żadnej krzywdy.

— Ale oni są przecie nieprzyjaciółmi nie tylko moimi, ale też wszystkich chrześcijan i nawet samego Pana Jezusa!

— Widzisz... hm... mój synu, Pan Jezus sam pochodził z tego narodu, tak jak Matka Najświętsza i wszyscy apostołowie. Nigdy więc nie można potępiać całego plemienia. A zresztą... hm... Pan Jezus miłował swój naród jako człowiek. Nie słyszałeś, jak płakał nad Jerozolimą przewidując jej upadek?...

Kłós był coraz bardziej zdumiony.

— Więc ksiądz mi radzi, tak jak moja żona, żebym porzucił służbę w policji?

— Nic ci, moje dziecko, poradzić nie mogę. W każdym zawodzie można być zbawionym. Święty Sebastian, święty Ekspedyt, święty Florian, święty Jerzy — byli przecie żołnierzami. Trzeba tylko

pełnić przykazania Boże, a zwłaszcza to najważniejsze: miłości Boga i bliźniego. Pewnie... hm... że jeśliby cię ta służba miała przywodzić do złego... Należy... hm... zawsze unikać okazji do grzechu... Kłós zamyślił się ponuro.

— Więc mam kochać nawet tych, którzy przysłali mi wyrok śmierci i teraz dybią na moje życie?

— Powinieneś, jeśli sam chcesz dostąpić odpuszczenia grzechów. Przecież mówisz zawsze przy pacierzu: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Przebaczasz więc?

Kłós milczał z czołem opartym o konfesjonał.

— Przebaczasz?

— Przebaczam — odburknął szorstko.

— Żałujesz za swoje grzechy?

— Żałuję.

— Postanawiasz już więcej nie grzeszyć?

?— Postanawiam.

— I wynagrodzisz krzywdy, jakie będziesz mógł, bo przecie umarłych już nie wskrzesisz?

— Wynagrodzę.

— Dobrze, w takim razie za pokutę odmówisz do końca miesiąca różaniec do Matki Boskiej, żeby ci pomogła utrzymać się na drodze poprawy.

— To, proszę ojca duchownego, to ja otrzymam rozgrzeszenie? — ze zdumieniem zapytał Kłós.

— Owszem, pod warunkiem, że, dopełnisz wszystkiego, coś przyrzekł. Zresztą, jak mówiłeś, otrzymałeś wyrok śmierci, a nam kapłanom nie wolno odmawiać absencji in articulo mortis, czyli w obliczu śmierci.

Kłós puścił to mimo uszu.

— I będę mógł przystąpić do komunii?

— Jeżeli uczynisz przedtem szczerze wszystkie akty, to oczywiście. A teraz bij się w piersi.

Kłós odszedł od konfesjonału zupełnie oszołomiony. „Mam odpuszczone wszystkie grzechy, wszystkie!” — powtarzał sobie w upojeniu. Czuł wtedy zaprawdę mocne postanowienie poprawy życia. Modlił się jak wniebowzięty. A gdy odchodził z rozplywającym się komunikantem w ustach, zdawało mu się, że nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy.

Po wyjściu z kościoła natychmiast kupił sobie różaniec i zaczął go od razu odmawiać ukrywając paciorki w lewym rękawie. Czuł się z nim bezpieczniejszy niż z rewolwerem w dłoni. Wierzył też, że wszystko dlań teraz weźmie inny obrót.

Rzeczywiście na posterunku pierwszą osobą, którą spotkał, był komendant Schwick. Rzucił się do Kłosa z rozjaśnioną tłustą twarzą.

— Nanu, Franek, to ciebie jeszcze nie zdmuchnęli?

— Jak pan komendant widzi.

— A czemu ciebie wczoraj nie było?

— Byłem chory, panie komendancie.

— Chory? A kto cię tak w ryja zamalował?

Kłós ukazał w uśmiechu swoje białe zęby.

— Przecie to sam pan komendant.

— Ha, ha, ha! — ryczał grubas klepiąc go z całej siły w łopatkę. — Ty jesteś dzielny chłopak! Tylko jeszcze musisz zrozumieć, co to jest befel. No, ale to już ja cię nauczę!

Koledzy również ustosunkowali się do Kłosa bardziej życzliwie. Być może, zawdzięczał to Drodzowi, odznaczającemu się nabożnością, który widział go przystępującego do komunii.

Od tego czasu Kłós zmienił się zupełnie. Nikt już więcej nie słyszał o jego nadużyciach czy morderstwach. Przestał też pić. Nie brał do ust kropli alkoholu, nawet piwa. Natomiast niemal codziennie można go było spotkać w kościele. Chodził zawsze cichy, milczący, jakby zgaszony, jak to zwykle dzieje się z alkoholikami czy narkomanami, którzy rozpoczęli walkę ze swym nałogiem. Wróciła mu też dbałość o wygląd zewnętrzny. Jego wygolone policzki miały odcień szafirowy. Nigdy się też nie śmiał ani nie uśmiechał, co zresztą również wychodziło mu na korzyść, jak już bowiem miałem sposobność nadmienić, uśmiech jego nie był ujmujący.

Wszystko to sprawiło, że ludzie zaczęli po trosze zapominać o jego zbrodniach. W pierwszym rządzie przyczynił się do tego jego kolega, Drozd, który, o ile przedtem nie miał dlań słów potępienia, to teraz bronił go przy każdej sposobności.

— Zawsze mówiłem — dowodził kiedyś u Chomińskiego — że jest to chłop w gruncie rzeczy dobry. Przecie wszyscy znamy jego ojca i matkę i nikt im niczego zarzucić nie może. Tacy ludzie nie mogli wychować zbrodniarza. A czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Toteż i w nim odezwały się zasady chrześcijańskie, w jakich go wychowano, jak tylko zabrakło tego złego ducha, Krańca, który go wodził na manowce. Spowiedź i komunია — to odrodzenie. Narodził się nowy człowiek.

Obecny przy tym komendant Korszun kiwał z powątpiewaniem swoją szpakowatą głową, uśmiechając się jakby drwiąco.

Drozd skoczył ku niemu zaciętrzewiony.

— Pan komendant nie wierzy?

— Niby w co?

— Że Kłos się nawrócił?

— A mnie co to może obchodzić? Nie jestem misjonarzem wśród ludożerców, tylko policjantem.

— Ale jest pan także chrześcijaninem! — wybuchnął Chomiński zza kontuaru.

Oparł się na stole obu łokciami i wysunął na izbę swoją łysą czaszkę oraz olbrzymie wąsy.

— No, więc cóż z tego?

— To z tego, że każdy chrześcijanin powinien wyciągnąć dłoń do skruszonego grzesznika i pomóc mu wejść na dobrą drogę.

— I cóż mu przyjdzie z mojej dłoni? — zaśmiał się komendant.

Śmiech jego był tak prowokujący, że już i ja nie mogłem wytrzymać.

— Czy komendant nie jest zdania, że obowiązkiem chrześcijanina jest wybaczenie uraz a nawet choćby najcięższych krzywd?

Korszun przyjrzał mi się uważnie, jakby mnie ujrzał po raz pierwszy w życiu. W jego siwych oczach czaiło się coś jakby szyderstwo.

— Owszem, uważam — mówił z irytującym lekceważeniem. — Ale nie wiem, co może mieć piernik do wiatraka. Kłos mi nigdy żadnej krzywdy nie zrobił i nie mam mu nic do przebaczenia.

— Ale naród... państwo... Jako obywatel...

— Nikt mi nigdy nie dawał prawa przemawiania w imieniu narodu czy państwa.

— No, a gdyby pana powołano na członka sądu nad Kłosem?

— Po pierwsze, jakiś tam sąd nad Kłosem już się odbył i nawet wydał na niego jakiś wyrok. Pokazywał go przecie nam wszystkim. A po wtóre... uważam... że prawdziwy chrześcijanin ma prawo i nawet powinien przebaczyć swoje krzywdy, ale nie ma najmniejszego prawa darować zbrodni przeciwko własnemu narodowi. Sędzia-chrześcijanin może przebaczyć zbrodniarzowi, który zamordował mu choćby rodzoną matkę, ale ten sam sędzia będzie niktzemnikiem, jeśli wypuści na wolność przestępcę, który krzywdził innych, a którego stawiono mu do ukarania.

— Ale przecie każdy obywatel może mieć swoje przekonania. Kiedy znowu będzie Polska...

Naraz komendant Korszun zerwał się na równe nogi. Wyglądał strasznie. Szpakowata czupryna zjeżyła mu się nad czołem, grube rysy wykrzywił grymas jakby wściekłości, przekrwione oczy świeciły jak rozżarzone węgle. Raz po raz zaczął walić pięścią w stół.

— Nie będzie Polski! Nigdy nie będzie żadnej Polski... Czy Niemcy wygrają, czy przegrają — nie będzie Polski! Znowu znajdzie się taki Kłos, który pójdzie na własnej ziemi w służbę obcych...

Zachłysnął się i oprzytomniał. Następnie potoczył po nas krwawym wzrokiem i dokończył całkowicie zmienionym chrapliwym półgłosem:

— Zresztą co mnie to wszystko obchodzi? Jestem policjantem i mam obowiązek słuchać zwierzchników, a moim najwyższym zwierzchnikiem obecnie jest generalny gubernator Frank.

Odwrócił się i wyszedł nie żegnając się z nikim.

— Co mu się stało? — zapytał przerażony Chomiński. — Dlaczego on tak nienawidzi tego Kłosa?

— Musi w tym coś być — powiedział w zamyśleniu inspektor Czereśnicki.

— Podobno Korszun jest Ukraińcem — wtrąciłem.

ajc pan i ja — odrzucił poste-

piwoli odzyskiwać sobie serca ?zie coraz spokojniejszy i bez- zapomniano by o jego zbrod- j.zły nowe straszliwe wypadki, o miasta i znowu skierowały

Rozbite na froncie wschodnim oddziały niemieckie wycofywano dla uzupełnienia i reorganizacji przeważnie w nasze strony. Do Niemiec właściwych nie puszczano ich pod żadnym pozorem. Żołnierze tych oddziałów byli całkowicie zdemoralizowani. Mundury mieli pomiętoszone, poplamione, poobrywane. Chodzili hałaśliwi, porozpinani niedbale, czasami nawet w rannych pantoflach. Słowem, w niczym nie przypominali butnych żołdaków pruskich, do jakich przywykliśmy. Jedynym ich zajęciem początkowo zdawało się być wałęsanie po restauracjach, sklepach, nawet po domach prywatnych. Skwapliwie bratali się z każdym, kto pozwolił im się do siebie zbliżyć, szerzyli przesadne wieści o własnych klęskach i przy każdej sposobności powtarzali: „Deutschland kaputt!” Nie kryli się też ze swą nienawiścią do hitlerowców i wszelkiego rodzaju szowinistów. Była ich taka masa, że nic sobie z nikogo nie robili. Poza tym handlowali, gdzie się tylko dało, wyprzedając zrabowane i zdobyte łupy, a żądając w zamian wódki — i czekolady. Wódkę, przeważnie w postaci samogonu, dostawali łatwo, natomiast o czekoladzie nie było u nas mowy. Oburzało to ich niestęchanie, na froncie bowiem otrzymywali podobno stałe jej przydziały.

Głównym ogniskiem tego swoistego handlu stała się Warszawa, a mianowicie olbrzymi plac, powstały po zbombardowanym doszczętnie starym dworcu kolejowym. Zbierały się tam tysiące i dziesiątki tysięcy handlujących. Stamtąd też przysła wieść radosna a wstrząsająca: Niemcy sprzedawali również broń! Opowiadano na ten temat fantastyczne historie. Podawano nieprawdopodobne wypadki kupna ciężkich karabinów maszynowych, armatek przeciwpancernych, a nawet działa przeciwlotniczego. Wśród młodzieży zawrzało. Wszyscy teraz garnęli się do poskromionych zdobywców Wschodu w nadziei zdobycia tak upragnionego oręża. Wielu udawało się to rzeczywiście, wielu jednak padało ofiarą prowokacji ze strony gestapo.

Jedna z takich prowokacji na większą skalę zdarzyła się w Lemieszowie, oddalonym o jakieś dwadzieścia kilometrów od naszego miasta. Ofiarą jej padło kilku robotników, którzy pertraktowali w sprawie nabycia karabinu maszynowego. Wszczęte przez gestapo śledztwo wykazało, że nie był to już pierwszy tego rodzaju handel i że zdobytą w ten sposób broń wysyłano właśnie do Brodni, skąd wywożono ją samochodami wojskowymi aż do Łodzi, dla jakiejś organizacji komunistycznej. Centrala ta w naszym mieście znajdowała się w dzielnicy robotniczej, na przedmieściu zwanym Gliniankami. Gestapowcy, którzy tam wpadli, nie zastali już jednak nikogo oprócz gospodyni, jej trzynastoletniej córki oraz służącej. Oczywiście wszystkie te osoby zamordowali na miejscu. Od tego czasu codziennie na Gliniankach odbywały się rewizje i aresztowania.

Pewnego wczesnego a nader pogodnego i pięknego poranka październikowego wybrał się tam komendant Schwick wraz ze swym nieodłącznym psem oraz trzema żandarmami, z których jeden uzbrojony był w pistolet -maszynowy. Zdaje się, że chodziło o jakieś doniesienie. Dzielnica składająca się z istnego labiryntu małych uliczek i zaułków była zupełnie pusta, działo się to bowiem w niedzielę. Dopiero po dłuższym błądzeniu patrol ujrzał jakiegoś wąsatego mężczyznę około pięćdziesiątki, o wyglądzie robotnika, który stał przed furtką ogrodzonego, zielonego domku. Schwick skierował się do niego.

— Halo! Gdzie tu będzie ulica Szwoleżerów?

Mężczyzna nie odpowiedział. Uważnie spod półprzymkniętych powiek przyglądał się otaczającym go żandarmom, z których jeden, niby od niechcienia, skierował nań lufę swego rozpylacza. Wrażenie z tego przeglądu nie było widocznie korzystne, bo nagle robociarz błyskawicznym ruchem wydobył zza pazuchy pistolet i zaczął strzelać raz po raz, nim zaskoczeni Niemcy zdążyli wykonać jakikolwiek ruch. Musiał on mieć nie lada wprawę w tego rodzaju rozprawach, gdyż wyniki jego strzelania były nieprawdopodobne: Schwick, jego pies oraz dwaj żandarmi zginęli na miejscu — trzeci, ten z rozpylaczem, został tak ciężko ranny, że umarł w dwa tygodnie później w szpitalu wśród strasznych męczarni.

Ale i dla naszego miasta skutki tego zajścia okazały się oplakane.

W tym czasie właśnie Niemcy skończyli już całkowicie z taktyką pozyskiwania sobie Polaków,

przekonali się bowiem, że nie uda się nas zwerbować przeciw Związkowi Radzieckiemu. Owszem, coraz częściej zdarzały się wypadki wysadzania przez partyzantów mostów i torów kolejowych oraz napady na pociągi i na różne instytucje gospodarcze okupantów. W miastach i miasteczkach ciągle wykonywano wyroki na co wybitniejszych ciemężycieli spośród administracji oraz wstawionych szczególnym okrucieństwem funkcjonariuszy policyjnych.

Okupanci zaczęli więc stosować odwet, oczywiście odwiecznym obyczajem niemieckim nie na właściwych sprawcach zabójstw, których niezmiernie rzadko udawało się pochwycić, tylko na spokojnej ludności. Nazywano to początkowo „walką ze wspólnym wrogiem Polaków i Niemców, z komunistami oraz desantowcami sowieckimi”. Całymi partiami wieszano ochrzczonych tych mianem nad torami kolejowymi. Wreszcie porzucono i ten pozór. Znowu powrócono do starej nazwy „polskich bandytów”. Zaczęły się masowe rozstrzelania publiczne, które w Warszawie odbywały się codziennie, a na prowincji od czasu do czasu. Tylko że już nie mordowano nas bezkarnie jak w pierwszych latach wojny. Każdy mord karany był przez wystrzelanie jego sprawców lub wykolejanie pociągów „Nur für Deutsche”, wożących dygnitarzy hitlerowskich i ich rodziny. Hasło: „Nie damy się wymordować bezbroni jak Żydzi!” — było na ustach wszystkich. Zaczęło się wtedy mordowanie wzajemne. Oczywiście bezsprzeczną przewagę w tych sprawach mieli Niemcy i było jasne, że jeśli wojna nie skończy się szybko ich przegraną — naród nasz czeka całkowita zagłada.

Tak więc już w kilka godzin po zastrzeleniu Schwicka i trzech żandarmów przybył z Groszkowa autokar pełen uzbrojonych Niemców, którzy udali się natychmiast na Glinianki, a w pierwszym rzędzie do domu, przed którym dokonano zabójstwa. Zastali tam już tylko głupkowatą służącą, którą zastrzelili na miejscu, jak tylko im otworzyła drzwi. Hitlerowcy kierowali się w takich wypadkach dziwną zasadą zabijania tych, którzy im otwierali. Oprócz tego zamordowano jeszcze jakąś nie ustaloną liczbę osób, samych kobiet i dzieci, gdyż mężczyźni ukryli się przezornie, z całą polską, naiwną wiarą w rycerskość swych wrogów, pozostawiając w domach swoje żony i potomstwo. Trudno: każdy sądzi po sobie.

113

W nocy przybyło gestapo i zaczęły się aresztowania. Inspektor ubezpieczeń od ognia Czereśnicki oraz sekretarz magistratu Śmietanka, których na dwa tygodnie przed tym wypuszczono na wolność, przezornie nie nocowali w domu,

8 — Wyrok na Franciszka Kłosa uniknęli też ponownego uwięzienia. Natomiast w ręce niemieckie dostał się restaurator Chomiński. Był on przedtem zwolniony najwcześniej ze wszystkich na skutek grubej łapówki i teraz widocznie zaufał potędze swoich pieniędzy.

W dwa dni później na murach kamienic, na słupach ogłoszeniowych oraz w szafkach dla ogłoszeń urzędowych ukazały się obwieszczenia, że „na skutek mnożących się zbrodniczych napadów na osoby narodowości niemieckiej” w naszym mieście, a zwłaszcza „ohydneho mordu, dokonanego przez nikczemnego i tchórzliwego zbrodniarza na czterech żandarmach, dla dania satysfakcji narodowi niemieckiemu, sąd policyjny postanowił ukarać śmiercią przez rozstrzelanie trzydziestu polskich bandytów”. Następowala lista skazanych. Największe wrażenie wywarły na nas nazwiska kierownika Rządka oraz restauratora Chomińskiego. Uderzał brak starego Kłosa, o którym wszelki słuch zaginął. Czyżby w tym wypadku Niemcy kierowali się jakąś nie spotykaną u nich delikatnością w stosunku do Franka?...

Początkowo pokpiwano szyderczo z tej nieprzytomnej wściekłości hitlerowców, zwłaszcza z ich barbarzyńskiego braku wstrzemięźliwości w doborze określeń.

— „Tchórzliwy zbrodniarz” — mówiono. — Trzeba nie lada tchórza, żeby samemu i tylko z pistoletem rzucić się na czterech żandarmów, uzbrojonych w karabiny i rozpylacz.

— Albo ten „ohydny mord”. Czy mogą być ohydniejsze mordy jak te, których hitlerowcy dopuszczali się na kobietach i dzieciach żydowskich, a które poza tym stale uprawiają w obozach koncentracyjnych?

— Nie, oni w tym widzą tylko wzniosłą i ofiarną pracę „für Führer und Vaterland”.

Gdy jednak przyszedł dzień egzekucji, w mieście zapanowało przygnębienie. Wszyscy ukryli się w swych domach, sklepy również pozamykano. Po pustych ulicach rozbijały się jedynie patrole

żandarmów. Stałym zwyczajem byli oni całkowicie pijani i strzelali do każdego napotkanego przechodnia. W ten sposób koło posterunku żandarmerii zastrzelono dwóch mężczyzn, koło szpitala jednego i koło dworca również jednego. Troje ludzi zastrzelono na drogach okolicznych. Szczęściem w nieszczęściu było, że pośród zamordowanych nie znalazł się ani jeden obywatel naszego miasta: wszystko to byli obcy przybysze, którzy nie wiedzieli, co się u nas święci.

Kłós początkowo zlekceważył obwieszczenia. Jego odrodzenie duchowe dało mu jasny pogląd na świat i ufność, że wszystko musi iść ku lepszemu.

— Strachy na Lachy — mówił nam w gospodzie Chomika z miną wtajemniczonego. — Zobaczycie, że wszystko się skończy tak samo jak po śmierci Wintera.

Chwytałiśmy jego słowa łapczywie jako pokarm dla zamierającej nadziei, chociaż niektórzy kiwali na nie z powątpiewaniem głowami.

Owego pamiętnego dnia, najokropniejszego chyba w dziejach naszego miasta, Kłós został wysłany do Suchej Woli w sprawie kradzieży wieprzka przeznaczonego na kontyngent. Jego pewność siebie wzrosła do tego stopnia, że udał się tam sam jeden, uzbrojony w karabin i rewolwer. Na wszelki jednak wypadek od przystanku kolejki nie poszedł drogą, tylko miedzami, odmawiając różaniec.

Fikcyjne kradzieże bydła i nierogacizny, przeznaczonej na kontyngenty, były u nas na porządku dziennym. Stanowiło to jedną z form sabotażu wobec władz okupacyjnych. Kłós wiedział o tym dobrze i dawniej na pewno by nie puścił tego płazem, teraz jednak ku zdumieniu „poszkodowanego” gospodarza poprzestał tylko na spisaniu protokołu.

Dopiero wysiadłszy w drodze powrotnej na rynku spostrzegł, że miasto jest niepokojąco puste i że na rogach ulic stoją podwójne posterunki żandarmów. Podszedł do znajomego żandarma, Kursza. Był to folksdojcz, syn kolonisty spod Piotrkowa.

— Co się tu stało?

— Nic się jeszcze nie stało — wyszczerzył w radosnym uśmiechu swe spróchniałe, rzadkie ząbki Kursz. — Dopiero niedługo się stanie. Będą tu szlachtować pół kopy polskich świń. Ty też uciekaj, bo jak mi się spodoba, to cię zastrzelę na miejscu.

Był zupełnie pijany i język mu się plątał.

Kłós jednak przekonał się, że Kursz mówi prawdę. We wszystkich nerwach odezwało mu się zapomniane już nieznośne łaskotanie. Uczuł też ból brzucha, jak zwykle w chwilach grożącego mu niebezpieczeństwa. „Dlaczego ja nie rzuciłem tej służby w policji? Lepiej by mi było kamienie na szosach tłuc.” Był zdruzgotany i zrozpaczony. Zdawało mu się, że Bóg, któremu tak zaufał, zdradził go i wystawił na pośmiewisko. „Po co ja przysięgałem sobie, że nie wezmę do ust alkoholu?”

— Panie Kursz, pan, zdaje się, jest już równy. Nie masz pan czasem trochę sznapsa?

Żandarmowi zaświeciły się przekrwione oczy. Był to mizerny mały człowieczek o miniaturowym nosku. Podsunął Kłosowi pod nos lufę pistoletu maszynowego.

— Tu mam dla ciebie, polski skurwysynie, czterdzieści dwie kropelki.

Kłós wyszczerzył zęby w nieszczerym uśmiechu.

— Nie używam. Ale jeśli bym ja przyniósł szczeniaka i coś na zagrychę?...

Kursz z wściekłością zatrząskał zamkiem swojego pistoletu maszynowego.

— Szoruj stąd, mówię ci po dobru, jeśli nie chcesz zrobić „małych sierotami dzieci i młodej małżonki wdową”, jak mnie uczono w waszej świńskiej szkole w Piotrkowie. Musisz to znać, bo to napisał jakiś wasz głupi poeta, Mickiewicz czy Sienkiewicz...

— To nie przynosić?

— Przynieś, tylko prędko! Bo...

Kłós ruszył w stronę sklepika „cioci Sroki”. Był zdruzgotany zupełnie. „Po co ja się kajałem i obiecywałem poprawę? Wszystko przepadło. Niepotrzebnie zadawałem sobie tyle mąk, żeby powstrzymać się od wódki. Gdybym sobie kropnął jednego — inaczej bym się teraz czuł.”

Sklep był zamknięty, brama również. Okna zasłonięte storami. Kłós zaczął walić w bramę kolbą karabinu. Po pewnym czasie otworzył mu poblady stróż.

— A, to pan Kłós!

Odetchnął głęboko, jakby uniknął strasznego niebezpieczeństwa. Kłós wyminął go bez słowa i

skierował się do drzwi mieszkania pani Sroczyzny za drwalnią. Otworzył je bez pukania, minął kuchnię, pozostawioną w wielkim nieładzie i pełną nie pozmywanych naczyń, talerzy, przyborów do jedzenia i wszedł do pokoju, który przytykał do sklepu. Panowała tu idealna czystość i porządek. Trzy łóżka, wysoko zasłane i pokryte niebieskimi wzorzystymi kapami, stały pod ścianami. Między oknami znajdował się niewielki stół, nakryty białym koronkowym obrusikiem, na którym stały dwie płonące świece i posążek Matki Boskiej w śnieżystej sukni i błękitnym płaszczu. Przed Nią na wyblakłym dywanie klęczała pani Sroczyzna z małą Wandzią i modliły się gorąco. Na odgłos stąpania Kłosa obejrzały się i zerwały z klęczek. Wandzia jednym skokiem wbiegła w ciasny kąt za łóżkiem i ukryła się tam jak mysz na widok kota. Kłós zdążył dostrzec tylko jej rozszerzone oczy, otwarte usta i białą z przerażenia twarzyczkę. Jej ciotka była spokojna i zrezygnowa-

11 fi
na. Otarła sobie białym fartuchem pełne łez oczy i zapytała naturalnym głosem:

— Czym mogą służyć?

Kłosa dławilo w gardle jak przed ostatnią spowiedzią.

— Chciałem się napić — wykrztusił chrapliwie.

— Setkę?

— Niech pani da całą butelkę. Ile wypiję, to wypiję.

— Ale na zakąskę mam tylko jaja na twardo.

— Wszystko jedno. Tylko niech pani doda musztardy i jakich grzybków.

— Może tam jeszcze gdzie znajdę.

Zniknęła za drzwiami. Kłós usiadł przy stole pod ścianą, oddzielającą pokój od sklepu. Czapki nie zdejmował umyślnie. Zuchwałym i nienawistnym wzrokiem patrzył na uśmiechniętą pochyloną twarz Matki Boskiej i na spory krzyż drewniany, wiszący ponad Nią na ścianie. „Dlaczego ja nie rzuciłem służby w policji? Ale gdyby Bogu rzeczywiście zależało na mnie, gdyby rzeczywiście był miłosierny, to by mnie przecie mógł jakoś natchnąć.” Czuł się oszukany i zdradzony. Wstydził się teraz swojego upokorzenia przy spowiedzi.

Gdy „ciocia Sroka” nalala mu szklaneczkę, wypił ją jak wodę, bezmyślnie patrząc w okno wychodzące na resztki murów kamienicy Goldmana. Była ona rozbita przez bombę w pierwszych dniach wojny, a pozostałe mury rozebrali Niemcy i ludność cywilna, potrzebująca cegieł.

W mieście nadal panowała ponura, gniotąca piersi i paraliżująca serca cisza, przerywana od czasu do czasu pojedynczymi wystrzałami karabinowymi lub krótkimi seriami pistoletów maszynowych. Odgłosy te przenikały boleśnie w nasze ściśnięte wnętrzości. Rozumieliśmy przecie, że to hitlerowcy czy też ich ukraińscy służalcy polują na naszych rodaków, którzy się przypadkowo znaleźli na ulicy.

Kłós odczuwał to, tak jak i my wszyscy. Jego przygnębienie jednak przeradzało się w gniewną rozpacz. Rozumiał, że po tym, co się niedługo stanie, ze zdwojoną siłą wybuchnie nienawiść do Niemców i do tych wszystkich, którzy współpracują z nimi. I jego wyrok stanie się znowu aktualny. Znowu więc powstanie przepaść pomiędzy nim a społeczeństwem, które zaczęło już wyraźnie dopuszczać go do siebie. Pił jedną szklankę wódki po drugiej, ale alkohol nie szedł mu jakoś do głowy.

„Psiakrew, już chyba nigdy w życiu się nie upiję! Wypiłem przecie przynajmniej trzy setki — i nic. A może to jeszcze za wcześnie na jakiś skutek. Podobno wódka zaczyna działać dopiero po piętnastu minutach.”

W pewnej chwili daleko, w stronie dworca, podniósł się chóralny śpiew. Zrazu brzmiał cicho, niby brzęczenie szyb w czasie dalekiej bitwy, potem zaczął rósć i zbliżać się. Towarzyszyły mu coraz bliższe i głośniejsze uderzenia miarowe szeregu podkutych butów w kamienisty bruk. Po pewnym czasie można było rozróżnić przyśpiew najchętniej śpiewanej przez Niemców piosenki: „Haj-li, haj-lu, haj-la!” Wreszcie z ulicy 10 Lutego wkroczył na rynek pluton żandarmów. Szli ochoczo, w opiętych niebiesko-zielonkawych mundurach, ciężko bijąc butami i wysoko podnosząc nogi.

— Haj-li, haj-lu, haj-la — ha—ha—ha, ha—ha—ha!

Ich udany a hałaśliwy śmiech tym fałszywiej zabrzmiał wśród przepastnej ciszy, wiszącej nad

całkowicie pustym miastem.

Był to pluton egzekucyjny. Ustawił się w dwuszeregu naprzeciw ruin domu Goldmana. Kilka szcęknięć komendy i znowu nastąpiło milczenie.

Kłós pił.

Teraz zaczęły gdzieś daleko szumieć i warczeć silniki samochodowe. Początkowo słyhać je było w ulicy 10 Lutego, później jednak warkot odezwał się również w ulicy Słowackiego, przy której mieściły się urzędy, oraz na Warszawskiej. Zdawało się, że chmury niosące burzę ściągają ze wszystkich stron na rynek.

Z ulicy Słowackiego wysunęły się trzy lekkie, kryte samochody osobowe. Zatrzymały się naprzeciw okien mieszkania pani Sroczyń, o jakie sto kroków, tuż obok prawego skrzydła plutonu żandarmów. Zaczęli z nich wysiadać dygnitarze z administracji niemieckiej w żółtych mundurach SA i w szarych SS, w sztywnych czapkach o mocno zadartych z przodu denkach, z oznakami na nich czarnymi, białymi, srebrnymi i złotymi. Niektórzy z czerwonymi opaskami, zaopatrzeni w czarne wężowiska swastyk, w białych krążkach na lewym ramieniu, gromadzili się leniwie i niezdarnie, nadmiernie nadęci ciężko unosili niedbale powyciągane prawice w odpowiedzi na powitanie prężącego się wśród wrzasku komend plutonu egzekucyjnego. Wszystko to w ich oczach miało oznaczać majestatyczną powagę. Stanęli nieskładną grupą, milczący, o twarzach, którym usiłovali nadać wyraz drewniany, tak nie pasujący do ich policzków pulchnych, rumianych i błyszczących jak wyroby wędliniarskie.

Równocześnie po przeciwnej stronie w ulicy Warszawskiej, obok kościoła, ukazał się wielki samochód ciężarowy, pełen żołnierzy. O ile Kłós mógł dostrzec z dużej odległości, mieli oni szare mundury, które mogły oznaczać esesmanów. Stojący na posterunkach u wylotu ulicy żandarmi wybiegli naprzeciw z podniesionymi rękami krzyżąc:

— Halt! Halt!

Samochód zatrzymał się. Zaczęła się wrzaskliwa kłótnia. Z ruchów rąk żandarmów można było wnosić, że wskazywali oni, którądy należało rynek okrążyć. Ale esesmanom nie spieszyło się widocznie za bardzo. Z drugiej strony nie chcieli widocznie pominąć sposobności nasycenia swoich rozwiniętych przez odpowiednie wychowanie instynktów sadystycznych widokiem tego, co się miało niedługo rozegrać, bo większość z nich zaczęła wyskakiwać z samochodu i zbierać się za łańcuchem posterunków. Niektórzy przedostawali się nawet okólnymi drogami do wylotów innych ulic, żeby znaleźć miejsca w pierwszych rzędach.

Tymczasem hałas silników rósł. Wreszcie z ulicy 10 Lutego zaczął wyjeżdżać cały tabor samochodów ciężarowych. Na czele znajdowała się odkryta ciężarówka z grupą żandarmów i z karabinem maszynowym, wycelowanym do przodu; potem szły trzy zakryte, zwane przez nas „budami”, na końcu znów eskortująca z karabinem maszynowym, skierowanym do tyłu. Żandarmi wyskoczyli pierwsi i jęli wyciągać z dwóch „bud” skazańców, otaczając ich wieńcem „rozpylaczów”, bijąc ich swoim zwyczajem kolbami i popychając. Wreszcie ustawili ich z boku przed kościołem, tuż pod figurą Matki Boskiej, która z wysokiego cokołu spoglądała na wszystkich z uśmiechem anielskiej radości, wyciągając dłonie łaskawie i miłosiernie.

Z trzeciej budy wyszła gromada wynędzniałych Żydów, zarośniętych, o oczach zapadłych w czarne oczodoły. Mieli oni ładować trupy na samochód.

Spośród więźniów wyróżniał się swym olbrzymim wzrostem i postawą kierownik Rząddek. Rozglądał się on na wszystkie strony z jakąś gniewną ciekawością. Inni skazani zachowywali się spokojnie i obojętnie, jakby nie zdawali sobie sprawy z oczekującego ich losu. Tylko jeden z nich, w którym Kłós poznał lekarza z Lemieszowa, Wojtyrę, był blady jak papier i płakał rzewnie, przyciskając obie pięści do piersi. Był to człeczyna mały i szczupły. Poza tym Kłós nie dostrzegł nikogo z bliżej znajomych! Ani swego ojca, ani restauratora Chomińskiego, którego w ostatniej niemal chwili rodzina zdołała wykupić za sto czy sto pięćdziesiąt tysięcy złotych. Taka mniej więcej była w owym czasie cena życia ludzkiego. Zamiast niego wyznaczono na śmierć jakiegoś młodego robotnika z Lemieszowa. Wielu w naszym mieście miało nawet za złe Chomińskiemu, że — jakby powiedzieć — żyje cudzym życiem, tłumaczył się on jednak, że niczego o zabiegach rodziny nie wiedział, że poza tym jego wola, gdyby nawet mógł ją w więzieniu wyrazić, nic nie

znaczyła i że w końcu więzień, którego wyznaczono zamiast niego, wcześniej czy później zostałby i tak skazany na śmierć według wszelkiego prawdopodobieństwa. Były to dowody, które przekonały wielu. Zresztą Chomiński i tak nie uniknął swego losu, już bowiem po powstaniu warszawskim został aresztowany przez gestapo i wszelki śluch o nim zaginął. Po wkroczeniu Rosjan w 1945 roku odkryto wiele mogił zbiorowych w okolicy, kierując się różnymi pogłoskami, ale ciała jego dotychczas nie znaleziono.

Dopiero po ukończeniu wszystkich przygotowań na rynek wsunął się szybkim ruchem mały samochódzik. Wyskoczył zeń lejtnant Aschel, mistrz ceremonii czy też jakby kapłan tej uroczystości mordowania wrogów narodu niemieckiego. Był to młodzieniec lat dwudziestu dwóch, wysoki, szczupły blondyn w mundurze SS z trupią główką na czapie. Z zawodu był fryzjerem. Pełen dumy obszedł zgromadzonych z wygiętą dłonią, uniesioną do góry. Szereg ramion wyciągnął się również ku niemu. Wydał jakiś rozkaz. Kilku żandarmów skoczyło ku skazańcom i pięciu z nich zaczęło popychać ku ruinom. Szli posłusznie i obojętnie, tylko kierownik Rządka zaczął stawiać opór. Podniósł się wrzask. Czterech Niemców rzuciło się nań jak psy na niedźwiedzia.

Kłós drżącą ręką nalał sobie szklaneczkę wódki i wypił ją jednym łykiem. Nie przestawał jednak ani na sekundę patrzeć na to, co się działo na rynku.

Czterech więźniów ustawiło się w ruinach pod ścianą sąsiedniego domu, tyłem, trzymając ręce w górze. Kierownika Rządka wlokło dwóch Niemców pod ręce. Trzeci trzymał mu przy plecach lufę pistoletu maszynowego. Jeszcze inni tłoczyli się wokół, krzycząc i bijąc opornego okutymi kolbami.

Naraz kierownik określił się błyskawicznie dokoła własnej osi, aż trzymający go pod ręce żandarmi frunęli niby skrzydła obalając tłoczonych się kolegów. Za chwilę ukazał się w jego rękach pistolet maszynowy. Powstał przeraźliwy ryk jakby gromady dzikich zwierząt, sparzonych ukropem. Równocześnie zerwała się gorączkowa, zajadła strzelanina z karabinów, rewolwerów i pistoletów maszynowych. Szybkie wybuchy granatów ręcznych wstrząsnęły szybami w oknach, a nad wszystkim zagórował nieprzerwany łomot karabinu maszynowego.

Kłós patrzył w okno szeroko otwartymi oczami. Widział kłębiący się i wirujący tłum żandarmów, esesmanów, urzędników, więźniów! Widział, że cały rynek pokrywa się szybko powalonymi ludźmi w zielonkawych, szarych, brunatnych i czarnych ubraniach; widział jasne ogniki wystrzałów, migające ze wszystkich stron; widział rozpryskujące się gwałtownie na bruku żółtawe chmury dymu granatów ręcznych — ale w żaden sposób nie mógł wymiarkować, co się dzieje i kto do kogo strzela.

Nagły warkot skierował jego uwagę w stronę ulicy Warszawskiej. Zatrzymany niedawno samochód esesmanów ruszył raptownie w rynek, bijąc szybko z karabinu maszynowego. Żandarmi zamykający dostęp zielenili się powaleni na bruku i na rogach chodników. Esesmani roili się na rynku błyskając raz po raz ognikami wystrzałów. Niektórzy przyklekali albo nawet kładli się na ziemi. Oba zaopatrzone w kulomioty samochody żandarmskie płonęły buchając wielkimi kłębami czarnego dymu.

Kłós w dalszym ciągu nie rozumiał, co się dzieje. Chwycił tylko karabin i odbezpieczył go uroczyście. Pani Sroczyzna przykucnęła pod parapetem okna, szepcząc żarliwą modlitwę. Mała Wandzia, która wyszła już dawniej ze swego ukrycia, przycisnęła się do ściany obok ciotki, tuląc z całej siły oba łokcie do piersi, a piąstki do podbródka. Kłós w przelocie musnął wzrokiem jej zęby, przygryzające górną wargę, oraz nieruchome oczy, wpatrzone w niego. „Czego ona się tak mnie boi? Ach, prawda, strzelałem do niej po pijanemu!”

W tej chwili zatrzęsły się ściany domu, zabrzęczały szyby, wylatujące z lamentem na podłogę, i tynk z przeciwległej ściany zaczął pryskać na wszystkie strony, napełniając izbę białym pyłem. Kłós instynktownie przykucnął obok „cioci Sroki”, zaraz jednak wyrzwał ponownie, wystawiając ostrożnie lufę przez wybite okno, aby sprawdzić, skąd pochodziła ostatnia seria karabinu maszynowego. „Ciocia Sroka” chywy- ciał go oburącz za łokieć.

— Niech pan nie strzela, panie Kłós! Niech pan nie strzela! — zaszepiała w najwyższym przerażeniu.

Odrzącił ją krótkim ruchem. Pałał żądzą boju. Żeby tylko dowiedzieć się, gdzie nieprzyjacieli!...

Środek rynku był pusty, nie licząc trupów, które wały się po nim gęsto. Po prawej stronie stały samochody, z których dwa ciągle płonęły, zasnuwając ciemnym dymem tę część pobojuwiska. Spoza taboru błyskały ogniki strzałów ukrytych tam Niemców. Po lewej stronie grupka niemieckich dygnitarzy powiatowych w największym przerażeniu szturmowała do zamkniętej bramy kamienicy. Dotychczasowa powaga i nadętość opuściły ich całkowicie.

Naraz z okien zaczęły lecieć jakieś przedmioty i jakby strumienie wody. Była to jednak benzyna. Rozległ się nieludzki wrzask. Jeden z urzędników biegł środkiem w płonącym ubraniu, wyjąc zaiste jak człowiek palony żywcem. Inni przemykali się niemal na czworakach pod ścianami. Znowu granat ręczny błysnął na bruku w rudym obłoku dymu. Spoza samochodów zaczęły wybiegać szybko jakieś postacie w kierunku ulicy 10 Lutego. Kłowski wydało się, że w mieście wybuchło powstanie. Przypomnił sobie głoszone powszechnie hasło: „Nie damy się wymordować!” Poczul również nieprzewycięzoną chęć ucieczki. Najpierw jednak skierował karabin w stronę kamienicy, która tak niegościnnie przyjęła urzędników niemieckich i zaczęła strzelać raz po raz, aż się cały wstrząsał od kopnięć kolby.

— Jezus, Maria! — zakrzyknęła pani Sroczyzna.

Kłós odskoczył za ścianę, wyrzucił pusty magazynek, załadował karabin ponownie i runął z mieszkania w podwórze. Stamtąd przedostał się przez niski płotek do ogrodu i potem przez drugi jeszcze ogród na róg ulicy 10 Lutego.

Niemcy uciekali tędy w popłochu, wrzeszcząc, jęcząc i lamentując głośno.

Kłosa zawsze dziwiło, że ten „naród panów” posiadał tak niesłychanie mało arystokratycznej wstrzeźliwości, jeśli chodzi o maskowanie swoich uczuć i nastrojów, zwłaszcza takich jak strach i nieprzytomny gniew. Zagadnął raz nawet o to Krańca. Ten początkowo wsiadł nań w nader grubiański sposób, wreszcie jednak uspokoił się i zaczął mu wyjaśniać z pogardliwą pobłażliwością:

— Tak, jeśli się jest panem, to się nie potrzebuje na nikogo oglądać i z nikim liczyć. Nam Niemcom nie zależy na tym, żebyśmy się komu podobali, żeby nas lubili i podziwiali. Wystarczy, że się nas wszyscy boją i przez to muszą słuchać. Wy, Polacy, myślicie tylko, jak się komu przypodobać, jak się podlizać, jak się zasłużyć, żeby was chwalili i podziwiali. Dlatego wszyscy kopią was w zęby i mają za psy parszywe. Choćbyśmy tę wojnę przegrali, tak żeby nawet nie zostało ani kawałka ziemi niemieckiej — to jeszcze z nami więcej się będą liczyli niż z wami.

Mimo to Kłowski wydało się teraz, że uciekający żandarmi zbyt daleko posunęli swoją pańską niedbałość. Zewsząd słyszał okrzyki:

— Hilfe! Hilfe! Um Gottes willen!

— Alles kaputt!

Niektórzy głośno wymyślali na Hitlera, inni płakali rzewnie jak ukarane dzieci, a wszyscy byli bladzi, drżący i mieli obłąkane oczy.

Kłós bądź co bądź nie podlegał tak łatwo instynktom stadnym, poza tym alkohol coraz bardziej uderzał mu do głowy, więc zamiast cofać się, zaczął przekradać się chyłkiem pod ścianami w stronę rynku. Ostrożnie wyjrzał zza rogu, a potem wysunął lufę karabinu. I od razu zrozumiał, co się działo.

Na pobojuwisku roili się esesmani z ulicy Warszawskiej. Biegli oni z karabinami i rozpylaczami, żeby opanować opuszczone żandarmskie samochody, przynajmniej te, które jeszcze nie spłonęły.

Kłowski widok ten wydał się zabawny i wzniosły, ale nieprawdziwy jak obraz filmowy.

Przypomnił sobie wiersz z Iliady, czytany w szkole:

Muzy, które dzierżycie dom Zeusa święty,
Mówcie, jak płomień greckie zapalił okręty!

Naraz wstrząsnęła nim nienawiść. Wśród nacierających, mimo przebrania niemieckiego, rozpoznał bladą, trójkątną twarz Mietka Sroki oraz kanciaste śniade oblicze Kapuściaka. „Oni tu są! Widziałem! A więc to napad polskich bandytów, poprzebieranych za Niemców! Widać kierownik Rządek był ważną u nich figurą, więc przybyli, żeby go ratować od śmierci...”

Kule karabinowe gwizdały fałszywie, jęczały i brzęczały jak pękające sprężyny; rozpylaczowe i cekaemowe ćwierkały zajadle niby rozjuszone a potężne wróble, ale Kłós nie zważał już na nic.

Pewnym ruchem skierował karabin w stronę najbliższej gromady napastników, wśród której zniknęli ujrzeni na moment znajomi młodzieńcy. Właśnie jeden z nich wdzierał się z wysiłkiem do nakrytego brezentem samochodu. Kłós strzelił. Rzekomy esesman zwinął się błyskawicznie i obsunął między tylne koła. Dwaj inni skoczyli mu na pomoc. Drugi strzał Kłosa powalił następnego. Reszta towarzyszy nie ulękła się jednak i zaczęła podnosić ugodzonych. Kłós wycelował znowu, ale w tej chwili kilkanaście kul zagwizdało i trzepnęło w róg kamienicy tuż obok jego twarzy. Instynktownie przywarł na sekundę do ściany. Gdy znowu wyjrzał, rzekomi esesmani uchodzili już, unosząc swoich rannych. Opanował go szal bojowy i radość zwycięstwa. „Co to znaczy umieć strzelać!” Przypomniała mu się ogólna opinia, panująca w Polsce po kampanii wrześniowej: „Niemcy nie umieją strzelać”. Uczuł pychę, że nie jest Niemcem i że w dodatku jest laureatem polskiej szkoły podoficerskiej. Walił teraz bez przerwy, przyciskając kolbę mocno do ramienia. Sam nie wiedział, kiedy wyrzucał z zamku wystrzelone ładunki i zakładał świeże magazynki. Za sobą również słyszał coraz silniejszą strzelaninę i coraz bardziej bojowe nakrzykiwania Niemców. Widocznie przechodzili do przeciwnatarcia. „Polscy bandyci” cofali się ponad wszelką wątpliwość. Pochowali się co prawda za samochodami, ale ogień ich słabł z każdą minutą. Kłós walił w ich kierunku z coraz większą szybkością. Nie czuł już zupełnie uderzeń kolby. Upajało go powodzenie, a zarazem wódka wypita u „cioci Sroki” coraz cieplejszym prądem ogarniała mu mózg. Coraz też mniej uświadamiał sobie swoje położenie. Wszystko zresztą, co się działo później, było dla niego jakby jakimś żalonym snem.

Pamiętał, że cały rynek napelnili wreszcie Niemcy z samym komendantem gestapo, lejtnantem Aschelem na czele. Lejtnant Aschel klepał go po ramieniu, ukazując w uśmiechu wszystkie zęby. O coś go wypytywał. Kłós odpowiedział tylko: „Kapuściak i Mietek Sroka”. Potem szturmowano kolbami drzwi do sklepu „cioci Sroki”. Otworzyła ona sama i powstała na nich z wielkim wrzaskiem w świetnym języku niemieckim. Jakiś żandarm — może Kursz — chwycił ją za gardło i zaczął bić po twarzy w błyskawicznym tempie, raz za razem. Dopiero po jakimś trzydziestym chyba uderzeniu „ciocia Sroka” zaczęła głośno szlochać krztusząc się własną krwią. Wtedy sam lejtnant Aschel, przestrzegający dotychczas chłodnej, nawet lodowatej powagi, kopnął ją niespodziewanie w kolano swym wysokim butem o nieskazitelnym połysku. „Ciocia Sroka” padła. Wtedy naskoczyli na nią wszyscy pozostali, skacząc po brzuchu, po żebrach, po twarzy... Tylko Kłós stał oglupiały. W pierwszej chwili zdawało mu się, że koniecznie powinien iść z pomocą mordowanej w tak bestialski sposób. Dopiero później przysły mu do głowy bardziej przytomne myśli. Zresztą pani Sroczyzna milczała już zupełnie jak mordowana owca.

Potem ruszyli wszyscy na podwórze. Kłós usłyszał jakiś szelest w drwalce. Zaczął strzelać z karabinu w ułożony stos urąbanych drewn. Wywalił cały magazyn, a potem założył drugi. W tej chwili zjawilo się kilku Niemców i wywlekło z kąta jakiś kształt, który wśród śmiechu położyli przed nim.

Była to Wandzia.

Wysoki młodzieńcy esesman chwycił ją za sukienkę jak kota za skórę i podniósł.

— Na! — zawołał rozglądając się wokoło. — Hier ist der gefährlichste polnische Bandit!

Wszyscy Niemcy wybuchnęli gromkim śmiechem. Tylko Kłós się nie śmiał. Oczy miał błędne i zamglone od wódki. Myśli rozpiezchły mu się we wszystkie strony. Ciagle jeszcze nie mógł się połapać, co się dzieje. Może dlatego, że w uszach dzwoniło mu nieprzerwanie po bitewnych hałasach i wszelkie głosy dochodziły go jakby zza jakiejś grubej i miękkiej kotary, pochłaniającej wszystko.

Wandzia zwisała bezwładnie jak upolowany ptaszek. Miała szyję zupełnie wiotką, opuszczone nagie ramionka. Nóżki w brązowych pończoszkach, podciągniętych wysoko na gołe uda przy pomocy niebieskich podwiązek, przypominały kończyny lalki uszytej z galganków. Tylko dwa cienkie warkoczyki, zawiązane na błękitne kokardki, sztywno sterczały jej na boki. Jasnoczerwona krew szybkimi kroplami skapywała obficie na podłogę.

Tymczasem Niemcy plądrowali mieszkanie, a zwłaszcza bufet, w poszukiwaniu wódki i jedzenia. Młody esesman ujrawszy to, rzucił małego trupka Wandzi na stratowane zwłoki jej ciotki i przyłączył się do rabusiów. Wtedy zbliżył się Kursz. Swój pistolet maszynowy miał przewieszony

przez plecy. W jednej ręce trzymał nie dopitą szklanekę wódki, a w drugiej olbrzymi kawał kiełbasy krakowskiej, którą żuł otwierając szeroko usta jak paszczę kajmana i ukazując aż po dziąsła swe rzadkie spróchniałe kiełki. Końcem buta podważył martwe ciało i przewrócił je na wznak. Kłós zauważył, że dziewczynka miała otwarte oczy i usta, w których białeły dwa górne zębki. Równocześnie spostrzegł, że jego wyglansowane buty podmywa strumyk krwi, wyciekającej spod trupa pani Sroczyń. Zemdlilo go, zwłaszcza że Kursz w dalszym ciągu jadł otwierając niechlujnie gębę, aż widać w niej było obracającą się różową miazgę.

„Nie mógłbym tutaj jeść mięsa za nic w świecie!”

Wyszedł na dwór przez rozwalone drzwi.

Po lewej stronie rynku oddział esesmanów przeszukiwał sąsiednią kamienicę oraz dwa parterowe drewniane domki. Ostatni płonął już wśród przezroczystego obłoku szarego dymu. Również z dwóch okien kamienicy wydobywał się czarny dym baniastymi kłębami. Czasami błysnął wśród nich czerwony kiel płomienia. Coraz postukiwały wystrzały pistoletowe. Czasami grzmotnął wybuch granatu ręcznego.

Jakiś młodzieńki esesman cofał się tyłem powoli i ostrożnie ku środkowi rynku. W prawicy trzymał granat ręczny, który odbezpieczał lewą ręką. Naraz zamachnął się i rzucił pocisk w zamknięte okno na pierwszym piętrze kamienicy. Odezwął się brzęk rozbitej szyby, niedługo później wystrzelił płomień rudego dymu i rozległ się przyciszony nieco huk. Esesman rozejrzał się wokół z głupkowatym uśmiechem, jak człowiek, który nie mając nigdy w ręku broni, zajął pierwsze miejsce na zawodach strzeleckich. Z wybitego okna dobiegł najpierw chóralny krzyk dzieci, a potem płacz kobiety.

Z rozwalonej bramy wyszła grupka esesmanów. Jeden z nich z pistoletem w prawej dłoni trzymał lewą ręką za kołnierz kilkuletniego malca tak silnie, że kurtka chłopca zebrała mu się pod pachami. Zaraz za tym dwojgiem dwóch innych esesmanów prowadziło pod ramiona matkę. Trzeci postępował z tyłu z rozpylaczem.

Kłós znał dobrze tę kobietę. Była to pani Ambroziak, z domu Grassówna, uchodząca za jedną z wybitniejszych piękności naszego miasta. Co najpierwsza młodzież dobijała się o jej względy. Jej ojciec był bogaczem: miał fabrykę wód gazowanych przy ulicy Warszawskiej. Jej mąż, zawodowy porucznik-łotnik, znalazł się po upadku Warszawy w Londynie. Małżeństwo to zresztą stało się na parę lat przed wojną przyczyną niejednej cichej tragedii.

Pani Ambroziakowa szła spokojnie, uśmiechnięta, choć blada. Ciągłe widać wierzyła w potęgę swoich wdzięków. Zresztą, jak wszystkie kobiety piękne i zalotne, nie obawiała się mężczyzn. Czuła się wśród nich bezpieczna mając świadomość niezwalczonej przewagi nad nimi.

Jej synek, siedmioletni Zbyszek, odwracał ku niej z trudem bladą z przerażenia twarzyczkę.

—? Mamo, mamo, ja nie chcę!...

— Nic się nie bój, kochanie! Ten pan ci żadnej krzywdy nie zrobi.

W tej chwili mały pochód znalazł się w ruinach domu Goldmana. Ukazał się krótki błysk wystrzału i mały Zbyszek zawisł skulony w dłoni esesmana. Pani Ambroziakowa krzyknęła:

— Ach!

Był to jednak okrzyk niezbyt głośny i jakby również zalotny. W ten sposób młode kobiety udają, że są zaskoczone: „Ach, jak mnie pan przestraszył!” — choć nie czują się przestraszone ani nie doznały żadnej niespodzianki.

Ale zaraz potem błysnęło tuż za jej głową z lufy rozpylacza i pani Ambroziakowa położyła się obok syna na ubitym różowym pyle rozwalonego domu.

W tej chwili Kłós spostrzegł, że na pokrytym ciałami poległych rynku przybyło sporo nowych trupów. „Ten w brązowym szlafroku, to chyba aptekarz, magister Kuliński, a ta baba w fartuchu, to chyba stara Tymoszenkowa, a ten granatowy — to rymarz Bagnowski, a ten w jasnych spodniach — to młody Pajderszczak... Co, u diabła! Te szwabki chcą widocznie całe miasto wymordować!”

Uczuł lęk i skręcił w ulicę 10 Lutego. Zaraz za rogiem natknął się na lejtnanta Aschela. Stał on przed szeregiem czterech czy pięciu żandarmów i wykrzykiwał coś groźnie po niemiecku. Naraz podskoczył do wyprężonych podwładnych i zaczął ich bić po twarzy urękawiczoną prawą ręką. Ramię trzymał przy tym sztywno, tak że musiał obracać się nieco wokół swojej osi, żeby

dosięgnąć ich szczęk wewnętrzną stroną dłoni. Nie było mowy, żeby im mógł w ten sposób wyrządzić jakąkolwiek krzywdę, była więc to tylko jakaś egzekucja dla formy. Mimo to Kłós chciał się cofnąć przezornie. Ale lejtnant już go dojrzał.

— Kłós! Kłós! Komm hier! Chodź tu!

Kłós postąpił kilka kroków, zmartwiła go przerażenia.

Aschel podskoczył ku niemu i zaczął go klepać po policzku dłonią w czarnej rękawiczce. Twarz wykrzywiła mu się w niespodziewanym uśmiechu.

— Du bist ja ein braver Kerl! Ein braver Kerl! Dzielny chłopak! Ty nie uciekał! Ty jeden strzelał. Warum bist du kein Volksdeutscher? Dlaczego nie jesteś folksdojcz?

Kłós był całkowicie ogłupiały.

— Panie lejtnancie... melduję posłusznie... Folksdojcz?... Ja... owszem... ale ja nie mam papierów...

— Papierów?... Papierów?... Ah, es ist Dummheit! To jest głupota! Tu są papiery!

Wskazał ręką na pokryty trupami bruk.

— Przyjdź do mnie jutro. Acht Uhr. Ósma godzina. Verstanden? Rozumiesz? Będziesz folksdojcz.

— Tak jest, panie lejtnancie.

Wyprężył się, aż mu o mało kiszki nie popękały. Zrozumiał rzeczywiście. Zostanie folksdojczem. Cała potęga Rzeszy Niemieckiej stanie w obronie jego nietykalności. „Niech teraz spróbują mnie zastrzelić!”

Zrobił w tył zwrot i ruszył z powrotem przez zasłany trupami rynek. Wszystkie domy z lewej strony płonęły już szeroko. Do ruin prowadzono znowu całą gromadę ludzi na rozstrzelanie. Ciągłe rozlegały się krótkie serie pistoletów maszynowych, głębokie huki granatów ręcznych, wściekłe naszczekiwanie Niemców, błagalne głosy skazanych, płacz kobiet i pisk dzieci. Tylko mozaika trupów leżała nieruchoma i spokojna. A nad nią Najświętsza Dziewica z wysokiego cokołu wyciągała łaskawie dłonie, uśmiechając się z anielską radością w oczekiwaniu boskiego macierzyństwa.

Kłós spojrział na Nią z pogardą: „Miała się też z czego cieszyć. Ze porodziła jeszcze jednego Człowieka? Przecież i tak Go Jej zamordowali”.

9 _ Wyrok na Franciszka Kłosa

Najstarsza mówiona tradycja naszego miasta sięga czasów pierwszego najazdu szwedzkiego. Pozostały po nim na przedmieściu Glinianki usypiska, zwane powszechnie okopami szwedzkimi. Ale archeolog z Warszawy, profesor uniwersytetu — niestety, zapomniałem jego nazwiska — dowiedział, że jest to dzieło z czasów nierównie wcześniejszych. Miało tam stać wśród bagien grodzisko jeszcze pogańskie. Kto wie nawet, czy nie u nas miał swoją stolicę Masław, zbuntowany przeciwko Mieszkowi Gnuśnemu a pokonany przez Kazimierza Odnowiciela. Miałem nawet o tym odczyt przed wojną w związku rezerwistów. W każdym bądź razie nasza Brodnia nie przeżyła nigdy w dziejach takiej tragedii jak w październiku 1943 roku. Ominęły ją napady tatarskie, nie dosięgły jej najazdy litewskie, nie dotarła do niej konfederacja barska, w czasie powstania listopadowego poszła w ręce Paskie- wicza, dążącego na Wolę, bez boju. Rzeź ta więc była pierwszym straszliwym ciosem, który ją dosięgnął. I był to cios zaiste straszliwy. Nie znalazłbyś rodziny, która by nie opłakiwała swoich bliskich, tym bardziej, że w gruncie rzeczy niemal wszyscy byliśmy z sobą spokrewnieni czy spowinowaceni. Nic dziwnego: od tylu wieków młodzież nasza żeniła się prawie wyłącznie między sobą, a Niemcy wymordowali w tym dniu ze dwieście osób co najmniej. Nie dosyć na tym. Zaraz po pogromie zaczęły się masowe aresztowania. O uwięzionych w bardzo krótkim czasie przychodziły wieści ponure: albo śmierć, albo równoznaczny, jeśli nie jeszcze gorszy od natychmiastowej śmierci — obóz koncentracyjny. Między innymi wezwano również matkę Kłosa do Warszawy na Pawiak po odbiór rzeczy pozostałych po jej mężu. Nie było więc już wątpliwości, że nie żyje.

Starsza pani Kłosowa pojechała do Warszawy i przywiozła zniszczone całkowicie łachmany, spokojna i zimna jak zawsze. Uczęszczała też potem na msze i inne nabożeństwa jak zazwyczaj, bo

był to jedyny sposób, w jaki mogła przejawiać swą pobożność. Tyle tylko, że zamknęła się w sobie jeszcze mocniej. Jedyny jej świat zdawał się zamykać pod sklepieniem naszego kościoła. Nie można też było zarzucić niczego jej polskości. Gdy wspomiano przy niej, delikatnie zresztą, syna, odwracała swe szklane, zimne oczy.

— Syn? Nie mam żadnego syna! Jestem sierota. Mam tylko matkę, naszą Matuchnę Najświętszą i ojca na niebiosach, który jest Ojcem i Bogiem nas wszystkich.

Najwięcej tematów do rozmów dawała niespodziewana odsiecz w dniu egzekucji oraz zachowanie się kierownika Rządka, który zresztą według wszelkich danych został zabity w krytycznym dniu. Wielu z nas przeczuwało, że należał on do jakiejś tajnej organizacji, ale dopiero ostatnie straszne wydarzenia utwierdziły nas w tym przekonaniu.

— Skąd i dla kogo zjawili się w dniu egzekucji ci chłopcy z lasu, poprzebierani za esesmanów?

— I dlaczego na widok ich samochodu kierownik zaczął stawiać opór?

To były pytania, które stawialiśmy sobie na zwykłych zebraniach u Chomińskiego.

Poza tym oplakiwaliśmy krwawymi łzami ofiary.

Jeden tylko Kłós, nie wyłączając Niemców, którzy również mieli kogo oplakiwać, czuł się w tym dniu szczęśliwy i zwycięski. Został przecież folksdojczem, bo słowo lejtnanta Aschela wystarczyło całkowicie za nominację. Bawiąca bowiem u nas w Generalnej Guberni komisja antropologiczna uczonych niemieckich stwierdziła, że wszyscy Polacy są rasy germańskiej, i że o przynależności ich do narodu niemieckiego może całkiem wystarczająco stanowić opinia władz administracyjnych. W ogóle uznano, że ludność Generalnej Guberni aż po Bug są to spolonizowani siłą Wandalowie. Właściwi Polacy wywedrowali na Polesie, gdzie podlegli całkowitej rutenizacji.

Kłós wiedział o tym wszystkim, ale nie wyciągał z tego żadnych praktycznych wniosków, chociażby dlatego, że nie znał zupełnie niemieckiego języka. Teraz jednak po rozmowie z lejtnantem Aschelem otworzyły mu się nowe, nieznane widnokreśli.

Został, a przynajmniej miał zostać, folksdojczem. W jego obronie miała stanąć stumilionowa masa narodu niemieckiego. Cóż więc znaczy dla niego wyrok jakiejś nędznej, ściganej ze wszystkich stron i ukrywającej się lekliwie organizacji podziemnej?

Wrócił do domu upojony nie tyle alkoholem, ile radosną i rozstrzygającą wszelkie obawy nowiną. Żona przyjęła go radośnie. Była pełna lęku i niepokoju graniczącego z rozpaczą.

— Franuś, jesteś nareszcie!

Odebrała mu karabin, torbę służbową, pas z rewolwerem i posadziła na kanapie.

— Spróbuj, jaką świetną zupę pomidorową zrobiłam dla ciebie.

— Zupę? A nie masz jakiej zagrychy?

— Chcesz się napić?

Kłós błysnął okiem niedowierzająco. „Lodzian proponuje mi; wódkę?” Wydawało mu się to jakimś podstępem. „Przecie chyba widzi, że już jestem wlany?”

Tymczasem żona wydobyła skądś litr wódki i postawiła go na stole. Zaraz potem pogłaskała go po rękawie.

— Tak niepokoiłam się o ciebie. Wiesz przecie, co ci Niemcy wyprawiają.

Dzieci siedziały przy piecu kuchennym patrząc na ojca okrągłymi oczami. Kłós uśmiechnął się do nich swym niezdarnym uśmiechem.

— No, i czego się, pętaki, boicie?

Żona była już przy nim i obejmowała go za szyję.

— Och, Franuś, nawet nie masz pojęcia, cośmy przeżywali!

Kłós nalewał sobie wódki do szklanki.

— Wszystko fume! Będzie dobrze! Będzie tak dobrze, jak jeszcze nigdy nie mieliśmy!

Żona tuliła swój policzek do jego.

— Och, Franuś, żeby to tylko była prawda! Nie masz pojęcia, cośmy dzisiaj przeżyli. Nie przeżyłabym drugiego dnia podobnego. I dlaczego ciebie tak długo nie było? Już myślałam, że ci się coś złego stało. No, pij!

Kłós wypił i zagryzł ogórkiem.

Chwilę czekał wachając chleb, wreszcie odetchnął głęboko i wybuchnął rozradowany.

— Nic się nie bój, Lodziu! Nie będę już policjantem.

— O moja Matko Najświętsza! Wysłuchane są moje modły. Może się jeszcze napijesz? Tuliła się do męża jak do jedynej ostoi w tym strasznym dniu, jaki nawiedził nasze miasto. Kłós uderzył pięścią w stół.

— Nie będę już więcej polskim policjantem! Będę żył i mieszkał, gdzie mi się spodoba. Zostanę folksdojczem.

— Folksdo jeżem?!

— Nic się nie odzywaj, głupia! Nie znasz się na polityce. Można być folksdojczem, a tu — wskazał ręką na serce — w środku, czuć się Polakiem.

— Ale folksdojczem?!

— Zamknij gębę!

Wypił wódkę i zaczął łapczywie jeść zupę.

Żona wraz z krzeselkiem przysunęła się ku niemu.

— Nie gniewaj się, Franuś. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak strasznie było bez ciebie. Już drugiego takiego dnia nie przeżyję naprawdę. Ale folksdojczem?...

Kłós znowu się napił.

— No, już! Dobrze! Nie będę z tobą gadał. Muszę się położyć i trochę przespać.

— Twoje łóżko jest gotowe. Tam, w pokoju.

— To dobrze. I weź dzieci za mordę, żeby nie hałasowały. Daj mi też coś do picia, jakiejś kawy czy wody. Odczep się i ruszaj się trochę.

Zerwał się i ruszył ku drzwiom, ale zatoczył się z lekka i chwycił za framugę.

— Pamiętaj, żeby mnie nikt nie budził.

Rozwalił się na łóżku, tak jak stał, w ubraniu i w butach. W głowie kręciło mu się tak nieznośnie, że ciągle obawiał się mdłości. W oczach stały mu czarne kręgi, które, gdy zamknął powieki, stawały się jasnozielone.

„Psiakrew! Znowu się upiłem”.

Mimo to czuł ogromną, wypełniającą go radość. Jest wreszcie nadzieja, że uniknie wyroku.

Zostanie przecież folksdojczem, czyli — bądź co bądź — Niemcem, a za śmierć Niemca grozi straszna zemsta, taka jak dzisiaj. Poza tym przy protekcji lejtnanta Aschela, który najwidoczniej go sobie upodobał, będzie mógł się przenieść do innej miejscowości, tam, gdzie go nie znają. Jeśli nauczy się po niemiecku, będzie mógł nawet zostać rajchsdojczem i wywędrować do Rzeszy.

Ukołyszany tymi marzeniami zasnął.

W pewnej chwili ktoś go zaczął szarpać za ramiona. Z trudem uniósł powieki.

Ujrzał nad sobą twarz żony. Siedziała przy nim na łóżku z pomarszczonym czołem i z wygiętymi ku górze brwiami.

— Franuś — zaczęła cicho, ale z przejęciem. — Powiedz mi, na miłość Boską, czy to prawda, żeś zamordował małą Wandzię od pani Sroki?

Z wysiłkiem zbierał myśli. Wreszcie kopnął lewą nogą w powietrze.

— Paszoł won, do jasnej cholery! Czego mnie budzisz?

Żona nie ustępowała. Jej palce coraz silniej wpijały się

w jego ramiona. Brwi były stężone w pełen rozpaczy zygzak.

— Franuś, pytam się po raz ostatni, czy to prawda, żeś zamordował Wandzię od Sroczyzny?

Zerwał się wściekły. Usiadł na łóżku i potoczył nieprzytomnymi jeszcze od snu oczami.

— Paszoł won, mówię! Zamordowałem! Tak! I ciebie zamorduję, jeśli mnie jeszcze raz obudzisz!

— Więc zamordowałeś?

— Tak!

— Dobrze.

Odeszła bez słowa. Kłós opadł z powrotem na poduszki. Był zły, ale zarazem tak senny, że nie miał siły się podnieść.

Kiedy obudził się znowu, była już noc. Męczyło go pragnienie, wypił więc duży kubek wody, który żona postawiła mu przy łóżku. Potem długo rozmyślał. Ale rozmyślania jego były przyjemne. Za parę godzin zostanie folksdojczem i skończą się wszystkie jego troski i obawy. Skończy się

wreszcie ten podły, niemożliwy do zniesienia strach. Będzie mógł przecie opuścić Brodnię. Na pewno.

Zasnął.

Obudził się po raz trzeci z przeświadczeniem, że jest rano i że jest sam jeden w mieszkaniu. Coś mu się marzyły jakieś szepty żony z dziećmi. Zerwał się natychmiast i podniósł czarną zasłonę w oknie. Był słoneczny poranek.

Podsłoczył bosymi nogami do kuchni. Najwidoczniej rozebrano go w nocy, bo nie przypominał sobie, żeby się sam rozbierał. Otworzył drzwi.

Kuchnia była pusta.

Czuł najzupełniejszy spokój, aż sam się sobie dziwił. Wypił przecie wczoraj sporo, a i w ogóle dzień wczorajszy mógł zdenerwować i wyprowadzić z równowagi nawet człowieka o stalowych nerwach.

Wiedziony instynktem, otworzył szafę z ubraniami. Znalazł tam tylko swoje osobiste rzeczy; ubrań żony i dzieci nie było. Zajrzał do bielizniarki — to samo. Skierował wzrok w górę. Na szafach stały zwykle walizki. Teraz brakowało trzech. Została tylko jedna, mała. Rzucił wzrokiem na łóżko żony. Obniżyło się znacznie, ale było dokładnie zasłane niebieską wzorzystą kapą.

„Zabrała koc i dwie poduszki.”

Dopiero teraz skierował się do stołu kuchennego. Stała na nim litrowa butelka wódki, talerz z ogórkami, drugi z boczkiem oraz wyplatany płaski koszyk z chlebem i z bułkami. Na chlebie widniała zapisana ołówkiem kartka.

Usiadł ciężko na wątlym składanym krześle drewnianym. Podsunął pod nos kartkę.

Najdroższy Franeczku! Wierz mi, że nigdy nie przestanę Cię kochać. Codziennie... Nie — codziennie, co godzina chyba modłę się za Ciebie, żeby Cię Bóg sprowadził w swoim miłosierdziu na właściwą drogę. Ale już nie mogę... Przebac mi, że Cię zostawiam samego, ale, widzisz, ja jestem Polką i nie chcę zostać folksdojczką. Ja jestem matką i nie mogę się pogodzić z tym, że Ty mordujesz dzieci w służbie niemieckiej... Obawiam się też o swoje. Przecież już raz chciałeś je mordować. Zresztą własna matka wyrzekła się Ciebie. Ale ja Cię nigdy kochać nie przestanę i zawsze, tak jak dotychczas, będę się modlić za Ciebie. Wierzę, wierzę mocno, iż Bóg najmiłosierniejszy i wszechpotężny wszystko jeszcze tak odmieni, że będziemy mogli znowu żyć razem, szczęśliwi. Nie myśl o mnie źle, bo ja zawsze jestem Twoja.

Lodzianka

Kłosa czytał list kilkakrotnie. Co skończył, to zaczynał od początku. Jakoś nie mógł się w nim dopatrzeć jakiegokolwiek sensu. Wreszcie zrozumiał i położył mocno zaciśnięte pięści na stole.

„Uciekła cholera, kurwa! Myśli, że nie znajdę dziesięciu na jej miejsce.”

Tak, uciekła, nie było co do tego najlżejszej wątpliwości. Chociażby to, że zostawiła wódkę na stole...

Machinalnie chwycił butelkę i nachylił ją do szklanki. Zapomniał jednak otworzyć. Sięgnął do korka, ale zatrzymał się i postawił z powrotem butelkę na stole.

„Nie, psia krew, nie będę pił!”

„Właśnie dlatego, żeby nic się nie stało tak, jak prze widy wała. Piję, kiedy mnie się podoba, a nie kiedy tobie si<' zechce mnie pozwolić! Myślała, kurwa, że upiję się z rozpa' czy!... Ha, ha, ha!”
Roześmiał się, rzeczywiście bowiem rzecz nie do wiary — czuł się niezmiernie lekko i beztrudnie
„Baba z wozu — koniom lżej” — to jest mądre przysłowii;

— Nie będę pił, bo muszę zaraz iść do lejtnanta Aschela — mówił do siebie głośno i wyraźnie.
— Tak, Franusiu, teraz się musisz umyć porządnie, ubrać i iść do lejtnanta Aschela. Zostaniesz folksdojczem, a tę kurwę niech tam gdzie piorun strzeli!

Mimo tych dawanych sobie rozporządzeń nie zmieniał postawy. Siedział nadal nieruchomy nad żoniną kartką. Naraz ze szczerym, choć niezmiernie bolesnym zdumieniem zauważył, że na zapisany papier, jedna po drugiej, spadają ogromne łzy i rozpryskują się w wieloramienne gwiazdy.

Lejtnant Aschel przyjął Kłosa nadspodziewanie prędko. Kazał mu czekać tylko tyle, ile było konieczne dla podtrzymania jego godności szefa gestapo na połowę powiatu. Lejtnant Aschel miał przecie zaledwie dwadzieścia dwa lata, musiał więc używać pewnych środków, żeby utrwalić u

podwładnych swoją powagę.

W jego pokrytym olbrzymim dywanem gabinecie, z galerią powiększonych fotografii wojennych, tworzących jak gdyby szlak na wszystkich ścianach i z górującymi nad wszystkim portretami Hitlera, Himmlera i Franka, Kłós zastał stojącego w kornej postawie Szwutkego oraz rudowłosą sekretarkę, siedzącą na biurku. Bose nogi w wysokich czerwonych koturnach trzymała oparte na poręczy fotela, w którym rozwalał się sam lejtnant Aschel. Była to — jak zauważył Kłós — jej stała poza wobec zwierzchników.

Ani ona, ani Szwutke nie obejrzel się na wchodzącego. Rozmawiali w dalszym ciągu o czymś widocznie zabawnym, bo sekretarka wybuchła co chwila głośnym chichotem, przechylając się to w tył, to naprzód. Kłós stał ciągle wyprężony wiedząc, że jedną z ulubionych póz buty niemieckiej jest niedostrzeganie tych, których się chce upokorzyć. W końcu jednak zaczął się zastanawiać, czy niedostrzeganie go nie trwa zbyt długo i czy nie należałoby się wycofać, żeby zjawić się kiedy indziej ponownie, gdy naraz lejtnant rzucił ku niemu okiem, a potem zaraz wyskoczył zza biurka i zaczął go klepać po ramieniu mówiąc coś szybko i głośno po niemiecku.

Szwutke obrócił bardzo nieznacznie twarz w tę stronę i powiedział jakby niechętnie:

— Pan lejtnant chwali cię, żeś nie uciekł z rynku i żeś sam jeden stawiał czoło bandytom.

Aschel słuchał tego tłumaczenia wykręcając Kłosowi palcami dość boleśnie ucho i przytakując.

— Ja, ja, ein braver Kerl!

Naraz puścił nieszczęsny organ słuchu Kłosa i znowu palnął go w ramię.

— Warum bist du noch kein Volksdeutscher? Dlaczego nie jesteś folksdojczem?

Kłós wyszczerzył wszystkie zęby w uśmiechu zakłopotania.

— Brakuje mi potrzebnych papierów...

— Was? Papiere? Ah, es ist Dummheit! To jest głupota! Ist nicht nötig! Nie musi być.

— Ale ja nawet nie rozumiem po niemiecku.

— Tyż głupota! Raz, dwa nauczyć! Na! — klepnął go po ramieniu, aż Kłós zachwiał się na nogach.

— Jutro ty będziesz folksdojczem. Nieprawda?

Kłós nie wierzył własnemu szczęściu. Zostanie folksdojczem! Wszystkie jego troski znikną wtedy natychmiast, a w pierwszym rządzie odstąpi od niego ta ssąca wszystkie jego siły zmora — wyrok śmierci. Bo jako Niemiec nie będzie już przecie potrzebował służyć w policji. Kto wie, czy nie dostanie nawet jakiej dobrej posady czy koncesji w innym mieście, choćby i w Warszawie. Szeroko otwartymi oczyma patrzył na śmiejącego się oficera, aż nagle skurcz konwulsyjny wykrzywił mu twarz i zaczął płakać.

Aschel był tak zdumiony, że odskoczył.

— Was ist denn das? Guck mal, Szwutke!

Tego również opuściła pełna buty obojętność.

— Kłós, do cholery! — zawołał chwytając płaczącego za szczeciniastą czuprynę i unosząc mu opuszczoną twarz. — Co ci jest? Martwisz się, że zostałeś folksdojczem?

Kłós długo nie odpowiadał, aż wreszcie zdołał wyjąkać wśród łkania.

— Moja... żona uciekła... dziś w nocy...

Szwutke zaczął się tak śmiać, że aż przysiadł i klepał się z uciechy po udach.

— Was heisst: uciekła? — zapytał go lejtnant.

Szwutke wskazał palcem na Kłosa.

— Seine Frau ist gefliegt! Ha, ha, ha!

— Ha, ha, ha! — zawtórował mu szef policji.

Naraz spowaźniał i zaczął coś mówić bardzo szybko do Szwutkego. Ten również przestał się śmiać i powiedział do Kłosa.

— Nie maż się, głupi chłopie. Odnajdziesz swoją babę, choćby się pod ziemię skryła. Pan lejtnant da ci urlop.

— Ja, ja — powtórzył Aschel.

Wydał jakieś zarządzenie rudowłosej sekretarce. Ta zsunęła się leniwie z biurka i poszła w stronę drzwi do kancelarii, stukając koturnami i nadmiernie kołysząc biodrami. Zdaje się, że miało to wszystko oznaczać jej niezadowolenie. Minąwszy Kłosa zatrzymała się i spojrzała na niego

niechętnym zezem. Rzuciła mu w twarz:

— Ausweis.

Kłós zatrzepotał się bezradnie, ocierając chustką oczy.

— Kenkarte? — zapytał szukając po kieszeniach.

Nie odpowiedziała. Wyciągnęła tylko za siebie prawą dłoń z wylakierowanymi na czerwono paznokciami i wydymając pogardliwie nadmiernie grube i ociekające od tłustej szminki wargi.

Na Kłosa wywarła niezmiernie przykre wrażenie. W bolesny sposób przypomniała mu żonę i jej ucieczkę. „Każda kobieta — to kurwa”, zdecydował używając w swej bezsilności najbardziej hańbiącej i obrażającej całą tę zdradziecką płęć nazwy. Wydobył swoją kartę rozpoznawczą i podał Niemce ze wstrętem. Ta wyrwała mu ją brutalnie i opuściła pokój, nie zapomniawszy trzasnąć drzwiami.

Lejtnant Aschel wezwał tymczasem Szwutkego i razem przeglądali jakieś papiery rozmawiając półgłosem. Kłós stał nieruchomy, ale w piersi jego wrzała rozpacz, bezsilny gniew i żądza zemsty nad Łodzią. Serce waliło mu niezmiernie szybko, to znów całkowicie się zatrzymywało. Ogarniała go coraz większa słabość i coraz więcej śliny napęlało mu jamę ustną. Przetykał ją z trudnością. Potem zaczął się straszliwie pocić. Czuł, jak strumienie potu spływały mu z czoła aa grube połączone brwi i jak kierowały się na skronie, a potem po policzku ściekały mu pod brodę; czuł, jak sączyły mu się po plecach i brzuchu; czuł, jak łaskotały go za uszami... Ogarniała go jakaś ponura, pełna niewysłowionego lęku senność. W oczach ciemniało mu chwilami do tego stopnia, iż zdawało mu się, że już noc nastąpiła. Próbował ścisnąć pięści, ale nie miał siły nawet ich zamknąć. Pasował się przez dłuższy czas z sobą, ale pojął w końcu, że o własnej sile nie wydobędzie się z tego położenia. Nie lękał się zresztą śmierci, która w tej chwili wydała mu się upragnioną wybawicielką ze strasznych cierpień, ale bał się samotności. Bał się samotnego konania. Słyszał niezrozumiałe szepty Aschela i Szwutkego, wiedział, że są to ludzie, których jego śmierć nic a nic nie obejdzie, którzy sami gotowi są go uśmiercić w przystępie złego humoru, ale nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapytać wreszcie spokojnie: — Czy mogę usiąść?

Obaj unieśli głowy i spojrzeli nań groźnie. Potem znowu wrócili do przerwanej rozmowy, jakby nigdy nic nie zaszło.

Kłosowi było jednak już wszystko jedno. Widział, że pod oknem stoi jakaś niezmiernie krucha i powyginana a kwieciście obita kanapka. Tam się skierował ciężkim, powolnym krokiem. Za chwilę siedział już na niej z opuszczoną głową. Cóż go obchodziło, że obaj zwierzchnicy znowu patrzą nań z oburzeniem czy tylko z nieżyczliwą uwagą? Słabość obejmowała go coraz bardziej. Wobec tego opuścił głowę na twardą powyginaną poręcz. Zrobiło mu się jeszcze bardziej słabo.

— Umieram — zdołał wyszeptać i położył oba buty na przeciwległej poręczy.

W oczach było mu już ciemno zupełnie. Słyszał tylko, że obaj dygnitarze zerwali się z za biurka.

— Was ist denn das? — zapytał na pół groźnie a na pół z niepokojem lejtnant Aschel.

Potem posłyszał szybkie kroki w swoim kierunku.

— Kłós! Kłós! — rozległ mu się tuż nad uchem głos Szwutkego. — Co ty wyrabiasz, do jasnej cholery? Upiłeś się znowu, czy co?

— Umieram — zdołał wyszeptać.

— To sobie umieraj, głupi draniu, ale nie tu.

Kłós zamknął oczy. Tylko od czasu do czasu oddychał ustami z niezmiernym wysiłkiem. Słyszał jednak, jak Szwutke mówił półgłosem:

— Herr Leutnant, haben Sie Schnaps?

Po pewnym czasie ktoś uniósł mu głowę.

— Kłós! Kłós! Napij się trochę!

Rozchylił usta. Poczował woń koniaku. Gryzący płyn napęlał mu jamę ustną i spłynął kącikami ust po brodzie.

— Pij, pij! Kurwa twoja mać!

Kłós próbował przełknąć, ale zakrztusił się i część płynu wylała mu się znowu na szyję. Leżał więc nadal w zupełnej bezsilności i rozpacz.

„Nie mam już nikogo na świecie. Wszyscy mnie nienawidzą i wszyscy pogardzają. Wyrzekł się

mnie rodzony ojciec. Wyrzekła rodzona matka. Żona uciekła z dziećmi. Całe rodzinne miasto stroni ode mnie jak od zapowietrzonego. Może za chwilę umrę, ale nie ma przy mnie nikogo oprócz drania gestapowca i tej świni, folksdojczya Szwutkego. To tak Pan Bóg mnie gnębi, żebym się nawrócił. Że jak trwoga — to do Boga. Ale nie doczeka się tego. Oh, żebym jeszcze zebrał trochę sił! Oh! żebym mógł jeszcze dostać Lodzie w swoje ręce. Jeżeli Bóg jest wszechmocny — niech tego dokona, a wtedy uwierzę!"

Trzymał oczy zamknięte i nic go nie obchodziło, co się wokół niego dzieje: jakieś kroki, jakieś rozmowy, jakieś trzaskanie drzwiami...

W pewnej chwili uczył, że mu ściągają kurtkę, otwierają koszulę na piersiach i przytykają coś do serca. Zmiarkował, że go badają. Potem zawinięto mu rękaw na lewej ręce. Następnie zaczęto mu ścisnąć ramię powyżej łokcia, aż go zaszczypało. Otworzył oczy. Jakaś młoda panienka w jasnym płaszczku krępowała mu ramię wstążką gumową. Olbrzymi brodaty mężczyzna w granatowym płaszczu napełniał tymczasem wielką strzykawkę z równie wielkiej ampułki. Obrazy te zaciemniały czarne koła stojące mu przed oczyma. Gdy zamknął oczy, koła zmieniały zaraz barwę na jasnozieloną.

„Koniec!" — pomyślał. — „Widocznie przekonali się, że nic ze mnie nie będzie, i chcą mnie wykończyć."

Wiedział dobrze, że wszyscy niemieccy lekarze w obozach, gdy tylko stwierdzili cięższą chorobę u Polaka, natychmiast dawali mu śmiertelny zastrzyk. Zamknął oczy. Pod powiekami został mu drażniący szereg zielonkawych kręgów. Chwyciła go rozpacz. „To już ostatnie, które zobaczę na tym świecie."

Znowu otworzył oczy. Poprzez wielki nieustępliwy czarny różaniec spostrzegł, że brodac z uwagą naciska tłok strzykawkki.

„Mordują mnie" — uświadomił sobie.

Z trudem wstrzymywał się, żeby nie zacząć krzyczeć o pomoc. Uświadomił jednak sobie, że to na nic się nie zda. Wobec tego zebrał ostatnie siły woli, żeby zachować się spokojnie.

Naraz poczuł, że wszystkie nerwy napełnia mu tak dawno nieznaną spokój. Zielonkawe kręgi rozplynęły się w jednolitym tle. Całe ciało ogarniała dobroczynna senność. Czuł się szczęśliwy.

„Czyżby tak wyglądała śmierć?"

Tymczasem w dalszym ciągu zanikała w nim dotychczasowa słabość, rozpacz, uczucie niezmiernego lęku. Zniknął nareszcie nieznośny niepokój w kończynach. Ogarniało go błogie znużenie, jakby spoczął wygodnie w łóżku po ciężkim całodziennym trudzie. Nawet gdzieś się podziały tak dręczące go dotychczas, natrętne i przykre myśli. Wszystko było jasne, pogodne, uśmiechnięte i radosne.

Usłyszał nad sobą głośny bas.

— Dałem panu zastrzyk z glukozy na podtrzymanie serca wraz z somnifenem, silnym środkiem nasennym. Teraz powinien pan spać. Ale jak pan kiedy znowu się tak urznie, a nie będzie natychmiast ratunku, to już ferfał dy klaczkies mit glancen kopytkies und gancen pastrojkiess.

Kłowski nie chciał się otwierać oczu.

„Co to znaczy postęp i medycyna. Już myślałem, że znowu napadną na mnie diabli. Ale dziś doktorzy nawet z diabłami dadzą sobie radę. Już nie mogę sobie nawet przypomnieć, jak strasznie się czułem niedawno. To on mówi, żebym nie pił? W życiu swoim nie wezmę do ust kropli wódki ani nawet piwa!"

Uświadomił już sobie, że leży w szpitalu powiatowym i że brodac z basowym głosem jest to znany powszechnie w całym mieście doktor Szałasziński.

Jeszcze tydzień przeleżał Kłowski w łóżku. Jak to zwykle bywa w szpitalu, przyplątała mu się jakaś gorączka, dreszcze. Pielęgowano go starannie. Wreszcie wyszedł całkowicie zdrowy i wytrzeźwiony, chociaż nieco osłabiony. Wezwano go do Szwutkego, gdzie podpisał w kancelarii jakieś papiery, które mu podsunęto, a których treści nie znał zupełnie, pisane bowiem były po niemiecku. Wreszcie zawołano go do gabinetu kierownika. Szwutke na jego widok powstał z fotela, wyszedł zza biurka i podał mu rękę z uroczystą powagą.

— No, słuchaj, Franz. (Po raz pierwszy nazwał go w ten sposób.) Należysz już od tej chwili do

narodu niemieckiego. Zrobiła cię Niemcem twoja odwaga i twoja dzielność. Masz tu niemiecką kenkartę. Pamiętaj, żebyś jej nie splamił tchórzostwem, niezdecydowaniem, czy też tą waszą polską miękkością. Zwłaszcza nie powinieneś się nigdy ześwinić litością dla wrogów. Wszyscy wrogowie Niemiec muszą zginąć. Rozumiesz?

— Tak jest.

— No! A tu masz kartę urlopową na dwa tygodnie. Możesz sobie jechać choćby zaraz i poszukać swojej baby. Ale jak ją znajdziesz, to pamiętaj, że jesteś już Niemcem. Nie wolno ci się z nią cackać. Albo podda się całkowicie twojej władzy i woli, albo... Rozumiesz?

Tu chwycił Kłosa za ramiona i ucałował go w oba policzki.

Kłos wyszedł wzruszony do łez. W ostatnich dniach w ogóle ciągle chciało mu się płakać. Ale tym razem były to raczej łzy radości.

Właśnie gdy już był przekonany, że zapadł się całkowicie i ostatecznie w bezdnie osamotnienia i zagłady — wszystko się odmieniło. Znowu znalazł ludzi życzliwych w obcych dotychczas sobie i groźnych zwierzchnikach niemieckich. Nie wątpił, że teraz wszelkie jego sprawy wezmą obrót równie pomyślny. Pojedzie w Kieleckie, odnajdzie tam żonę, zmusi ją do powrotu, założy nowy dom już nie w tym ponurym i wrogim mieście... Może zresztą uda mu się porzucić służbę w policji. W każdym bądź razie skończył się okres nienawiści, szalu zbrodni i niedoli tak okropnej, że nigdy nie przypuszczał, iż można było przeżywać coś podobnie straszego.

Pelen radosnego oczekiwania ruszył w miasto.

Rzeczywiście ludzie, których spotykał, pozdrawiali go uprzejmie i z uśmiechem, jakby radowali się jego widokiem. Nie wiedział, że całe miasto miało już dokładne a miejscami nawet grubo przesadzone sprawozdania o jego wyczynach w czasie nieudanej egzekucji, tudzież o tym, że w nagrodę za swoje zbrodnie został przyjęty na łono narodu niemieckiego. Każdy więc bał się po prostu narazić mu choćby w najmniejszym stopniu. „Takie zwierzę zdolne jest przecie do wszystkiego. Wystarczy, że wyrzekła się go rodzona matka i że opuściła go własna żona i dzieci.” Zresztą wszyscyśmy żyli pod wrażeniem strasznego pogromu na rynku. Poza tym ciągle jeszcze trwały aresztowania. Nie było też dnia, żeby przynajmniej jedna rodzina nie otrzymała wezwania z gestapo po odbiór rzeczy pozostałych po zamęczonych bliskich.

Na posterunku, dokąd Kłos skierował pierwsze swoje kroki, przyjęto go z radością i z zainteresowaniem pytano o zdrowie. Oczywiście wszystko to było wymuszone i udane. Ale Kłos nie wymiarkował tego zupełnie, ze szczerą więc wdzięcznością przyjął te objawy życzliwości. Uderzyła go pełna pustka w urzędzie; oprócz dyżurnego zastał tam jeszcze tylko jednego posterunkowego, rannego zresztą w prawą rękę podczas jakiejś rozprawy z bandytami czy partyzantami.

— Co się u was stało? Zaraza morowa, czy co?

— Prawie wszyscy żandarmi wyjechali do Lemieszowa. Jakaś banda wysadziła most kolejowy pod Borkiem Lemieszowskim i spowodowała katastrofę ekspresu berlińskiego, w odwet za egzekucje warszawskie. Narobili kupę mięsa, głównie wśród urlopowanych i rodzin urzędników niemieckich z Warszawy. Oprócz tego w samym Lemieszowie była próba rozbicia więzienia, a podczas łapanek strzelano do żandarmów.

— No, a gdzie nasi chłopcy?

Dopiero powiedziawszy to przypomniał sobie, że on sam jest już przecie Niemcem.

— Właśnie przyszła wiadomość o napadzie na dwór w Rakowej Woli. Poza tym trzeba patrolować tory, bo ciągle powtarzają się zamachy na pociągi idące do Niemiec i na front bolszewicki.

— W takim razie miasto zostało prawie bez obrony?

Dyżurny uśmiechnął się i zaraz zakaszłał wymuszenie.

— Ba! Nawet czarni rozeszli się po torach. Pierwsza lepsza banda mogłaby opanować całą Brodnię, bo i wojsko wy-maszerowało na ostre strzelanie.

Kłos poczuł lekki niepokój.

— Prędko wracają Niemcy?

— Wyjechali dopiero z godzinę temu, czyli o jakiejś pierwszej, pół do drugiej. Wygląda, że

zanosi się tam na jakąś poważniejszą akcję. Przed nocą chyba nie zdążą.

— Tak?...

Kłós przyciągnął pasa i poprawił pochwę z rewolwerem.

— Do widzenia!

Wyszedł na pustą ulicę i zawahał się, gdzie iść. Miał początkowo zamiar udać się do swojego mieszkania, ale zrobiło mu się zimno na wspomnienie pustki, jaką tam zastanie. Poza tym bał się. Nie wyobrażał sobie, jak będzie mógł sam jeden nocować.

„Najpierw trzeba będzie zobaczyć rozkład jazdy pociągów.”

Skierował się w stronę dworca. Zawsze jest tam trochę bezpieczniej. Pomimo że mieliśmy już wtedy początek listopada, dzień był dość pogodny i ciepły. Kłós szedł osłonecznioną stroną ulicy. Słońce świeciło tak blado, że można było niemal patrzeć w jego tarczę. Zniżało się już zresztą ku zachodowi. Było zaledwie parę minut po drugiej. Ale za okupacji obowiązywał czas przesunięty naprzód o godzinę, zegar więc wskazywał już kwadrans po trzeciej.

Skręciwszy w stronę restauracji Chomińskiego Kłós poczuł głód. „Trzeba by coś zjeść na obiad.”

W bufecie, jak zwykle, siedziało paru z naszej gromadki. Był tam burmistrz Korkowski, maszynista kolejowy Fanfara z synem, byłym studentem, obecnie pracującym na kolejce elektrycznej, Chomiński i ja.

145

Udzielaliśmy sobie wzajem ponurych wiadomości o masowych rozstrzelaniach aresztowanych w zlikwidowanym już getcie warszawskim i o publicznych egzekucjach na ulicach. Na Senatorskiej miano rozstrzelać trzydziestu lekarzy. Chomiński, który jeździł ostatnio po wódki gatunkowe, widział na własne oczy gdzieś na Grójeckiej gromadę kleryków z seminarium duchownego, powieszonych pękami na balkonach. Opowiadano również szczegóły o mordowaniu ludności pol-10 — Wyrok na Franciszka Kłosa skiej na Zamojszczyźnie. Przy tej sposobności Chomiński powiadł na tajne organizacje.

— Wszystkim naszym nieszczęściom zawsze winna jest młodzież. W takiej sytuacji, w jakiej się obecnie znajdujemy, powinniśmy sobie postawić jeden jedyny cel: przetrwać z jak najmniejszymi stratami dla narodu. Tak robią Czesi i zobaczycie, że po wojnie będą mieli więcej do gadania od nas, choć prawie żadnych ofiar nie ponieśli.

Młody Fanfara, który nader ciekawie a nawet z lubością oglądał kanapki z kielbasą i boczkiem, tudzież kotlety siekane na zimno, ułożone piętrowo za szybą na bufecie, odwrócił się naraz zdumiony.

— To pan uważa, że powinniśmy się dać wymordować bez żadnego sprzeciwu?

— A cóż pomoże sprzeciw? Za jednego zabitego Niemca giną naszych dziesiątki i setki.

— Bo oni naszych mordują bez wyboru, a my wybieramy tylko najszkodliwszych.

— No i co z tego? — pytał Chomiński wycierając i sprawdzając pod światło szklanki przy lodówce z piwem. Na miejsce jednego zabitego drania znajdzie się zawsze dziesięciu jeszcze gorszych. Jeśli nie Niemców, to Ukraińców, Litwinów, diabłów czy choćby naszych foksów. Summa summarum ich przybywa, a nas ubywa z każdym dniem. W ostatnich czasach wydano podobno kilkanaście nowych kenkart folks- dojczerskich. Między innymi także i Frankowi Kłowski. A myśmy w samej tylko Brodni ilu stracili i tracimy ciągle?

— A przedtem, nim zaczęliśmy kontrakcję, nie traciliśmy?

— Przedtem traciliśmy. Ale jak przedtem raz na pół roku zdarzył się jakiś Wawer, to nam się zdawało, że już cały świat zatrząsie się od grozy. A dzisiaj — dzięki wyczynom naszych bohaterów — takie Wawry stały się chlebem codziennym.

Stary Fanfara ruszył na odsiecz synowi. Zerwał się z krzesła i podszedł w szarym zasmolonym ubraniu z równie zasmoloną twarzą do Chomińskiego, chwycił go za ramię i powiedział drwiąco:

— Trochę się pan zagalopował, kochany Chomińsiu. Cały świat walczy, to tylko my mamy z założonymi rękami czekać, aż nam Polskę подарują?

— Myśmy wojowali już wtedy, gdy nawet nikt się nie ruszył. A i od tego czasu, gdzie nie było słyhać o Polakach? Od Narwiku po Tobruk — odburknął Chomiński wrywając Fanfarze ramię i w dalszym ciągu wycierając zawzięcie naczynia.

Burmistrz Korkowski siedział nachylony głęboko i z zajęciem obserwował końce swoich nowych półbutów wiśniowego koloru.

— Chomiński ma rację — odrzekł niedbale. — Na konspiracji żaden naród dobrze nie wyszedł, a już nasz najmniej. Wszystkie nasze powstania, wszystkie nieszczęścia, zawdzięczamy młodzieży. Bo największe zło konspiracji leży w tym, że nigdy nie wiadomo, kto nią kieruje. Jak więc tu łatwo o prowokację! Weźmy tylko czasy rewolucyjne po wojnie japońskiej. Ileż tam było prowokacji! A ojciec Sapon, a Azeff? Komuniści dlatego właśnie rządzą, że nie bawili się w zamachy, tylko działali w masach i przy pomocy mas.

Młody Fanfara zwrócił się do niego w pełnej uszanowania postawie.

— Więc według pana burmistrza nie tylko, że nie mamy się organizować, ale nawet powinniśmy pozwolić na to, żeby wszyscy zdrajcy, folksdojcze, zbrodniarze panoszyli się u nas wesoło i bezpiecznie jak u siebie w domu.

Chomiński z trzaskiem postawił, wytartą szklanę.

— A bo teraz pewnie się nie panoszą? Co? Nastrzelaliście u nas kupę żandarmów. Prawda, że byli dranie, ale już się tak oswoili, że z ręki jedli. Po wojnie zresztą wzięlibyśmy ich za pierze jak pisklęta. A tymczasem przysłali na ich miejsce swołocz właśnie sto razy gorszą...

Młody Fanfara podniósł wysoko brwi, nieco pobladły.

— Ale dlaczego pan ciągle mówi do mnie „wy?” Jakbym miał przemawiać w czyimkolwiek imieniu?

— Uhm, uhm! — zakaszła burmistrz zakrywając usta ręką.

Przerzucili się rozbawionymi spojrzzeniami. W porę się spostrzegł. Już też nasi młodzi konspiratorzy nie byli nigdy zbyt zakonspirowani.

Młodzieniec wodził po nas niespokojnym wzrokiem. Udawał zdziwionego i zaskoczzonego.

— Każdy z nas przecie wypowiada tylko ogólne poglądy.

— Tss! — syknął Chomiński.

Brzęknęły oszklone drzwi i ukazał się Kłos. Zasalutował nam z miłszym niż zazwyczaj uśmiechem i zaczął się witać.

Młody Fanfara udał, że kaszle, i uciekł do ogólnej sali bełkocąc przez ślinę:

— Gdzie tu sopluchaczka?

Przyglądaliśmy się świeżo upieczonemu folksdojczowi z ciekawością. Rzeczywiście zmienił się na korzyść. Schudł, pobladł, ale przy tym rysy jego straciły dotychczasową dzikość, a oczy stały się przezroczyście i uduchowione jak zwykle u ludzi, którzy wiele przecierpieli.

Chomiński stanął za bufetem i odwrócił do góry dnem szklaneczkę.

— Jedną większą?

Kłos wchodząc tu nie miał zamiaru pić. Nawet dziwił się sobie, że po tygodniu abstynencji nie odczuwa najmniejszej ochoty na wódkę. Teraz jednak wstydził się odpowiedzieć odmownie. „Powiem nie, to wszyscy na mnie wytrzeszczą gały.”

— A... niech pan naleje.

— Zakropić?

— Niech pan zakropi.

— Może angielską gorzką?

Chomiński mrugnął do nas, żebyśmy zwrócili uwagę na ten dowcipny przytyk.

— Niech będzie.

Wypił i zaczął wybierać zakąskę. Zastukał palcem w szybę wskazując wybraną kanapkę z kielbasą krakowską. Zaczął ją dokładnie smarować musztardą, z lekka przytupując końcem prawego buta.

— Może przygrzać kotlet? Dzisiejsze.

— A co jest 'na obiad?

— Może być rosół z makaronem, kapuśniak a na drugie sztukamięś, bitki, kielbasa z kapustą.

— Niech będą bitki.

Zajadając poszedł do drzwi do sali ogólnej i zaczął czytać przybite tam pluskiewkami rozkłady jazdy pociągów kolei państwowych oraz kolejki dojazdowej.

Obserwowaliśmy go wszyscy w zupełnym milczeniu.

— Raz bitki! — wykrzyknął Chomiński w stronę kuchni.

Naraz Kłós obejrzał się na nas bystro.

— Panie Fanfara, pan powinien wiedzieć. Który pociąg ma połączenie ze Skarżyskiem?

— To chyba tylko ten czternasta czterdzieści osiem.

— Druga czterdzieści osiem? — rzucił okiem na wielki zegar wiszący w sali ogólnej. —? A tu już trzecia.

— Ten zegar się spieszy — objaśnił skwapliwie Chomiński.

— Zresztą dziś jeszcze żaden pociąg z Warszawy nie przyszedł o swoim czasie.

— Jak zawsze zresztą — dorzucił pogardliwie burmistrz.

Kłós podskoczył do bufetu.

— Ile płacę?

— To bitki odwołać?

— Tak jest, muszę zaraz jechać.

Był radośnie podniecony i zarazem pełen niepokoju. „Rano już będę u Łodzi i nie będę wcale potrzebował nocować w mieszkaniu. Byłem się tylko nie spóźnić!”

Zapłacił należność, oczywiście według cennika urzędowego, i żegnał się z nami salutując wokół roześmiany.

— Do widzenia! Do widzenia! Niedługo się znowu zobaczymy.

• — W dzisiejszych czasach to nic nie wiadomo — odburknął stary Fanfara ponuro.

— Tak, czasy są, można powiedzieć, niespokojne — przy- wtórzył mu burmistrz z lekkim westchnieniem.

Kłós wybiegł.

— To jest jeszcze jeden przykład działalności naszych konspiratorów — podjął przerwana rozmowę Chomiński. — Natłukli całą kupę prawie zupełnie nieszkodliwych już żandarmów, a takie bydlę chodzi spokojnie po świecie i donosi a morduje, kogo popadnie. Dziecko nie dziecko.

— Pan to nie możesz tych żandarmów odżalować — odezwał się szyderczo stary Fanfara wyciągając swoją fajkę i kapciuch z tytoniem. — Musiał pan na nich zdrowo zarabiać.

— A choćby! To i panu za to mogłem postawić, i innym. A teraz...

— Cicho! — zawołał burmistrz. — Nie kłóćcie się! Wiecie, po co Kłós jedzie w Kieleckie? Bo ja wiem. Tam się ukrywa jego żona z dziećmi. Zobaczycie, że to zwierzę zamorduje jeszcze i ją, i dzieci. Już ich raz o mało nie zabił.

— No! — wykrzyknął znowu Chomiński. — A co robią nasze tajne organizacje?

— Kłós dostał przecie wyrok! — oburzył się Fanfara.

— Ba, nawet już ile miesięcy temu. Za zamordowanie Walusiaka. Ale od tego czasu ile namordował? A teraz został w dodatku folksdojczem...

— Panie Chomiński — przerwał mu naraz młody Fanfara jakimś zdławionym głosem. —? Można od pana zadzwonić?

— A dzwoń pan! — machnął ręką.

— Bo przypomniała mi się ważna sprawa.

Nerwowo nakręcił numer.

— Czy pan K? Tak? Tu... No mniejsza. Przypomniało mi się, że pani Wiśniewska mówiła mi, że dzisiaj przyjeżdża z Warszawy o drugiej czterdzieści osiem... Nie... Jest opóźniony... Tak jest... I trzeba, żeby ktoś po nią wyszedł na stację, bo będzie z pakami... Najlepiej dwoje. Tak... To dawna sprawa... Z lipca czy sierpnia... Tak, tak, miejscowa... Tak, tak, granatowy materiał na suknię... No, więc dobrze.

Burmistrz Korkowski mrugnął do mnie lekko.

— Fajna konspiracja —• szepnęła zjadliwie Chomiński.

— Ale o Kłosa możesz pan już być spokojny — odrzucił mu burmistrz.

Powstał, przeciągnął swoją maleńką figurkę i ziewnął szeroko.

— A teraz radzę wszystkim, żebyśmy się rozeszli po chałupach.

Na dworcu było pusto. Tylko przy drzwiach wyjściowych stał bileter, a naprzeciw niego strażnik kolejowy z czarnymi naramiennikami, z powodu których straż tę nazywano ogólnie „czarnymi”.

Kłos podszedł do nich niespokojnie.

— Czy przyszedł już pociąg z czternastej czterdzieści osiem?

•— Jeszcze nie przyszedł.

— A kiedy przyjdzie?

— Kto to może wiedzieć. Miejscowy z Warszawy miał opóźnienia dwie godziny.

— Ale w ogóle przyjdzie?

— Powinien.

Kłos odetchnął. „Wszystko mi się dzisiaj wiedzie, to i to się uda. Mam szczęśliwy dzień.”

Długo pukał do kasy, zanim udało mu się wydostać bilet. Wrócił do biletera.

— Nie postawili jeszcze sygnału?

— Nie. I dobrze będzie, jak za pół godziny postawią.

Kłos przechadzał się nerwowo po niezmiernie brudnej i zaśmieconej papierami podłodze. Przesunął oczyma po urzędowych rozporządzeniach, po plakacie, gdzie ponury szpieg udając, że czyta gazetę, przysłuchuje się rozmawiającym w przedziale kolejowym żołnierzom niemieckim. Naraz wzrok jego padł na wielkie drzwi poczekalni pierwszej i drugiej klasy z napisem: „Nur für Deutsche”. „Prawda, jestem już przecie Niemcem.” Śmiało wszedł do pustej sali. Nawet za bufetem nie było widać nikogo. Dopiero zbliżywszy się zobaczył, że jego znajoma folksdojczanka, panna Astrida Wagnerówna, zamiata kłęcząc podłogę.

— Dzień dobry pani! Prosiłbym o jedną większą.

— Zaraz. Muszę najpierw trochę posprzątać.

Kłos czekał oparłszy się o blaszaną rurę barierki przy la~ dzie. Korpulentna panienska gmerała się nielitościwie wolne. Zaczął podejrzewać, że czyni to umyślnie. „Widocznie uważa, że wtargnąłem tu bezprawnie.”

— Ja też już jestem Niemcem. Mam kenkartę.

— Dobrze, dobrze, ale muszę wprzód zamieść.

Zamiotła i zniknęła z pełną śmietniczką w drzwiach między szafami.

Kłos czekał i czekał, ale nie pojawiała się jakoś. Zaczął się niepokoić. A jeśli tymczasem pociąg mu ucieknie.

Wybiegł z poczekalni i zaraz wyszedł na peron. Czekają tu najwyżej ze trzydzieści osób i to prawie same kobiety z plecakami, z torbami od masek gazowych u boku, z bańkami blaszanymi i różnymi tobołami. Z mężczyzn zobaczył tylko staruszkę w ciemnych okularach i w czarnej rogatywce, czterech kolejarzy z teczkami i walizami, stojących w grupie, oraz młodego Czereśniewskiego bez prawej ręki, którą był stracił w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 roku. Kłos krążył pośród nich pozdrawiając znajomych z życzliwym uśmiechem, zagadując nieznanym, co wiedzą o mającym nadejść pociągu, dowcipkując z kobietami. Czuł się podniecony i szczęśliwy.

Dawno temu, kiedy rozpoznawcza karta niemiecka była dlań niedościgłym marzeniem, wydawało mu się, że gdyby ją otrzymał, dopiero by zaczął się srożyć wśród zniechęconych rodaków; teraz jednak, kiedy się to ziściło naprawdę, przekonał się z pewnym zdziwieniem, że nie znajduje w swoim sercu dla tego skazanego na zagładę narodu niczego oprócz litości a nawet życzliwości. „To dobrze — pocieszył się — tak właśnie powinien postępować człowiek z narodu panów. Niemcy są głupi, że o tym nie wiedzą.”

Tymczasem pociąg nie nadchodził.

Kłos poszedł w kierunku Warszawy, dopóki nie wyminął wszystkich budynków stacyjnych. Pomimo że było jeszcze zupełnie widno, latarnie przy zwrotnicach zostały już zapalone. Tak samo rząd opuszczonych semaforów świecił czerwonymi światłami. Przypominały one bombki na choince. W ogóle wszystko w tym dniu było uroczyste.

Zawrócił.

Przechodząc koło wejścia na stację pomyślał, czyby nie spróbować jeszcze napić się wódki w bufecie. Postanowił jednak najpierw dojść jeszcze do drugiego końca peronu. Przez ten czas może będzie już jakaś pewniejsza wiadomość, ile minut pociąg jest opóźniony.

Wyminął grupki czekających i znalazł się sam. Przed nim, tuż u końca lśniącego wachlarza szyn, wisiało nad widnokregiem olbrzymie czerwone słońce. Świeciło tak słabo, że mógł w nie patrzeć bez zmruczenia powiek. Stąpił po wielkich kwadratach kamiennego chodnika, zapatrzone w olbrzymią tarczę. Naraz dostrzegł na jej tle dwie czarne sylwetki. Jakichś dwóch mężczyzn szło mu naprzeciw od strony przejazdu kolejowego. Poznał ich dopiero, gdy zrównali się z nim całkowicie.

Był to Mietek Sroka i Edek Kapuściak.

— Mietek! — zdziwił się. — Co ty tu robisz?

Z trudem zaczął sobie przypominać, że matka chłopca została zamordowana i że obu tych młodzieńców widział podczas bitwy na rynku w mundurach esesmanów. W tej chwili jednak był pewny, że musiało mu się wówczas przywidzieć. „Co za pomysł?” Doznał nawet uczucia radości, że ich spotkał. Może jadą tym samym pociągiem. Będzie miał przynajmniej towarzystwo.

Ale Mietek wyglądał jakby przerażony.

— Pan... to jest... Kłos! — wykrzyknął nagle, jakby z ogromnym wysiłkiem.

Krępy Kapuściak błysnął w rękę nie wiadomo skąd dobytym visem.

— Ręce na kark! — powiedział cicho, ale dobitnie.

— Co to znaczy? — zapytał zdumiony Kłos unosząc bezwiednie dłonie.

— Zaraz będziesz wiedział.

Kapuściak paru błyskawicznymi ruchami odpiął mu pochwę i wyciągnął rewolwer. Mietek Sroka tymczasem dosko- czyli na samą krawędź peronu i rozglądał się niespokojnie. Prawą ręką sięgnął do kieszeni po pistolet, ale nie wyciągnął go całkowicie. Widać było tylko koniec czarnej chropowatej kolby, zakończonej blaszką magazynka.

Kłos ciągle jeszcze nie mógł się połapać.

— Czego wy ode mnie chcecie? Nie macie chyba zamiaru mnie zabić?

— To się zaraz pokaże — warknął przez zęby Kapuściak. — A teraz naprzód! Jazda! Tam!

Wskazał lewą ręką w stronę przejazdu.

To już nie mogło budzić najlżejszych wątpliwości. „Więc to tak miało wyglądać? Ależ ja nie czuję najmniejszego strachu! Kogóż bym się zresztą miał bać? Takich szczeniaków? Oni przecie są sto razy bardziej spietrani ode mnie!”

Nagle przyszło mu na myśl, że ten beztroski nastrój może minąć lada sekunda. Chodzi więc o to, żeby — broń Boże! — nie zacząć myśleć. Odwrócił nieco twarz do stąpającego za nim Kapuściaka. Przekonał się, że Mietek Sroka jeszcze nie ruszył się ze swego posterunku.

— No więc, masz strzelać, to strzelaj, do cholery!

Teraz dopiero przypomniał sobie, że sam zastrzelił małą Wandzię.

— Dalej, dalej, psiakrew!

Szedł więc prędko, żeby raz wreszcie zakończyć tę całą komedię. I żeby tylko nie zacząć myśleć. Obserwował dwa bliźniacze różowe odbłaski zachodzącego słońca, skaczące równocześnie po szynach. „Zupełnie jak jakieś czerwone pchły. Albo jak koniki polne. Nie, koniki polne nie skaczą prosto. Ciekawe: gdzie oni mnie prowadzą?” I naraz uprzytomnił sobie: „To tutaj gdzieś przecie zastrzeliłem Walusia- ka”. Chwycił go nigdy dotychczas nie znany przeogromny żal. „To już teraz? Rzeczywiście teraz?” Przypomniało mu się jakieś wielkopostne kazanie proboszcza, wzywającego do pokuty: „bo nie ma większej tragedii na świecie jak zmarnowane życie ludzkie!” Tak, nie było najmniejszej wątpliwości, że zmarnował swoje życie. Nie tylko swoje, bo i życie matki, i ojca, i żony, i dzieci. Wszystkie te istoty kochały go przecie. Nie mógł już więcej o tym myśleć. Znowu zwrócił się do Edka Kapuściaka.

•— No, strzelaj nareszcie!

— Dalej! Dalej!

Wobec tego podniósł głowę i zaczął się rozglądać. Nie, nie było obawy, żeby się miał rozplakać. Tylko tyle, że smutek przenikał go całego, smutek ciężki, beznadziejny, ostatni...

Po drugiej stronie toru był rozgrodzony park, który kiedyś, jeszcze przed pierwszą wojną światową, należał do dworu. Potem mieściła się w nim szkoła rolnicza. Obecnie budynki leżały w gruzach, zbombardowane jeszcze we wrześniu 1939 roku. Kłos patrzył na różową od zachodu ścianę białych brzoź. Wydały mu się tak zapatrzone w znikające słońce, że aż pogrzyły się w jakiś

półsen niezmiernego zachwytu. Zupełnie jak dzieci, którym pokazano cudownie ubraną i roziskrzoną światłami choinkę.

Spojrzał więc tam, gdzie i one patrzyły. Jego wzrok pośliznął się błyskawicą po lśniących szynach w nieznaną dal, aż tam, gdzie właśnie zgasł ostatni skrawek tego źródła wszelkiego istnienia i wszelkiej radości na ziemi.

I wtedy ostatnim wysiłkiem wydobył się raz jeszcze na powierzchnię nie zgruntowanego i przez nikogo z żyjących nie zaznanego dotychczas smutku i przypomniał sobie tytuł jakiegoś filmu, jakiejś książki czy może jakiejś piosenki: Jutro znowu będzie słońce...

Wiść o śmierci Kłosa rozeszła się tegoż jeszcze wieczora po całym mieście i okolicach, budząc wszędzie radość i uznanie dla wykonawców wyroku.

Zadziwiające było po prostu, że cała opinia naszego miasta tak zawzięta była w stosunku do zabitego. Przecież niektórzy Niemcy, jak Schwick czy Kranc, więcej się nam dali we znaki od niego, a jednak gdy ich zabito, odzywały się głosy, jeśli nie współczucia, to przynajmniej krytyki w stosunku do wykonawców. Tylko tym razem nienawiść i zadowolenie z dokonanej zemsty były tak silne, że zagłuszyły nawet obawę przed represjami. I rzeczywiście represji nie było zupełnie, aczkolwiek nawet przed Niemcami nie kryto się z uciechą z powodu tego, jak mówiono, zwycięstwa sprawiedliwości.

A przecież nie był to człowiek z gruntu zły. Walusiaka zastrzelił, bo się upił po raz pierwszy w życiu. Wandzię również zabił po pijanemu, do innych morderstw przywiódł go jego zły duch, Kranc. Gdyby nie wódka i złe towarzystwo, mógłby zeń być nawet całkiem porządny człowiek i lojalny obywatel. Mogę o tym mówić, chociaż jestem tylko prostym murarzem, a nie jakimś uczonym psychologiem czy socjologiem, bo, jak już wspomniałem, znałem go nieledwie od powicia. Niemniej jednak ja sam na wieść o jego śmierci nie uczułem niczego innego właśnie, tylko coś w rodzaju ulgi i rzewnej radości. Zdawało mi się, że nareszcie niedoła nasza osiągnęła swój punkt szczytowy i że Bóg nierychliwy zaczął już swe sprawiedliwe rządy. „Doczekaliśmy się wreszcie żniw” — ukuto zaraz dowcip. — „Zaczynają padać pierwsze Kłosa.”

Dopiero dzisiaj zrozumiałem tę ówczesną reakcję. Pojąłem, że zdrada wywołuje tym gwałtowniejszą żądzę zemsty, im bliższy społeczności był jej sprawca. Kłos urodził się, wychował i żył w naszym mieście, znaliśmy go więc wszyscy zbyt dobrze, żebyśmy mogli nie znienawidzić go śmiertelnie.

Na trzeci dzień po katastrofie szedłem na cmentarz. Był to dzień imienin mojego nieboszczyka ojca. Zawsze od lat dwunastu musiałem w tym dniu odwiedzić jego grób i zapalić na nim świeczkę. Taki już był zwyczaj w naszej rodzinie.

Na świecie w dalszym ciągu było zupełnie pogodnie. Niebo jaśniało czystą jesienną bladością. Chłodne powietrze odznaczało się przezroczystością lodowatej wody jeziora, świeżo rozmarzłej w czas nagłej odwilży. Cienie domów, drzew i przechodniów na rynku rysowały się wyraźnie i kanciasto, tak że ściany domów i bryły wszelkich przedmiotów odcinały się niezmiernie ostro w słonecznej perspektywie.

Na rogu 10 Lutego i Cmentarnej, przed małą kapliczką, gdzie zwykle składano nieboszczyków oczekujących pogrzebu, roило się od ludzi. Poruszali się niespokojnie i przepychali. Uderzyło mnie, że mężczyźni, pomimo że znajdowali się w pobliżu świętego przybytku, mieli wszyscy czapki na głowach. Wyglądało, że nastąpił jakiś wypadek. Podeszedłem bliżej i rozpoznałem wśród tłumu starego Chapkowskiego, woźnego, a właściwie zawodowego świadka u rejenta.

— Panie Chapkowski, co się stało?

Rozejrzał się ostrożnie i przybliżył mi do ucha swoją trzęsącą się głowę.

— Nic się nie stało, tylko tam leży Kłos.

Kłos!

Przecisnąłem się do kraty. Przed ołtarzykiem nakrytym koronkowym obrusem stała wielka czarna trumna, a w niej na białym posłaniu spoczywały zwłoki w granatowym mundurze, nieskazitelnie wyczyszczonym i odprasowanym. Również buty błyszczały jak lakierowane. Nawet podeszwy były tak czyste, iż tylko ich widoczna szorstkość wskazywała na to, że używano ich do stąpania po naszej brudnej planecie. Pomyślałem, że jednak ich właściciel nie użyje ich więcej do

deptania naszej ziemi i sprawiło mi to dzikie zadowolenie.

Poza białymi dłońmi ze sterzącym obrazkiem wetkniętym między palce, widać było podbródek wydatny a tępy, niebieskawy po świeżym ogoleniu, oraz nos spiczasty, trójkątny z długimi otworami. Dalej sterzczały brwi jak czarne szczeci- niaste szczoteczki. W ogóle twarz w tym położeniu wydawała się krótsza, szersza i bardziej zamknięta niż za życia.

Tak, to był Kłos. Nie mogło być co do tego najmniejszej wątpliwości. Przyglądaliśmy mu się wszyscy z uważną ciekawością jak upolowanemu groźnemu drapieżnikowi, którego niebezpiecznie było spotkać, póki żył.

Nie zdjąłem czapki również. Uważałem, że szacunek dla świętości miejsca musi ustąpić w takiej chwili sprawiedliwej pogardzie i słusznej nienawiści. Być może zresztą, że grała tu pewną rolę obawa, żeby mnie nie posądzono przypadkiem

o solidaryzowanie się choćby w najmniejszym stopniu z martwym odstępca.

W pewnej chwili ktoś za mną zaczął energicznie przeciskać się do kaplicy. Po chwili poczułem czyjąś dłoń, chwytającą mnie za ramię i usłyszałem niski ochryply głos, ponury, ale zarazem stanowczy, jakby wydarty z dna rozpaczy.

— Bardzo pana przepraszam!

Była to matka Kłosa, jak zwykle w czerni i w czarnym koronkowym czepku na głowie. Tylko rysy miała bardziej stężałe niż zazwyczaj. Oczy również wydawały się bardziej zimne. Ich blask przypominał ostre świecenie gwiazdek śnieżnych przy pełni księżycowej.

Odsunąłem się spiesznie. Nie spojrzała na mnie. Otworzyła podwoje z grubych prętów żelaznych i weszła do kaplicy, stąpając ostrożnie, nieco pochyłona, jakby obawiała się co uszkodzić.

Niespodzianie rozległ się głos niski, ochryply, jakby z wysiłkiem tłumiony.

— Synu! Synu! Synu!

Dopiero po chwili pomiarkowaliśmy, że to ona woła. Obchodziła trumnę wokół, strzepywała jakieś niewidzialne pyłki z munduru trupa, prostowała przekrzywiony obrazek w jego dłoniach, poprawiała mu poduszkę pod głową i ciągle wołała:

— Synu! Synu! Synu!

Ani słowa więcej. Wyglądało, iż uważała, że nie wolno jej było nic więcej dodać do swego lamentu, że chociaż nie spojrzała w naszą stronę, chciała się przez ten ciągle powtarzany wyraz usprawiedliwić niejako przed nami: „Mam prawo go żałować, cokolwiek złego uczynił na świecie, bo jestem jego matką, bo wydałam go na świat wśród niewypowiedzianych boleści, bo wypielegnowałam go i wychowałam wśród nie- wysłowionych trudów i poświęceń, bo każda jego radość przez całe jego życie była moją i każde cierpienie — moim”.

Patrzyliśmy na tę scenę bez najlżejszego szmeru czy poruszenia. W dalszym ciągu żaden z nas nie odsłonił głowy. Wszystkie twarze były stężałe, wszystkie serca zamknięte. Napęły je przecie najstraszniejsze nieszczęścia, jakie pycha i złość szatańska zdołały rozplenić na naszej nikczemnej i smutnej planecie.

».*

#

011«

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX, WARSZAWA 1977 Wydanie III. Nakład 5000+298 egz Ark wyd 9,1; ark. druk. 10/16. Papier druk. sat. kl. III, 65 g, 82X104 Oddano do składania w marcu 1977 r. Podpisano do druku i druk ukończono we wrześniu 1977 r. Zam. nr 808/11/77. F-6.

ŁÓDZK!E ZAKŁADY GRAFICZNE, ZAKŁAD Nr 1 Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45

Cena zł 50.—

/

f

w

%

® r,

Vf

10

10

1

I

13

15

15

15

15

1

15

13

15

15

15

15

15

15

1

1

13

13

15

15

15

15

1

15

13

1

13

15

15

42

15

1

13

1

13

15

1

13

15

15

1

13

15

56

67

fis

67

71

10

79

79

74

75

11

78

80

81

84

85

12

83

Ofi

87

8R

92

93

12

90

67

95

94

10

10

102

101

12

104

67

108

107

23

23

111

109

112

113

10

10

122

121

12

12

83

123

125

126

23

23

2

111

132

133

1-u

23

137

140

139

23

23

111

111

144

67

146

147

145

22

151

150

149

23

152

67